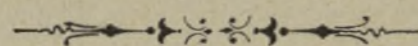
Schyłek życia i śmierć

FRYDERYKA CHOPINA.



Odczyt publiczny, wygłoszony dwukrotnie d. 22 i 26 kwietnia 1899 r. w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie.

Gdy Chopin w marcu roku 1849, po całorocznym pobycie w Anglii, wrócił do Paryża, do swego dawnego mieszkania przy *Square d'Orléans*, ci, co go przez ten rok nie widzieli, doznali niezmiernie bolesnego wrażenia na jego widok. Jeszcze bledszy, niż wówczas, kiedy się wybierał do Londynu, zgarbiony, z pochyloną głową, co chwila zanoszący się od kaszlu, ledwo powłóczył nogami, a wyglądał tak mizernie, że jedni, jak Cypryan Norwid, przyrównywali go do jakiegoś arcydelikatnego owadu, którego należało dotykać się z największą ostrożnością, ażeby mu nie uszkodzić skrzydeł, drudzy zaś, jak ksiądz Jełowicki, nie mogli wyjść z podziwienia, że w tak stéraném ciele jeszcze się kołatała dusza. Słowacki nazywał go *moribundem.*

Tymczasem Chopin, choć prawie nie podnosił się z łóżka, nie tracił nadziei, a wierząc w geniusz swego domowego lekarza, doktora Molin, wcale nie był najgorszych myśli. Nieszczęście chciało tylko, że na razie nie mógł się powierzyć jego troskliwéj opiece, albowiem dr. Molin zachorował właśnie... Nagle rozeszła się wieść, że umarł, i wieść ta, lubo nieprawdopodobna, okazała się, niestety,

prawdziwą! Dla Chopina był to może największy cios, na jaki mógł być narażony w téj chwili. Wogóle sceptycznie usposobiony względem lekarzy i ich wiedzy, odrazu wpadł w pewien rodzaj zabobonnego zniechęcenia, a zwątpiwszy o możności odzyskania zdrowia (bo tylko jeden doktór Molin, jak mniemał, mógłby go wyprowadzić z téj choroby), tak dalece przestał wierzyć w skuteczność medycyny, że nietylko uległ prawdziwéj manii nieustannego zmieniania lekarzy, ale straciwszy wszelkie zaufanie do nich, nie słuchał ich rad, odrzucał lekarstwa, co, oczywiście, témbardziéj nie mogło sprowadzić upragnionego polepszenia. Oto np. co w téj mierze pisał raz do Grzymały: „Jestem mocniejszy, bom się podniósł i odrzucił lekarstwa, ale tak samo dyszę i kaszlę, tylko, że znoszę łatwiéj... Nie wiem, jakie siano będę jadł niedługo... Mój dr. Fraenkel ani się od niego dowiedzieć, czy gdzie do wód albo na południe jechać. Swoją tyzannę znów odjął, dał inne lekarstwo, znów go nie chcę, a jak się o hygienę pytam, powiada, że mi regularne życie niepotrzebne. Słowem do czubków głowa. Żart na stronę: dobry bardzo może konsultacyjny doktór, jak np. Koreff, ale *suite* w głowie nie ma". Nie wiele lepiéj trzymał i o doktorach Cruveiller i Louis, których także wzywał raz po raz, a po to najczęściéj, by nie stosować się do ich przepisów...

Nierównie większą wagę przywiązywał do tego, co mu doradzali jego przyjaciele i uczniowie, tacy, jak Gutmann, Franchomme, Delacroix, Pleyel, Clesinger, Norwid, Aleks. Czartoryski i wielu innych, którzy, odwiedzając go często, tak, iż prawie nigdy nie był sam, dokładali wszelkich możliwych starań ze swéj strony, ażeby nie miał powodu uskarżać się na obojętność ludzką, ażeby nie czuł się opuszczonym. To samo mógł powiedzieć i o swych uczennicach i wielbicielkach, które mu niemniéj dawały dowodów swojéj pamięci o nim. Prócz panny Stirling, umyślnie przybyłéj ze Szkocyi, by go doglądać i pielęgnować w chorobie, miewał częste odwiedziny księżnéj Adamowéj Czartoryskiéj, księżnéj Róży, księżnéj Marcelliny, hrabiny Delfiny Potockiéj, księżnéj Bauveau, hrabiny Obreskoff, baronowéj Rothschild, pani Franchomme, panny du Rozière, hrabianki O'Meara, panny Elizy Gavard, oraz wielu innych dam z wielkiego świata. Nadto odwiedzała go często młoda pani Clesinger, za którą tak mu było tęskno w Anglii, a któréj mógł teraz zarzucić chyba to jedno, że widząc ją, mimowoli musiał sobie przypominać jéj matkę... Otoczony tak dystyngowanemi aniołami opiekuńczemi, troszczącemi się o jego zdrowie, na wszystko mógł narzekać, tylko nie na brak opieki. Kto wié nawet, czy jéj nie miewał niekiedy zawiele,

zwłaszcza, odkąd przyjechała jeszcze i druga z jego dwóch „Szkotek”, pani Erskine (siostra panny Stirling).

Tymczasem siły, jak nie wracały, tak nie wracały. Owszem, spostrzegał raczéj ich powolny lecz stały ubytek. Gdy się czuł lepiéj cokolwiek, to mógł — w najlepszym razie — przez pół dnia nie leżéć w łóżku. Wtedy téż, korzystając z pięknéj pogody wiosennéj, wyjeżdżał powozem do Lasku Bulońskiego na spacer, by trochę zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale bywały dnie, że nie wstawał wcale.

Czuł się tak osłabionym, że o tém, by znowu rozpocząć dawanie lekcyi, mowy być nie mogło na razie; a jakkolwiek mu trudno przychodziło pogodzić się z tą smutną koniecznością, to jednak pogodził się w końcu, bo co miał robić!... Okoliczność ta była powodem, że wziął się do pracy kompozytorskiéj: raz dlatego, by się rozerwać, by znaleźć zajęcie dla umysłu, a tém samém mniéj myśléć o swéj chorobie i niedoli, a powtóre, że należało troszczyć się o zarobek.

Cóż, kiedy i komponowanie szło mu jak z kamienia! Rozstrojony nerwowo, nie mógł się skupić dostatecznie, tak, iż co najwyżéj wykończał i poprawiał rzeczy pisane dawniéj. Na nowe zdobywał się z niesłychanym trudem, czém doprowadzany do rozpaczy, wszystko prawie, co pisał, darł i palił... Nie spalił tylko dwóch *Mazurków*, z których pierwszy, *G-moll*, wykończony i doskonały pod względem formy, a prześliczny jako melodya, należy do jego najwdzięczniejszych utworów w tym rodzaju, drugi zaś, *F-moll*, naszkicowany zaledwie, odznacza się tak rzewnym nastrojem, że brzmi, niby jakiś tęskny, bezbrzeżnie smutny śpiew ulatującéj duszy... *Mazurka* tego, który, jak się okazało, miał być jego śpiewem łabędzim, już nawet — dla braku sił — nie zdołał przegrać na fortepianie.

W tymże czasie wziął się do pisania szkoły na fortepian, którą w rozmowie z przyjaciółmi nazywał żartobliwie *Metodą nad metodami*. Z myślą napisania podobnego dzieła nosił się był już oddawna, tylko nigdy nie miał dość wolnéj głowy, by się do niego zabrać porządnie. Zamierzał w niém streścić wszystkie rezultaty swych długoletnich doświadczeń i studyów w zakresie gry fortepianowéj... Rzecz miała być napisana po francusku, gdyż chodziło o to, by mogła być sprzedaną któremukolwiek z nakładców paryskich. Początkowo, dopóki poprzestawał na obmyślaniu całości i szczegółów, pozwalając dojrzewać swemu pomysłowi, to jest dopóki go nosił w głowie, rozpowiadał wszystkim z gorączkowym zapałem, co będzie zawierała ta nadzwyczajna teorya, a nawet, naszkicowawszy jéj plan,

przystąpił do opracowywania niektórych poszczególnych rozdziałów, ale już po napisaniu kilku kartek musiał odłożyć pióro... Zbyt był wyczerpany [1]).

Wśród takich to smutnych okoliczności odwiedził go któregoś dnia świeżo przybyły z Rzymu ksiądz Aleksander Jełowicki, jeden z najczynniejszych Braci Zmartwychwstania Pańskiego. Dowiedziawszy się o bardzo ciężkiéj chorobie Chopina, nie zwłócząc, udał się do niego... Znając go oddawna (byli kolegami ze szkolnéj ławy), nie łudził się co do jego uczuć religijnych. „Pobożność, którą z łona matki Polki był wyssał, była mu już tylko rodzinném wspomnieniem, a bezbożność towarzyszów i towarzyszek lat ostatnich (szczególniéj pani Sand) coraz bardziéj wsiąkała w jego chwytny umysł, osiadając na duszy — jak chmurą ołowianą — zwątpieniem". Doszło do tego, że jeśli nie szydził jeszcze, ani naśmiewał się z rzeczy świętych, to działo się to tylko, zdaniem ks. Jełowickiego, „mocą jego wykwintnéj przyzwoitości". Wiedząc o tém, gorliwy kapłan powziął chęć nawrócenia swego genialnego przyjaciela, bo nie mógł się pogodzić z myślą, ażeby człowiek téj miary, co Fryderyk Chopin, umarł jako niewierny syn kościoła, jako niedobry katolik. Z tym jasno sformułowanym zamiarem udał się na *Square d' Orléans*, gdzie przybywszy, odrazu dopuszczony do chorego, najserdeczniéj został powitany przezeń. Uściskali się wzajemnie, ile że nie widzieli się byli kawał czasu... Przypomniawszy sobie, że Jełowicki niedawno stracił brata, Edwarda, którego on także lubił niezmiernie, Chopin zaczął ubolewać nad jego tragiczną śmiercią (Edward Jełowicki zginął podczas wypadków r. 1848), przyczém rozczulił się do tego stopnia, że zaczął płakać. Rozigrane nerwy nie pozwalały mu panować nad wzruszeniem! Korzystając z tak sposobnéj chwili, pomny swéj misyi kapłańskiéj, ks. Jełowicki wszczął rozmowę o matce artysty, która go pierwsza uczyła zasad wiary, i w taki sposób rozwijał ten temat, że Chopin domyślił się wreszcie, o co tu chodziło.

— Ach! rozumiem cię! rzekł. Nie chciałbym umrzéć bez sakramentów, by nie zasmucić matki, ale ich przyjąć nie mogę, bo już ich nie rozumiem po twojemu. Pojąłbym jeszcze słodycz spowiedzi,

---

[1]) O dziele tem powiada zapytywany przez Niecksa Franchomme, że jeśli zeń wogóle coś istniało, to mogły to być conajwyżej luźne fragmenty. Liszt utrzymuje, że i te fragmenty „rzucono w ogień wraz z resztą papierów". Niezależnie od tych dwóch wersyi krąży trzecia, że panna Janothówna zamierza w Anglii wydać dzieło o Chopinie, w którem ma się znaleźć podobno i owa *Metoda nad metodami*, „wydobyta z zapomnienia".

płynącą ze zwierzenia się przyjacielowi, ale spowiedzi, jako sakramentu, nie pojmuję zgoła. Jeśli chcesz, to dla twéj przyjaźni wyspowiadam się przed tobą, ale inaczéj to nie [1]).

Strapiony podobnem oświadczeniem, zaczął ksiądz Jełowicki— jak się wyraża — upieszczać, czem mógł, duszę przyjaciela, „już to Najświętszą Panną, już Panem Jezusem, już najtkliwszemi obrazami miłosierdzia Bożego," lecz nic nie pomagało: Chopin okazał się bardziej zatwardziałym w swej niewierze, niż o nim przypuszczał jego dawny towarzysz zabaw studenckich. Ani chciał słuchać o jakimkolwiek akcie religijnéj skruchy! Na obietnicę, iż gotów do niego przyjść spowiednik, jakiego tylko zapragnie, dał w sposób wcale niedwuznaczny do zrozumienia, iż przedewszystkiém życzy sobie położyć już koniec tej męczącej, a w gruncie rzeczy bezowocnej rozmowie, poczém przeciął jej wątek następującém bardzo stanowczém i kategoryczném oświadczeniem:

— Jeśli kiedy zechcę się wyspowiadać, to najpewniéj przed tobą.

W danéj chwili jednakże—pozostawiał gościowi swemu do domysłu—wolałby drażliwéj téj kwestyi nie poruszać dłużéj. Wszak mieli sobie tyle do powiedzenia po za nią! A zresztą, chociaż był chory, jeszcze nie zaraz wybierał się na tamten świat... Może jeszcze przyjdzie do siebie. Ileż to razy zdawało się już wszystkim i jemu samemu nawet, że życie jego wisi na włosku, a jednak nie urwało się jakoś; dlaczegożby więc ta choroba właśnie, wcale nie cięższa od poprzednich, miała być ostatnią!... Skończyło się tedy, iż ksiądz

---

[1]) Zob. *List księdza A. Jełowickiego do pani Ksawery Grocholskiéj o śmierci Chopina*, w *Tyg. Illustrowanym* z r. 1897. Może nie od rzeczy będzie zapoznać się na tém miejscu — choć w przypisku — z osobistością ks. Jełowickiego. Nadzwyczaj dzielny i przedsiębiorczy, jako człowiek, nie był to, zdaje się, zbyt pokorny sługa boży, a jego „znany charakter" odznaczał się niezawsze sympatycznemi cechami. Oto np. jak go w liście z d. 25 sierpnia 1846 r. pisanym do ks. Kajsiewicza, charakteryzuje ks. Hube: „Dotychczas przynajmniej w bracie Aleksandrze nie widzę potrzebnego pokoju duszy i potrzebnej pokory, aby jasno, prosto i bez przesady, rzeczy widział przed Panem Bogiem i zdrowe rady dawać mógł. Gwałtowność charakteru, wola własna silna nie złamana wewnątrz, chociaż na zewnątrz często ulegnie, a przytem ogólna polska choroba, pycha, stanowią, ile mi się zdaje, główne tło jego serca. Ztąd i gorliwość jego na zewnątrz nie dobrze zawsze umiarkowana, ztąd niespokojne zawsze widzenie wspólnych słabości w braciach, nieukontentowanie z tego, co jest, i za zbyteczne pragnienie odmian i reform między nami. Ze względu na niego samego, dla dobra duszy jego, trzeba koniecznie ciągle pracować nad przełamaniem jego charakteru, aby pozbył się swej zbytniej ufności w trafność swego zdania, o czem dotychczas prawie nigdy nie wątpi." Ks. Paweł Smolikowski, *Hist. Zgrom. Zmartw. Pańsk.*, *III*, *211*.

wyszedł z niczém. Swoją drogą wychodził z silném postanowieniem, by nie dać za wygraną!

Tymczasem nastręczała się inna kwestya, którą po wolteryańsku usposobiony Chopin uważał za bardziéj palącą, niż wszystko, czém go „upieszczał" Jełowicki: oto szkatuła jego, z któréj dotąd czerpał nieustannie, a do któréj—wobec niemożności komponowania i dawania lekcyi — nie napływały nowe zasiłki, wypróżniała się stopniowo, aż wreszcie, jednego pięknego poranku, z niewielkiéj sumy pieniędzy, przywiezionych z Anglii, nie pozostało ani sous'a. Poczciwy Franchomme, na którego głowie spoczywała finansowa strona egzystencyi chorego, widząc pustki w kasie, nie znajdował innego sposobu położenia końca złemu, tylko naradzić się z przyjaciółmi Fryderyka, co czynić? Było prawdziwe *periculum in mora*, nakazujące w możliwie krótkim czasie postarać się o jakąś zapomogę, Chopin bowiem, spostrzegłszy, że jest bez grosza, coraz bardziéj denerwował się z tego powodu. Skończyło się na tém, że po naradzie — w tajemnicy przed Chopinem — zwrócono się do panny Stirling, ta zaś nie zawiodła pokładanego w niéj zaufania! Gdy się dowiedziała, że jéj ukochany mistrz znajduje się w tak kłopotliwém położeniu, natychmiast pospieszyła z hojnym datkiem 25000 franków. Chopin ociągał się z przyjęciem tak znacznéj sumy, po namyśle jednak, zniewolony smutnemi okolicznościami, z których na razie nie było innego wyjścia, zdecydował się na zatrzymanie połowy, mianowicie 12000 franków...

Tak upłynęły dwa miesiące. Kończył się maj. Choremu nie było lepiej. Na domiar złego, wybuchła w Paryżu cholera. Dusząc się wśród miejskiego pyłu i gorąca, a zbyt słaby, żeby módz gdzie wyjechać do wód, albo nad morze, artysta obrzydził sobie do reszty *Square d'Orléans*. Rwał się na świeże powietrze, czuł potrzebę wyjazdu na wieś: nigdzie tak nie przychodził do siebie, jak na wsi, nigdzie nie czuł się tak dobrze, jak np. w Nohant. Chociaż Nohant było wykluczone stanowczo, nie znaczyło to jednak, żeby nie miał zamieszkać gdzieś pod Paryżem, tak, jak np. mieszkał Bohdan Zaleski i inni. Chodziło o to przedewszystkiém, by się wydostać z miasta. Ponieważ doktorzy, gdy się im zwierzył z tym projektem, uznali jego słuszność, więc nie szło o nic więcej, tylko by gdzieś wynaleźć jakieś letnie mieszkanie. Dla kogoś, który, jak Chopin, posiadał tylu rzeczywiście oddanych mu przyjaciół, była to kwestya dni kilku. Jakoż, zaledwie rozpoczął się czerwiec, już odpowiedni lokal został najęty. Znaleziono go przy *Rue Chaillot* pod Nr. 74, a choć nie posiadał może wszystkich danych, by w zupełności odpo-

wiedzieć wymaganiom Chopina, to w każdym razie miał jedną zaletę w jego oczach: komorne, jak mu powiedziano, wynosiło tylko 200 franków na całe lato.

W rzeczywistości kosztowało to mieszkanie dwa razy tyle, a jeśli Chopin uderzony tą niepraktykowanie nizką ceną, zapłacił za nie tylko połowę, to dlatego, iż resztę wzięła na siebie hrabina Obreskoff [1]). Dopuszczono się tego niewinnego kłamstwa, by oszczędzić niepotrzebnych skrupułów choremu; od chwili bowiem, gdy musiał żyć nie za swoje zarobione przez siebie pieniądze, zaczął się ograniczać w wydatkach, a martwił się i gniewał, że mimo to, rozchody były znaczne...

II.

Ciągnąca się w pobliżu Pól Elizejskich *Rue Chaillot*, choć należała jeszcze do Paryża, to jednak, mało zaludniona podówczas, bardziéj robiła wrażenie cichéj uliczki jakiegoś prowincyonalnego miasteczka, aniżeli jednej z przedmiejskich ulic stolicy świata. Pełna zieleni ogrodów i ogródków, których drzewa wychylały się z za drewnianych lub murowanych oparkanień, niebrukowana a położona wysoko, słynęła ze swego widoku na Paryż, na Sekwanę, na Łuk tryumfalny, na złoconą kopułę Inwalidów, na nieprzejrzane morze wież kościelnych, kominów i dachów. Zdaniem Cypryana Norwida, był to jedyny punkt, „obfitujący w rozległe i malownicze panoramy, zbliżone do tych, jakie się napotyka w Rzymie".

Do domu, oznaczonego numerem 74, wchodziło się przez długi, pusty, trawą zarosły dziedziniec. Chopinowi bardzo się tu podobało wogóle. Zająwszy całe pierwsze piętro, składające się z paru pokojów i wielkiego salonu o trzech południowych oknach, miał dużo powietrza i słońca, a obsługiwany przez swego „poczciwego Daniela", już obznajmionego z jego wszystkiemi przyzwyczajeniami, i przez staranną bardzo *garde malade*, która przy nim czuwała we dnie i w nocy, posiadał wszelkie warunki sprzyjające rekonwales-

---

[1]) Na podstawie relacyi Franchomme'a, cyt. u Niecksa. Pani Rubio powiada, że komorne wynosiło 300 fr., z tych Chopin zapłacił tylko 100, a pozostałe 200 uiściła hr. Obreskoff. Dziwna rzecz, iż żadna z polskich pań nie wzięła tego wydatku na siebie, że gdy chodziło o odwiedzanie Chopina, to nie brakło żadnej, ale gdy wypadło wspomódz chorego artystę materyalnie, pozostawiono to cudzoziemkom, pannie Stirling i hrabinie Obreskoff...

cencyi. Co się tyczy owej „gardmalady“, którą zawdzięczał Grzymale, to była nią młoda Polka, osoba sympatyczna niezmiernie, jakaś krewna Wołowskich. Chopin polubił ją nadzwyczaj, a tak się przyzwyczaił do jej troskliwéj opieki i miłego towarzystwa, że kiedy, po upływie paru tygodni, zaproszona do krewnych swych na prowincyę, musiała go opuścić, niełatwo się z tém pogodził. Pozwala się tego domyślać następujący urywek z jego listu do Grzymały: „Piszę do Ciebie trzeci raz pod adresem pani Ludwiki od czasu jak jestem bez Twéj gardmalady. Nie wiem, co z nią zrobić, jak jéj podziękować. Nie chcę tam do niéj posyłać, bo tam ten opiekun jest, czy ktoś. Była tu powiedziéć, iż wyjeżdża, ale ktoś zaszedł, anim się mógł rozmówić, tak się wysunęła. Przysłała mi swoją kartę wizytową... Poczciwa i dobra, ale nie rozumiem téj karty. Mam nadzieję, że przed wyjazdem przyjdzie jeszcze. Jabym nie chciał tam posyłać, bo Deputowany (Wołowski) nic o mnie nie wié, i boję się jéj narobić niewinnych nieprzyjemności.”

Tymczasem, gdy wyjechała, wypadło się obejrzeć za kimś innym na jéj miejsce, albowiem chory potrzebował koniecznie miéć przy sobie jakąś rękę niewieścią, któraby go pielęgnowała, uprzedzała jego życzenia i zachcenia. A przytém lękał się samotności... W tém uczuciu pisał d. 18 czerwca do Grzymały: „Jestem także bez gardmalady 2-gi dzień. Księżna Czart(oryska Adamowa) odwiedziła mnie i nie chcąc, żebym sam był w nocy, przysyła mi panią Matuszewską, co u księżnéj Róży za niańkę była.“ Skończyło się na tém, że owa pani Matuszewska zaczęła przy nim pełnić obowiązki siostry miłosierdzia. Będąc osobą poczciwą niezmiernie, podbiła go sobie odrazu. Bardzo był z niej zadowolony... Conajwyżéj uśmiechał się niekiedy, widząc jéj głęboką a naiwną pobożność. „Pani Matuszewska mówi — pisał raz o swéj chorobie do Grzymały — że to przecie „Pan Jezus przemieni“ i możeby p l a s t e r z m i o d u i m ą c z k i pomógł.“

Równocześnie, z nastaniem letnich upałów, prawie wszyscy znajomi Chopina, których odwiedziny miewał tak często, dopóki mieszkał w mieście, rozjechali się w różne strony. W Paryżu, nawiedzonym przez zarazę, zostali ci tylko, co musieli. Oczywiście, że wskutek tego i na *Rue Chaillot* zajeżdżało pod Nr. 74 coraz mniéj ekwipażów. Ztąd poszło, że Chopinowi zaczynało się nudzić, że z nudów stał się skorszym do korespondowania z nieobecnymi przyjaciółmi, że listy jego, jak np. do Grzymały, stały się mniej lakoniczne. „Żal mi, pisał do niego d. 2 lipca, że Cię nie widzę, ale wolę, żeś na wsi teraz, jak tu, co tak nudno i nikogo niema. Wszyscy

wyjeżdżają: jedni ze strachu cholery, drudzy ze strachu rewolucyi. Panna du Rozière także ze strachu do Wersalu się wyniosła, ale już wróciła. Angielki w St. Germain. Pani Obreskoff także. Pani Potocka (Delfina) zawsze w Wersalu i pojedzie do Dieppe, gdzie (już bawi) pani Bauveau. Delacroix na wsi. Gutman w Londynie, incognito, jakżeby miał pieniądze do stracenia. Frenkiel już dwa tygodnie nie był... Cichowskiego raz tylko widziałem. Do miasta daleko, bo tylko albo ci, co mnie bardzo kochają, jak np. Franchomme, albo ci, co blisko mają ukochanych, jak np. księstwo (Aleksandrowstwo Czartoryscy) czasem nawiedzą.“ Swoją drogą nie brakło i takich, co umyślnie przyjeżdżali na *Rue Chaillot*. Któregoś dnia np. zajechała tu Jenny Lind... Gdy Chopin, rozczulony tym dowodem pamięci z jéj strony, między innemi wyraził życzenie, że chętnie posłuchałby jéj śpiewu, przyjechała do niego raz na cały wieczór i śpiewała mu wszystko, o co ją prosił... W tymże czasie miał wizytę innéj, niemniéj słynnéj śpiewaczki, pani Catalani (téj saméj, która mu w roku 1820 w Warszawie, zachwycona jego genialną grą, ofiarowała na pamiątkę złoty zegarek). Bawiła ona właśnie u niego, gdy przed dom zajechała pani baronowa Rothschild: wybierała się za parę dni za granicę, więc przybywała pożegnać się z Chopinem. Przy tej sposobności poznała się z panią Catalani, a przypatrując się słynnej śpiewaczce, nie przeczuwała z pewnością — jak nie przeczuwał nikt z obecnych — że rozmawiała z istotą, któréj godziny już były policzone. Nie upłynął tydzień od ich poznania się z sobą, a w liście Chopina do Grzymały, pisanym d. 18 czerwca, znalazł się taki ustęp: „Była pani Rothschild i już pojechała do Szwecyi przez Hamburg. Pani Catalani, z którą się tutaj poznała, w wigiliję jéj wyjazdu na cholerę umarła.“ Jakkolwiek w liście tym nie brakło wiadomości, że „choroba już w mieście ustaje,“ to jednak umierało od niéj wiele jeszcze osób, a nie brakło w téj liczbie i znajomych Chopina. „Kalkbrenner umarł, syn starego De la Roche'a [1]) w Wersalu umarł. Franchommowi służąca dobra bardzo umarła. W Tours d'Orléans [2]) nie było śmierci, tylko mały Etienne chorował śmiertelnie. W ten moment przyjechały Szkotki. Między nowinami mówiły o Noalcie (Duc de Noailles), że zdrowszy, na co ja, że król Ch. Albert w Lizbonie umarł. One mnie zaduszą nudami.“

---

[1]) Słynnego malarza.

[2]) Należy rozumieć dom przy Square d'Orléans, gdzie mieszkał Chopin. Mowa tu o synie pani Etienne, która prowadziła gospodarstwo Chopinowi.

Niestety, dusił się nietylko od ich nadmiernéj czułości. W ogóle, choć przebywał na świeżém powietrzu, wcale nie czuł się dobrze. Co najgorsza, to, że oprócz zwykłéj dotychczasowéj choroby przybyła nowa, objawiająca się puchnięciem nóg, dowód, że serce zaczynało działać nieprawidłowo... Chory jednak, choć ledwo mógł ustać o własnych siłach, nie tracił otuchy, co nie znaczy przecież, ażeby niekiedy nie przestawał się łudzić. „Krwią już od onegdaj nie pluję (pisał raz do Grzymały), nogi odpuchły. Tylko jeszcze słaby i leniwy jestem, łazić nie mogę, dyszę. A Twoje schody!!... Bądź zdrów, pilnuj się i nie daj się! Ja się też bronię, jak mogę, ale mi podobno siły zabraknie... Grać jeszcze nie zacząłem, komponować nie mogę. Nie wyjeżdżam. Tylko czasem do boru Bulońskiego“.

Przygnębionemu i osamotnionemu zdarzały się i takie chwile, że się zaczynał przygotowywać do śmierci. Sporządził testament (do czego nie przyznał się nikomu), a jednocześnie zdecydował się napisać do domu, ażeby przyjechał kto z rodziny. „Mówił mi także Cichowski, pisał d. 2 lipca do Grzymały, że pani Plichcina do domu jedzie, że ci o tém napisał, jako téż, że moja siostra tu przyjeżdża, co wcale nie, bo ja dopiéro dziś pisać o tém do domu myślę...” Nieraz już namawiano go do tego, a księżna Marcellina sama mu nawet ofiarowała swe pośrednictwo w tym względzie [1]. Wahał się długo, odkładał sprawę tę z dnia na dzień (bo nie chciał niepokoić swych najbliższych), aż w końcu, widząc, że nie przychodzi do siebie, że mu życie ucieka, napisał, bo skoro już miał umierać na obczyźnie, to niechże przynajmniéj nie umiéra wśród obcych twarzy. Zawsze lękał się podobnéj śmierci. Już w roku 1830, na wyjezdném z Warszawy, dręczony przeczuciem, że już w te mury nigdy nie wróci, pisał do Wojciechowskiego: „A jak to przykro być musi umiérać gdzieindziéj, pomiędzy obcymi! Jak mi to okropnie będzie widziéć, zamiast rodziny, zimnego doktora lub najętego sługę przy łożu śmiertelném!“

Bardzo być może, iż sobie teraz list ów przypomniał, bo właśnie w tym czasie otrzymał kilka słów od Wojciechowskiego. Donosił mu Tytus, że przybył do Karlsbadu i że następnie po odbytéj kuracyi, mającéj trwać miesiąc przeszło, wybiera się do Ostendy. Gdyby się tam zjechać mogli, byłby niezmiernie szczęśliwy. Do Paryża, pomimo najszczerszych chęci i ciekawości poznania stolicy Francyi przyjechać nie może z powodu nieprzezwyciężonych tru-

---

[1]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 261.

dności paszportowych... List ten był wielce miłą niespodzianką dla Chopina. Niestety, jeśli chodziło o zobaczenie się z Tytusem, (z którym nie widział się od owéj pamiętnéj chwili, gdy się rozstali w Wiedniu), to mogło ono nastąpić wtedy jedynie, gdyby Wojciechowskiemu udało się zawitać nad Sekwanę. O tém bowiem, ażeby on mógł pojechać do Ostendy, nie było mowy! Gdyby jednak wyjednano paszport dla Wojciechowskiego, umożliwiający mu przyjazd do Paryża, wtedy było pewném, że Tytus nie ociągałby się ani chwili z przybyciem tu choćby na kilka dni... Rozumiejąc, że to nie było niemożebném, zaczął Chopin czynić przez swych wpływowych przyjaciół odpowiednie starania w ambasadzie rosyjskiéj paryskiéj, tymczasem zaś, d. 20 sierpnia, odpisał Wojciechowskiemu, co następuje: „Mój Ty najdroższy! Trzeba, żebym był tak słaby, jak jestem, żebym się z Paryża ruszyć nie mógł, kiedy ty do Ostendy przyjeżdżasz. Ale mam nadzieję, że Pan Bóg tobie dozwoli zbliżyć się do mnie. Doktorzy żadnéj podróży mi nie pozwalają; piję w pokoju pirenejskie wody, a twoja obecność była by mi więcéj warta, niż wszystkie leki. Twój do zgonu Fryderyk.“ Po otrzymaniu tego listu, Wojciechowski czekał tylko dnia, w którym mu przyszlą z Paryża paszport, lecz, jak się okazało, w ambasadzie robiono wciąż nowe utrudnienia, tak, iż Chopin zniecierpliwiony, nie mogąc się doczekać stanowczej i przychylnej odpowiedzi, napisał w końcu Tytusowi, ażeby przyjeżdżał, nie oglądając się na nic... List jego, datowany d. 12 września, brzmiał, jak następuje: ,,Za małom czasu miał dla wystarania się o pozwolenie na twój przyjazd tutaj; sam chodzić za tém nie mogąc, prosiłem wpływ mającego jednego przyjaciela, żeby mię wyręczył; dopiéro w sobotę mam coś wiedzieć pewnego. Już chciałem do Valenciennes za granicę koleją żelazną puścić się, żeby Cię uściskać, ale temu parę dni do Ville d'Avraye pod Wersalem dojechać do mojéj chrzestnéj córki niepodobna mi było, i doktorzy nie pozwalają mi z Paryża wyjeżdżać. Dlatego na zimę do cieplejszego klimatu nawet nie puszczają. Moja wina, żem chory, bobym Cię był w Belgii gdzieś dojechał. Może téż potrafisz się tu dostać... Nie jestem dosyć egoistą, żebym Cię dla siebie samego żądał; będąc słabym, jak jestem, miałbyś parę godzin nudów i decepcyi, pomięszanych z kilkoma godzinami uciechy i poczciwego wspomnienia; a wolałbym, żeby czas, co razem spędzimy, był tylko czasem szczęścia zupełnego. Twój na zawsze Fryderyk.” Skończyło się na tém, że się nie zobaczyli. Chopin był zbyt chory, żeby módz jechać do Belgii; Wojciechowskiego nie chciano puścić do Paryża. Jakoż musieli poprzestać na kilkakrotnéj wymianie listów...

Tymczasem Chopinowi płynęły dni tak jednostajnie, iż chwilami przemyśliwał o powrocie do swego mieszkania paryskiego przy *Square d'Orléans*. Tam jednak — zdawało mu się — nie byłby tak odcięty od świata, jak tu, gdzie często miał wrażenie, że osiadł na wygnaniu. Bo przykrzyło mu się coraz bardziéj. Złamany nietylko fizycznie, ale i moralnie, nigdy np. nie czuł się tak dobrze, by do drugiego śniadania przynajmniéj nie był zmuszony leżeć w łóżku. Gdy wstał, gdy go służący ubrał, siadał przy otwartém oknie—o ile możności w słońcu — i oddychając świeżém powietrzem, czekał, czy kto nie przyjdzie. Nieraz zdarzało się, że wyczekiwał napróżno... Po śniadaniu, do którego często był zniewolony zasiadać sam (korzystając jedynie z towarzystwa pani Matuszewskiéj i służącego), zwykle wyjeżdżał na spacer. „Zstępował, jak mógł, po schodach, a wróciwszy, kazał się wnosić, bo w górę sam iść nie mógł, nawet na pierwsze piętro" [1]). Po powrocie z przejażdżki, około 5-éj jadał obiad, poczém, jeżeli nikt nie przyszedł, kazał się rozbiérać Danielowi i znowu kładł się do łóżka.

Do tych, którzy go odwiedzali najczęściéj, należał między innymi Cypryan Norwid, młody poeta i rysownik. Chopin lubił go dosyć, zapraszał na obiady i śniadania, a kiedy wyjeżdżali na spacer, składał z nim razem wizyty (o ile miał siły i ochotę po temu). Któregoś dnia np. odwiedzili Bohdana Zaleskiego, mieszkającego w Passy. Autor *Ducha od stepu* przyjął ich nadzwyczaj serdecznie, ale gdy Chopin wywlókł się z powozu, okazało się, że nie było nikogo, co by go mógł zanieść na górę do mieszkania. Wobec tego musiano pozostać w ogródku przed domem, „gdzie maleńki jeszcze wówczas synek poety na trawniku się bawił"...

Prócz Norwida należał także do stałych gości Chopina młody Karol Gavard, brat Elizy. Chory miał dlań wiele sympatyi, a zwłaszcza lubił słuchać jego czytania na głos. Gdy go męczyło mówienie, najchętniéj czas spędzał w ten sposób, na wspólnéj lekturze. Książek dostarczała jego podręczna biblioteka. Najczęściéj sam wybiérał dzieło, polskie lub francuskie, z którego wyjątków posłuchać pragnął. Gdy przychodził Gavard, prosił go zwykle, by mu czytał pojedyńcze rozdziały *Dykcyonarza filozoficznego* Voltaire'a, albowiem nadzwyczaj wysoko cenił doskonałą skończoność formy, zwięzłość i jasność stylu autora *Henryady*. Co dziwniejsza, że mu i estetyczne poglądy tego zeszłowiecznego „filozofa" trafiały do

---

[1]) Cypryan Norwid, *Czarne kwiaty*, Zob. Dodatek miesięczny do *Czasu* z r. 1856. Tom IV, str. 654.

przekonania, że gdy mu Gavard czytał np. wyjątki z rozdziału *Des différents gouts des peuples*, nic go w nich nie raziło. Dowód to, że i Chopin był nieodrodnym synem tego „nawpół-wolteryańskiego pokolenia Polaków”, które, wychowane w obojętności i chłodzie na rzeczy wiary, szło przez życie „z Bogiem czy bez Boga“, dla rozumu twórcy *Kandyda* żywiąc kult bezkrytyczny [1]). Dlatego to, gdy przychodził Gavard, autor romantycznych *Nokturnów* z takiém upodobaniem słuchał Voltaire'a...

Inaczéj bywało, gdy go odwiedził Gutmann. Wtedy muzykowali, t. j. Gutmann zasiadał do fortepianu, Chopin zaś, siedząc w fotelu, o ile nie leżał w łóżku, słuchał. Grywano przeważnie jego własne kompozycye, których Gutmann był świetnym interpretatorem, albo Mozarta. Rzadziéj Beethovena... Szkoda tylko, że Gutmann nawet i wtedy, gdy bawił w Paryżu, nie przychodził tak często, jakby sobie tego życzył Chopin. „Gutmanna z całém sercem (czytamy w jednym z listów do Grzymały) po 10-u dniach nie widziałem, ażem się zląkł, czy nie chory, ale mi pisał, że zdrów”. W ostatnich słowach nie trudno dopatrzéć się lekkiéj ironii, Chopin bowiem, pisząc do Gutmanna, o którego obawiał się, czy nie zachorował, że się nie pokazywał tak długo, chciał go pewno skłonić tém samém do wybrania się na *Rue Chaillot*, nie zaś do listownéj odpowiedzi, że owszem cieszy się jaknajlepszém zdrowiem...

Powiada Karol Gavard, że największą troską Chopina, gdy go odwiedzali znajomi i przyjaciele, było to, by im o ile możności oszczędzić przykrych i bolesnych wrażeń; to téż nietylko unikał wszystkiego, co by ich mogło nastroić smutnie i minorowo, lecz się wysilał poprostu, żeby się nie nudzili. Niestety, nie zawsze był zdolny do świadczenia podobnych uprzejmości, gdyż nie zawsze miał dosyć sił po temu. Zdarzało się niejednokrotnie, że do tego stopnia był osłabiony, iż nawet głos mu zamierał w ustach. Wtedy, zamiast mówić, porozumiewał się na migi, co mu szczególniéj ułatwiał jego

---

[1]) X. Waleryan Kalinka. *Królestwo Kongresowe.* „Na nieszczęście, nasz patryotyzm ówczesny, dla wiary chłodny, obojętny, tém samém musiał być niewytrzymały, niedostateczny i w niepowodzeniu stać się niecierpliwym, rewolucyjnym. Wyjątkowa pobożność Skrzyneckiego była jednym z powodów jego niepopularności. *Z Bogiem czy bez Boga, byle na wroga!* śpiewano w armii i stolicy, a ta piosnka zostanie znakiem czasu“...

X. Aleksander Jełowicki tak pisze o wolnomyślności Chopina: „Miał on wielu d o b r y c h przyjaciół, a z ł y c h, to jest bez wiary, bardzo wielu; ci zwłaszcza byli jego czcicielami, a tryumfy jego w sztuce najwnikliwszéj zagłuszyły mu w sercu Ducha Świętego jęki niewypowiedziane“.

niezwykły talent mimiczny... Gdy miał taki zły dzień, mniéj się troszczył o gości: milczący, przygnębiony, apatyczny, zamknięty w sobie, zdawał się być obojętnym na wszystko, nie stać o nic, tylko oddychał ciężko i z widocznym trudem, a raz po raz krztusił się gwałtownie. Gdy się czuł gorzéj, potrafił być nawet przykrym dla swego najbliższego otoczenia, zwłaszcza był podejrzliwy. Wprawdzie sobie zdawał sprawę z téj przywary, ale mimo to nie miał dość panowania nad swém chwilowém usposobieniem, ażeby je zmódz i przezwyciężyć [1]).

Tymczasem zdążyła przyjechać jego siostra, pani Jędrzejewiczowa. Przyjechała z mężem i z córką, a ujrzawszy Fryderyka, przekonała się, że niezbyt długo będzie potrzebował jéj pieczy. W każdym razie cieszył się niezmiernie, że przyjechali, że umierając, będzie miał kogoś ze swoich, co mu oczy zamknie...

Bo że się nie łudził nadzieją wyjścia z téj choroby, z tém już przestał się taić, zwłaszcza, że nie bał się śmierci. Owszem, z tego, co mówił o swym zbliżającym się zgonie, pozwalał wnosić, że go oczekiwał z pewnym rodzajem utęsknienia, nie bez pewnéj „gorzkiéj rozkoszy" [2]). Myśl rozstania się z życiem, pełném bolesnych wspomnień, a teraz szarpaném fizycznemi cierpieniami, nie budziła w nim chwilami wielkiego żalu. Mimo to nie zaniedbywał niczego, ażeby się ratować, ażeby możliwie opóźnić nieuniknioną katastrofę. To téż, jakkolwiek był zrezygnowany zupełnie, i to od dawna, stawał się coraz sumienniejszym w wypełnianiu zaleceń lekarskich, a kiedy doktorowie Cruveiller i Louis zaproponowali zwołanie konsylium, nalegał sam, by wezwano doktora Blache'a, najsławniejszego podówczas lekarza chorób dziecięcych.

— On mi najprędzéj pomoże, mówił, bo we mnie jest coś z dziecka [3]).

---

[1]) Oto np. jaki raz list napisał w tych czasach do Franchomme'a: „Drogi przyjacielu! Przyszlej mi nieco twego Bordeaux. Muszę dziś napić się trochę wina, a żadnego nie mam w domu. Stałem się tak podejrzliwym, że wolę, byś opakowawszy butelkę także ją i zalakował swoją pieczątką, bo ci posłańcy!!!" List ten, przytoczony przez Niecksa, pisany jest w oryginale po francusku.

[2]) Liszt. Chopin, str. 90: „Był przekonany, że lada dzień żyć przestanie. W tej myśli, całém sercem przyjmując troskliwość przyjaciela, starannie jednak ukrywał przed nim, jak dalece, zdaniem swojém, czas już niedługi korzystać z niej będzie. Pod tym względem zdawał się mieć nawet wielką odwagę i jakbądź przekonania o blizkiej śmierci nie zbywał młodzieńczą niedbałością, niemniej z pewną gorzką rozkoszą czekał spełnienia swych przywidzeń".

[3]) St. Tarnowski, *Op. cit.* str. 42.

Ale nie pomógł i doktór Blache. Zebrawszy się na naradę, lekarze orzekli ostatecznie, że niema ratunku: choroba rozwijała się i komplikowała coraz bardziéj. Oczywiście, że tego nie powiedzieli pacyentowi! Kazali mu tylko zmienić mieszkanie na zimę, to bowiem, które zajmował przy *Square d'Orléans*, nie było dość słoneczne. Chodziło o to, żeby się przeniósł do lokalu z oknami na południe.

Ta kwestya nowego mieszkania wpłynęła na Chopina w sposób całkiem nieprzewidziany: ogromnie się do niéj zapalił. Oddawna już — bo od chwili zerwania z panią Sand — chciał się wynieść ze „skweru", teraz więc, gdy na to nastawali sami lekarze, z prawdziwą przyjemnością myślał o téj przeprowadzce, przyczém, gdy o niéj była mowa, ożywiał się tak dalece, że nawet zapominał o opłakanym stanie, w jakim się znajdował. Jak gdyby miał jeszcze całe lata przed sobą, zaczął snuć coraz nowe plany, nie cofając się i przed bardzo dalekiemi, a wszystkie stały w bliższym lub dalszym związku z owém mieszkaniem... [1]) Gdy je znaleziono wreszcie, a wybór padł na ładny lokal przy *Place Vendôme Nr. 12*, w tym samym domu, w którym znajdowało się biuro Grzymały, nie mógł się doczekać chwili, gdy się pożegna z obrzydłą mu już *Rue Chaillot*... Podlegając tym charakterystycznym złudzeniom, które są tak właściwe suchotnikom na krótko przed śmiercią, nabiérał nowéj ochoty do życia i, jakgdyby mu to mieszkanie miało służyć na bardzo długo, zaczął je urządzać z rosnącém upodobaniem, z niemałym nakładem nawet: wszystko było obrachowane na wielką dogodność, wszystko musiało być ładne, w najlepszym gatunku [2]). Musiano kupować nowe meble, nowe obicia, etc., a ponieważ sam był przykuty do łoża, więc we wszystkiém wyręczał się przyjaciółmi i siostrą, wydając im najbardziéj drobiazgowe rozporządzenia... O nastroju, w jakim się znajdował temi czasy, świadczy jego list do Franchomme'a, który przed paru dniami opuścił Paryż, udając się z żoną i dziećmi nad morze. Chopin otrzymawszy od niego list, odpisał mu w te słowa: „Niedziela po Twoim wyjeździe, 17 września

---

[1]) St. Tarnowski, *Op. cit.*, str. 42. Liszt. *Op. cit.*, str. 129. „Czytał trwogę na twarzach wszystkich przyjaciół, widzieć mógł, jak coraz uporczywiéj smutek koło niego się szerzył, sam jednakże nie zdawał się w tym przedmiocie zbyt żywego brać udziału. Mówił wprawdzie o niedalekim końcu swoim ze spokojem i czysto chrześciańską rezygnacyą, niemniej nie przestawał tworzyć zamiarów na przyszłość"!

[2]) St. Tarnowski, *Op. cit.*, str. 42.

1849. Drogi przyjacielu! Żałuję niezmiernie, że się niedobrze czułeś w Le Mans. Teraz jesteś w La Touraine, któréj niebo, spodziewam się, pomyślniéj wpłynie na Twoje zdrowie. Co do mnie, to jest mi raczéj gorzéj, niż lepiéj. Panowie Cruveiller, Louis i Blache odbyli konsylium i zadecydowali, że nie powinienem wyjeżdżać, lecz wziąć mieszkanie od południa i zostać w Paryżu. Po długich szukaniach znalazł się bardzo drogi wprawdzie, ale za to wszelkim warunkom odpowiadający lokal, Place Vendôme Nr. 12. Albert (Grzymała) ma tam teraz swoje biura. Méara bardzo mi była pomocną przy poszukiwaniu téj nowéj siedziby. Krótko mówiąc, będę was wszystkich w ciągu przyszłéj zimy widział w dość pomyślnych okolicznościach. Siostra moja zostaje u mnie; chyba, iżby się gwałtem dopominano o jéj powrót do domu. Kocham Cię, i to jest wszystko, co Ci na razie powiedziéć mogę, gdyż upadam ze zmęczenia i osłabienia. Siostra moja cieszy się, że znów zobaczy panią Franchomme, a ja cieszę się z tego niemniéj. Niech się dzieje wola boska... Najserdeczniejsze ukłony dla pana i pani Forest. Jakże chętnie spędziłbym kilka dni z wami! Czy pani Lauvergéat także bawi nad morzem? Nie zapomnij kłaniać się jéj odemnie, jak również i panu Lauvergéat. Uściskaj Twoje pociechy, a do mnie napisz znów kilka słów. Zawsze Twój... Siostra moja całuje panią Franchomme".

A więc upadał z osłabienia! Jakoż to było powodem, że zaczął ograniczać odwiedziny znajomych, przyjmując tylko niektórych. Musiał się liczyć z siłami, a nadewszystko z głosem, którego miał coraz mniéj. W czasie wizyt (a tych miał nadmiar, odkąd się wszyscy zaczęli zjeżdżać do Paryża), z konieczności musiał rozmawiać, zdobywać się na uprzejmość, a to wyczerpywało go zbytnio... Tém zniewolony, stał się niewidzialnym dla wielu, dla wszystkich mianowicie, na których widzeniu mniéj mu zależało: gdy przyszli, dowiadywali się w przedpokoju, że pan śpi, lub nie przyjmuje, ponieważ ma się gorzéj.

W takich warunkach odwiedził go któregoś dnia Cypryan Norwid. Nie widzieli się od owéj wizyty u Bohdana Zaleskiego. Norwidowi bowiem, lubo ciągle dowiadywał się o Chopina, tak się jakoś życie układało, że ani razu nie mógł się wybrać na ulicę Chaillot. Zaszedłszy teraz, dowiedział się od służącéj Francuzki, że pan śpi. Usłyszawszy to, zostawił bilet, na którym napisał kilka słów pozdrowienia, i cofnął się ku sieni. Ale zaledwie zstąpił po kilku schodach, gdy służąca wybiegła za nim, mówiąc, że pan, dowiedziawszy się, kto był, prosi, nie spał bowiem, tylko zmęczony

nie przyjmuje nikogo. Wdzięczny za to wyróżnienie, Norwid, gdy wszedł do sypialni Chopina, zastał go ubranego wprawdzie, ale „do pół leżącego w łóżku”, z nabrzmiałemi nogami, co odrazu dawało się zauważyć, ile że były obute w pończochy i trzewiki. Przy chorym siedziała pani Jędrzejewiczowa, „dziwnie z profilu doń podobna”. On sam, w cieniu głębokiego łóżka z firankami, oparty na poduszkach, okręcony szalem, bardzo był piękny, mając tak, jak zawsze, coś skończonego w każdym ruchu, coś, zdaniem Norwida, monumentalnie zarysowanego, „coś, co arystokracya ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszéj epoce cywilizacyi greckiéj”... Ujrzawszy wchodzącego poetę, przedewszystkiém zaczął mu wyrzucać, że go tak dawno nie odwiedził (a co chwila urywał zaczęte zdanie, bo, mówiąc, kaszlał i dławił się), następnie zaś począł sobie żartować z niego, sprzeciwiać mu się, posądzając go o „mistyczne kierunki”, tłomaczyć wreszcie, że jeśli nie pokazywał się przez czas tak długi, to niezawodnie dlatego, że przystąpił do Towiańczyków. Norwid, znając tę słabość Chopina, że sobie lubił dowcipkować na temat „mistrza Andrzeja“ i jego czcicieli (w czém nie przepuszczał nawet Mickiewiczowi, nie mówiąc już o Słowackim, którego wogóle nie lubił), i widząc, że choremu sprawia to przyjemność, nie obrażał się za podobne żarty. Rozmowa zresztą nie trwała długo: Chopin zaczął znowu kaszlać, a wykaszlawszy się, zmęczony, odpoczywał w milczeniu, przysłuchując się opowiadaniu gościa, który tymczasem zwrócił się do jego siostry... Potém przyszło jeszcze kilka gwałtownych paroksyzmów kaszlu, aż wreszcie nastąpiła przerwa. Chory tylko oddychał ciężko... Uważając, że była to najodpowiedniejsza chwila, by go zostawić w spokoju, Norwid zaczął się żegnać. Wtedy Chopin, ścisnąwszy go za rękę i odrzuciwszy sobie poruszeniem głowy włosy z czoła, rzekł:

— Wynoszę się...

To rzekłszy, urwał nagle, bo znowu przyszedł kaszel. Autor *Czarnych kwiatów*, zrozumiawszy te słowa Chopina, jako aluzyę do bliskiéj śmierci, zaprotestował przeciwko temu, wiedząc zaś, że „nerwom jego dobrze robiło silnie coś czasem przeczyć”, całując go w ramię, odpowiedział:

— Wynosisz się tak co rok, a przecież chwała Bogu oglądamy cię przy życiu.

Ale jakże się zdziwił i zmieszał, gdy Chopin, przestawszy kaszlać, dodał z naciskiem:

— Mówię ci, że się wynoszę z tego mieszkania na plac Vendôme... [1]).

III.

Nastąpiło to jeszcze przed końcem września, ale nie sprowadziło najmniejszéj zmiany na lepsze. Chory czuł się coraz gorzéj. Nie pomagało mu słońce, które prawie przez cały dzień świeciło w okna; nie pomagał widok nowego mieszkania, które kończono meblować przy nim; nie pomagały lekarstwa doktora Cruveiller, który go teraz odwiedzał stale; nie pomagała czuła opieka siostry, dniem i nocą czuwającéj przy łożu. Był tak wycieńczony, że nie mógł siedziéć bez podparcia, że z łóżka lub fotelu nie mógł się podnieść o własnéj mocy. Kaszel stawał się coraz częstszy i dokuczliwszy, a oddech — coraz trudniejszy. Raz po raz przychodziły duszności, połączone z uderzeniami krwi do głowy, a nogi puchły coraz bardziéj. Zdarzały się chwile, w których biedny chory, nie mogąc zaczerpnąć powietrza, męczył się tak okropnie, że serce krajało się w obecnych. Na szczęście miewał i takie dnie, że czuł się względnie dobrze...

Właśnie w tym czasie przyjechał do Paryża Moscheles. Dowiedziawszy się o ciężkiéj niemocy swego młodszego kolegi, natychmiast pospieszył na Place Vendôme, wrażenie zaś, jakie wyniósł z tych przyjacielskich odwiedzin, tak sformułował w swym dzienniku: „Nieszczęściem, usłyszeliśmy o Chopinie, że się znajduje w stanie, zagrażającym jego życiu. Rozpytywaliśmy jednych i drugich, aż wreszcie znaleźliśmy potwierdzenie wszystkich najsmutniejszych wieści. Odkąd leży tak, złamany chorobą, siostra jest przy nim. Biedny człowiek! Dni jego obecnie są już policzone. Cierpi bardzo. Smutny los"!

A niebawem pogorszyło się tak dalece, że czasami robił wrażenie konającego. Któregoś dnia, podczas wizyty doktora, siedząc na łóżku, podtrzymywany przez jednego z przyjaciół, na którego ramieniu się wspierał, milczał długo, poczém, ocknąwszy się z głębokiéj zadumy, w któréj zdawał się być pogrążony, rzekł nagle:

— *Maintenant j'entre en agonie* [2]).

Usłyszawszy to lekarz, który go właśnie trzymał za puls, łago-

---

[1]) *Czarne kwiaty.*

[2]) Teraz zaczynam konać. Ob. Niecks, II, 346; Tarnowski 44; Schultz, 144.

dnemi słowy starał się wmówić w niego, że nie powinien tracić nadziei, bo nie jest z nim tak źle, jak sobie wyobraża. Chopin jednak, któremu w téj chwili zimny pot zaczął spływać po czole, nie dał się przekonać, lecz z rozwagą, wprost niedopuszczającą zaprzeczenia, odpowiedział:

— *C'est une rare faveur que Dieu fait à l'homme en lui devoilant l'instant où commence son agonie. Cette grace il me la fait... Ne me troublez pas* [1]).

I znowu zaczęły się gwałtowne paroksyzmy kaszlu. W przerwach między jednym atakiem a drugim, chory, w obecności księżnéj Marcelliny Czartoryskiéj, skarżył się kilkakrotnie:

— Dlaczego ja tak cierpię! Żeby to w bitwie, to bym rozumiał, bo bym mógł być przykładem dla innych, ale skoro umiéram tak nędznie, w łóżku, na cóż się to komu przyda, że się tak męczę [2]).

Odtąd każdy dzień zdawał się być ostatnim. Dolegliwości stawały się coraz żywsze, chory jęczał ciężko, dusił się, mdlał, ale przytomnym był ciągle. Choć miał zupełną świadomość swego rozpaczliwego stanu, to jednak, ile razy się czuł nieco lepiéj, wnet odzyskał zwykłą żywość umysłu, a spokojem i pogodą, z jakiemi oczekiwał śmierci, wzruszał i budził podziw [3]). Bo, że śmierć już stała za progiem, o tém nie wątpił nikt z pośród całego otoczenia.

Dnia 12 października, gdy nadszedł wieczór, było tak źle, że dr. Cruveiller, nie ręcząc za noc, polecił wezwać księdza. Posłano po O. Jełowickiego, wiedziano bowiem, że jest to jedyny sługa boży, który Chopina może zdoła nakłonić do przyjęcia Sakramentów [4]). Gdy przyszedł, chory, dowiedziawszy się o tém, nie kazał go wpuszczać do siebie [5]). Dopiéro po niejakim czasie, ulegając perswazyom

---

[1]) Wielka to łaska, gdy Bóg pozwala człowiekowi mieć świadomość chwili, gdy zaczyna się jego konanie. Łaską tą obdarza mnie obecnie... Nie przeszkadzajcie mi.

[2]) Tarnowski, *Chopin*, 44.

[3]) Liszt, 130.

[4]) *Tyg. illustr.* z d. 27 lutego 1897. *List ks. A. Jełowickiego do pani Ksawery Grocholskiéj o śmierci Chopina.*

[5]) Inaczéj tę rzecz opowiada Niecks. Według niego (t. j. według relacyi naocznych świadków) ks. Jełowicki od wielu lat żył w niezgodzie z Chopinem. Dlatego, gdy dowiedziawszy się o jego zbliżającéj się śmierci, stawił się w progu jego mieszkania przez nikogo nie wzywany, trzy razy był odprawiany przez przyjaciół umierającego. Dopiero, gdy mu się udało przez kogoś powiadomić Chopina, iż on, ks. Jełowicki, pragnąłby się z nim widzieć, Chopin kazał go niezwłocznie dopuścić do siebie... Ks. Jełowicki odwiedzał go co dzień, po kilka godzin z rzędu przesiadując u jego łoża. Tak opowiadał Niecksowi o tém zdarzeniu Fr. Liszt...

przyjaciół i siostry, ustąpił. Przystawszy jednak na zobaczenie się z księdzem, uczynił tyle tylko, że gdy ten stanął przed nim, uścisnął mu rękę i rzekł:

— Kocham cię bardzo, ale nic mi nie mów. Idź spać.

A więc nie dopuścił nawet, ażeby go Jełowicki zaczął namawiać do pogodzenia się z Kościołem. Jakoż na tém skończyła się ich lakoniczna rozmowa tego wieczoru. Ksiądz wrócił do domu, strapiony takim obrotem rzeczy, a tymczasem na Chopina przyszła ciężka noc, bezsenna i pełna cierpień...

Nazajutrz w południe, gdy ks. Jełowicki, niezrażony wczorajszém zachowaniem się swego przyjaciela, zjawił się powtórnie, Chopin, który właśnie spożywał śniadanie, a w ogóle był rzeźwiejszy od rana, nietylko nie ociągał się z przyjęciem go, lecz poprosił nawet, by mu towarzyszył przy jedzeniu. Jełowicki nie odmówił, a po śniadaniu, jakoś nie zabierając się do wyjścia, usiadł na łóżku, obok artysty, i zaczął z nim rozmawiać w możliwie serdecznym tonie. Chopin zdawał się być rad swemu dawnemu koledze ze szkolnéj ławy, o tém zaś, co wczoraj zaszło pomiędzy nimi, milczał, jakby cały epizod uważał za niebyły. Ośmielony tém jego zachowaniem się, a także przeczuwając, że je należy uważać za dowód pożądanego zwrotu we Fryderyku, ksiądz Jełowicki rzekł:

— Przyjacielu mój kochany, dziś są imieniny mego brata, Edwarda.

Wzruszony tém wspomnieniem, Chopin westchnął głęboko, co widząc duchowny, tak mówił daléj:

— W dzień święta mego brata daj mi wiązanie.

— Dam ci, co zechcesz, odpowiedział Chopin.

— Daj mi duszę twoją...

— Rozumiem cię. Weź ją...

Uradowany tą pokorą Chopina, ks. Jełowicki podał mu krzyżyk, składając go w milczeniu na jego ręce. Wtedy Chopinowi popłynęły łzy... Nareszcie, gdy obaj ochłonęli cokolwiek, a wszyscy wydalili się do przyległych pokoi, zapytał ksiądz:

— Czy wierzysz?

— Wierzę.

— Jak cię matka nauczyła?

— Jak mię matka nauczyła.

I nie mogąc się powstrzymać od płaczu, wyspowiadał się, poczém sam prosił o Wiatyk i ostatnie pomazanie. Przyjął je wobec siostry i kilku przyjaciół, klęczących i modlących się obok. Następnie, gdy kapłan zabiérał się do wyjścia, kazał wynagrodzić jego

zakrystyana, prosząc, ażeby mu dano dwadzieścia razy tyle, ile się zwykle daje.

— To za wiele, rzekł ksiądz.

— Nie za wiele, odparł złamanym głosem chory, bo to, com przyjął, jest nad wielką cenę.

Tymczasam w przyległych komnatach gromadziło się coraz więcéj osób. Bywały chwile, że wprost tłoczono się w przedpokoju. Cały Paryż bowiem, muzykalny i emigracyjny, na wieść, iż Chopin dogorywa, spieszył się z nim pożegnać... Oczywiście, że nie wszystkich dopuszczano do niego. Tylko najwybrańsi mieli to smutne szczęście, ci zaś, dostawszy się do tego pokoju, gdzie wszyscy mówili po cichu, a najgłośniéj rozlegał się suchy kaszel chorego, ledwo mogli zapanować nad wzruszeniem... Wsparty na ramieniu jednego z przyjaciół (najczęściéj Gutmanna, który, jako najsilniejszy i najwyższy wzrostem, najlepiéj umiał go podtrzymywać), zamiast leżeć, przeważnie siedział na łóżku; w téj pozie bowiem najmniéj jeszcze męczył się oddychaniem. Gdy się dowiedział, że ktoś przyszedł, zaraz kazał prosić, rozmawiał — o ile mógł — jaknajuprzejmiéj, a ze wszystkimi żegnał się po prostu, jak przed podróżą. O śmierci, którą już widział przed sobą, mówił tak spokojnie i odważnie, jakgdyby nie po niego przychodziła [1]). Po sypialni krzątała się pani Jędrzejewiczowa, pani Matuszewska, służący Daniel, przy łożu zaś, w głowach, siadywała, modląc się, księżna Marcellina, o ile nie grała roli troskliwéj siostry miłosierdzia, odgadującéj najdrobniejsze zachcenia chorego... Inni przyjaciele i znajomi, jak Franchomme, Kwiatkowski i Gavard, pełnili wszelkie posługi, jakich ciągle zachodziła potrzeba, a inni jeszcze, czuwając w przyległym salonie, także starali się być przydatni, jak mogli. Jeden spieszył po lekarza lub felczera, drugi biegł do apteki, trzeci wprowadzał przybyłe osoby, z któremi Chopin pragnął się widziéć, czwarty stał przy drzwiach, by nie dopuszczać cisnących się, „gdyż wielu dlatego tylko się meldowało, aby widokiem umierającego ciekawość swą zaspokoić”.

Naraz, pod wpływem chwilowéj ulgi, zwracając się do księżnéj Marcelliny, chory wyraził życzenie, że pragnąłby posłuchać muzyki: żeby mu co zagrano. Jakkolwiek po wszystkiém, co zaszło do téj pory, było to żądanie więcéj niż niespodziewane, mimo to nie ociągano się z jego wypełnieniem; ponieważ był właśnie Franchomme, a znalazła się i jakaś wiolonczela, więc zdecydowano się zagrać Chopi-

---

[1]) Tarnowski, *Chopin*, 43.

nowską *Sonatę G-moll.* Do fortepianu zasiadła księżna... Niestety, już po kilkunastu pierwszych taktach, Chopin, widocznie wzruszony wspaniałą introdukcyą do téj swojéj pieśni łabędziéj [1]), znowu zaczął się dusić... Zerwano się z miejsc, i tak się skończyła ta muzyka [2]).

Znów przyszło pogorszenie. Lekarze zebrali się na jeszcze jedno konsylium, uradzili przecież, że ich rola skończyła się, a natomiast zaczynała się dla kapłana, odmawiającego modlitwy za konających. Jakoż ksiądz Jełowicki prawie nie wychodził z pokoju... Tymczasem Chopin leżał bez ruchu, milczący z przymkniętemi powiekami, obojętny na wszystko, a nawet, jak się zdawało, nieprzytomny. Obecni byli przeświadczeni, że oto zbliża się ostatnia chwila, i obstąpiwszy umierającego, z niepokojem wpatrywali się w jego wychudłe i posiniałe oblicze. Nagle otworzył szeroko oczy, a zdziwiony widokiem tylu osób, zgromadzonych dokoła niego, zapytał napół przytomnie:

— Co oni tu robią? czemu się nie modlą?

Wtedy ksiądz Jełowicki zaczął odmawiać litanię do wszystkich Świętych, na którą całe otoczenie, nie wyłączając kilku protestantów, odpowiadało klęczący.

Nadeszła noc, a Chopin, nie mogąc usnąć, prawie ciągle trzymał w swych rozgorączkowanych dłoniach rękę siedzącego przy nim ks. Jełowickiego.

— Ty mnie nie odstąpisz w téj stanowczéj chwili, mówił ledwo dosłyszalnym głosem, a gdy mu ksiądz podawał krzyż do ust, całował rozpiętego na nim Chrystusa, powtarzając co chwila:

— Jezus Marya!

Niekiedy, widząc smutne twarze obecnych, którzy pomimo wysiłku nie mogli nie okazać swéj boleści, zwracał się do nich czule, mówiąc:

— Kocham Boga i kocham ludzi. Dobrze mi, że tak umiéram.

---

[1]) *Sonata G-moll* na fortepian i wiolonczelę była ostatniem dziełem Chopina, wydrukowanem za jego życia.

[2]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska*, 261. „Kiedy raz zrobiło mu się lżéj, prosił chory, żeby mu zagrano, chciał jeszcze raz słyszéć muzykę. Księżna siadła do fortepianu, Franchomme wziął wiolonczelę, i mieli grać *Sonatę Chopina...* Ale po pierwszych taktach przyszła duszność, zerwali się, zaczęło się konanie“. Trochę inaczej pisze o tej chwili St. Tarnowski w liście prywatnym do mnie: „W wilię śmierci kazał Franchommowi i księżnej grać jakąś *Sonatę Mozarta*, ale ledwo wzięli jeden akord, dostał duszności, i skończyło się, nie grali“.

Siostro moja kochana, nie płacz. Nie płaczcie, przyjaciele moi! Jam szczęśliwy... Czuję, że umieram. Módlcie się za mnie. Do widzenia w niebie!

To znowu zwracając się do lekarzy:

— Puśćcie mnie! Niech umrę! Już mi Bóg przebaczył, już mię woła do siebie. Puśćcie mnie! Chcę umrzeć!

I znowu po niejakiéj chwili:

— O, piękna umiejętność przedłużać cierpienia! Gdybyż jeszcze na co dobrego, na jaką ofiarę, ale na umęczenie mnie i tych, co mnie kochają. Piękna umiejętność! Napróżno zadajecie mi srogie cierpienia! Możeście się pomylili?... On mnie oczyszcza... O, jakże Bóg dobry, że mnie na tym świecie karze! O, jakże Bóg dobry!...

Do księdza Jełowickiego zaś, chcąc mu wyrazić swą wdzięczność, że go nakłonił do przyjęcia Sakramentów, rzekł nie bez lekkiego odcienia humoru:

— Gdyby nie ty, byłbym skończył, jak... świnia [1]).

Nie zapomniał téż i o pani Sand, którą mu przypominała obecność jéj córki, pani Clesinger. Myśląc o „Lukrecyi", rzekł do Franchomme'a:

— *Elle m'avait dit que je ne mourrais que dans ses bras* [2]).

Widocznie miał żal do niéj, że go nie odwiedziła raz jeszcze przed śmiercią... Nie wiedział, że autorka *Lukrecyi Floriani*, zajęta właśnie w tym czasie wystawieniem swego dramatu w *Théâtre Français*, przysyłała na *Place Vendôme* panią Marliani, by w jéj imieniu poinformowała się o jego stanie zdrowia... Nie wiedział również, że przyjaciele jego, wiedząc, jak by go podobna wiadomość wzruszyła, uznali za właściwe nie wspominać mu nic o téj wizycie... [3]).

---

[1]) Ks. Jełowicki, w liście do pani Grocholskiéj, powiada, iż Chopin rzekł: „Bez ciebie, mój drogi, byłbym zdechł, jak świnia".

[2]) Niecks, II, 346. Słowa te, według Franchomme'a, miał Chopin wypowiedzieć na dwa dni przed śmiercią.

[3]) Tak opowiada o tém Karol Gavard. Tymczasem Gutmann zapewniał Niecksa, że pani Sand osobiście zjawiła się u drzwi mieszkania Chopina, gdzie powitana przez Gutmanna, pytała, czy może się zobaczyć z Chopinem. Gutmann jednak odradzał jéj to stanowczo, gdyż mogłoby to Chopina przyprawić tylko o zbyt silne, a przynajmniej jak w danym wypadku niepożądane wzruszenie. Zdaniem Niecksa atoli, nie zawsze, a szczególniéj tym razem, należy zupełnie polegać na relacyach Gutmanna, nie wszystko bowiem, co ten opowiadał o ostatnich chwilach Chopina, pozostaje z sobą w logicznéj zgodzie. I tak np. aż dwa razy mówił

Nadszedł dzień 15 października, niedziela. Od samego rana chory czuł się raźniejszym... Tegoż dnia przybyła do Paryża pani Delfina Potocka. Przyjechała z Nizzy, gdzie dowiedziawszy się, iż Chopin jest umierający, coprędzéj pospieszyła nad Sekwanę, by go raz jeszcze zobaczyć przy życiu... Gdy ku niesłychanemu zdziwieniu wszystkich zjawiła się na *Place Vendôme*, Chopin, usłyszawszy o tém, ucieszył się nadzwyczaj, a gdy wreszcie piękna hrabina, przybrana w biały strój klasyczny, w którym wyglądała, jak grecka bogini, zbliżyła się do niego, rzekł z rozpromienionóm obliczem:

— *C'est donc pour cela que Dieu tardait tant à m'appeler à Lui; il voulait encore me laisser le plaisir de vous voir.*

Ale wzruszony tém powitaniem, niedługo cieszył się z przyjazdu swéj przyjaciółki, bo przyszedł nowy atak duszności i kaszlu, atak trwający kilka godzin, a dokuczliwszy od wszystkich poprzednich. Pod wieczór przyszło znów znaczne polepszenie... Chory uspokoił się, a ujrzawszy panią Potocką, rzekł do siedzącego przy nim ks. Jełowickiego, że pragnąłby posłuchać jéj śpiewu. Żądanie to, w podobnéj chwili, wydało się tak dziwném, że je zrazu wzięto za majaczenie, ale gdy je powtórzył raz jeszcze z naleganiem, nie pozostało nic innego, tylko mu zadośćuczynić. Jakoż przysunięto fortepian z salonu aż do drzwi sypialni, poczém pani Delfina, z oczyma wilgotnemi od łez, głosem drgającym ze wzruszenia, zaczęła śpiewać... O ile nie akompaniowała sobie sama, prawdopodobnie wtórował jéj Gutmann. Śpiewała, jak twierdzi większość świadków naocznych, sławny *Hymn do Matki Boskiéj*, o którym istnieje legenda, że ocalił niegdyś życie Stradelli... Chwila była niezmiernie uroczysta i przejmująca: wszyscy słuchali z oddechem zapartym w piersiach, a Chopin, uniesiony zachwytem, zapominając o swych cierpieniach, powtarzał jakby w ekstazie:

— Jakże to piękne, ach! jak piękne!

Gdy zaś pani Potocka, skończywszy ten wzniosły hymn, odstąpiła od fortepianu, jemu było mało téj jednéj pieśni.

— Jeszcze, jeszcze! powtarzał błagalnie.

Lubo wyczerpana i z trudem mogąca zapanować nad łkaniem, pani Delfina, nie mogąc umierającemu odmówić téj ostatniéj arty-

---

podobno Gutmann Niecksowi, że osobą, która przychodziła pytać się imieniem pani Sand, czy by wypadało, by ta ostatnia mogła się zobaczyć z Chopinem, miała być pani Clesinger. Tymczasem nie mogło to mieć miejsca stanowczo, bo 1) pani Clesinger wcale się w tych czasach nie komunikowała z matką, żyjąc z nią w najgorszych stosunkach, a 2) że ona właśnie należała do osób, które się najgorliwiéj krzątały przy łożu dogorywającego Chopina.

stycznéj rozkoszy, znowu podeszła do fortepianu, a gdy ucichły szlochania, zaczęła śpiewać... Co? O ile nie jest pewném, czy to był *Psalm* Marcellego czy arya Belliniego z *Beatrice di Tenda* [1]), o tyle jedno nie ulega wątpliwości, że pani Potocka nie dokończyła śpiewać téj drugiéj pieśni, że ją musiała przerwać, gdyż choremu zrobiło się gorzéj, przyszedł nowy atak, wszyscy w popłochu rzucili się z pomocą...

Wieczorem pogorszyło się jeszcze bardziéj. Przyszła chrypka, sprowadzająca prawie całkowitą utratę głosu; nadto dawał się zauważyć zanik przytomności: chory, cierpiąc okropnie, zdawał się nie poznawać tych nawet, co go otaczali. Każdéj chwili spodziewano się katastrofy... I tak przeszła cała noc, najgorsza ze wszystkich dotychczasowych.

Ale nad ranem znowu polepszyło się znacznie: chory odzyskał głos, wróciła przytomność, ustały cierpienia. Pod wrażeniem téj niespodziewanéj ulgi, zamiast się cieszyć z niéj, Chopin nie taił się z refleksyą, że to źle... Jakto? Czemu?

— Bo mnie to przywiązuje do życia, rzekł, a ja powinienem się od niego odrywać [2]).

---

[1]) O ile pewném jest, że pani Delfina śpiewała przy łożu umierającego Chopina, że śpiewała *dwie* pieśni i że to miało miejsce, „pod wieczór d. 15 października“, o tyle nie wiemy napewno, co śpiewała. Pod tym względem istnieje kilka wersyi. Karol Gavard, cytowany przez Niecksa, oświadcza wprost, że nie wie, co pani Potocka śpiewała: zbyt był wzruszony tą sceną, tym kontrastem, tym nadmiarem boleści, ażeby słuchać uważnie. Pamięta tylko, że w chwili, gdy pani Potocka śpiewała *drugą* pieśń, przyszedł atak, więc musiała przerwać. To samo twierdzą Liszt, Karasowski i Szulc, którzy powiadają, że pani Potocka śpiewała *Hymn do Matki Boskiéj* Stradelli i *Psalm* Marcellego! Dodać winienem, iż to samo utrzymywała księżna Marcellina Czartoryska, a dziś utrzymuje jéj syn, książe Marcelli Czartoryski. Wiem o tem od p. Juliusza Stattlera. Tymczasem St. Tarnowski (prawdopodobnie opierając się na opowiadaniu księżnéj Marcelliny) powiada, że pani Delfina „śpiewała jakąś aryę Belliniego (podobno z *Beatrice di Tenda*)“ Gutmann twierdzi stanowczo, że był to *Psalm* Marcellego i jakaś arya Pergolese'a. Franchomme natomiast z niemniejszą stanowczością utrzymuje, że arya była z *Beatrice di Tenda*. Wodziński w swoich *Les trois Romans de Frédéric Chopin* także podaje aryę z *Beatrice di Tenda*, choć wogóle trzyma się Karasowskiego i Liszta. Nadmienić winienem, że w czasopiśmie *L'artiste (Revue de Paris)* z dnia 1 listopada 1849 roku, a więc we dwa tygodnie po śmierci Chopina, pisano: „Le mourant soupplia la comt. Potocka de chanter le psaume de Stradella“. Jest to głos współczesny, tém większą też należy doń przywiązywać wagę. Wynikałoby zeń, że Chopin sam prosił panią Delfinę o zaśpiewanie psalmu Stradelli... NB. Chwilę tę, gdy pani Potocka śpiewa umierającemu Chopinowi, uplastycznił na obrazie malarz francuzki Barrias. Obraz ten, ofiarowany pannie Winnaretta, zdobi dziś galeryę księcia de Campofelice.

[1]) St. Tarnowski, *Chopin*, 43.

Równocześnie, z doznaną ulgą, wróciła myśl o tém, co było treścią i wdziękiem jego życia, myśl o muzyce. Widząc, że obok tych, co z takiém poświęceniem czuwali nad nim, nie brakło i jego najserdeczniejszych przyjaciół, Gutmanna i Franchomme'a, aż dwa razy kazał ich przywoływać do siebie, dla każdego znajdując jakieś czułe słowo pożegnania i błogosławieństwa... Ujrzawszy dwie swoje najmilsze uczennice, księżnę Marcellinę i Elizę Gavard, skinął, by się zbliżyły do niego, co gdy uczyniły, rzekł im z przejmującą słodyczą w głosie:

— *Vous ferez de la musique ensemble, vous penserez à moi et je vous écouterai.*

A kiedy w odpowiedzi na te słowa, Franchomme oświadczył wzruszony: „Dobrze, będziemy grywali twoją *Sonatę*...“ Chopin odrzekł:

— O nie, nie moją! *Vous jouerez de la vraie musique, du Mozart* [1]).

Poczém, zwracając się do siostry, prosił ją, by spaliła wszystkie jego niewydane a mniéj wartościowe kompozycye:

— Winienem to publiczności, mówił, i sobie, żeby ogłaszać tylko rzeczy dobre. Trzymałem się tego przez całe życie, chcę się trzymać i teraz [2]).

---

[1]) Por. St. Tarnowski, *Chopin*, 44, *Ks. Marc. Czart.*, 261; Karasowski, II, 149; Niecks, II, 346.

[2]) Taką wersyę podaje St. Tarnowski (Chopin, (43) najprawdopodobniej na podstawie opowiadania księżnej Marcelliny. Tymczasem Niecks, opierając się na tém, co mu opowiadał Franchomme, tak pisze w tej kwestyi: „Pleyel zapytał Chopina, co ma się stać z jego manuskryptami, i otrzymał taką odpowiedź: Można je rozdzielić między przyjaciół, żadnego nie należy ogłaszać drukiem, a fragmenty zniszczyć“. W czasopiśmie *L'Artiste* z d. 1 listopada 1849 r. tak pisze w tej kwestyi niejaki A. H.: „Il laisse des oeuvres inédites; mais à son lit de mort il a voulu qu'elles fussent brûlées, disant qu'il pouvait seul, avec son coeur depuis longtemps blessé, faire comprendre toute la tristesse amoureuse et tout le charme profond de cette musique faite pour lui seul et que seul il a entendu. Eugène Guinot w felietonie dziennika *Le siècle* (z d. 4 listopada 1849 r.) utrzymuje iż wszystkie papiery Chopina, wraz z jego niewydanemi kompozycyami, zostały, w jego oczach tego samego dnia, gdy śpiewała pani Delfina, wrzucone w ogień. „Moi seul, reprit il, pouvais faire comprendre cette musique... Laissez moi donc l'emporter avec moi. ...Le pianiste des femmes brula ensuite un très grand nombre de lettres concervées pieusement et avec l'amour jusqu'au moment suprême. Parmi ces lettres il y avait des belles pages écrites par une plume éloquente et signiées d'un nom celèbre (George Sand). Celles là furent brulées comme les autres, et c'est autan de perdu pour la posterité.

Było to jedno z tych jego ostatnich poleceń, które z największą przytomnością i spokojem dawał bądź siostrze, bądź księżnéj Marcellinie [1]), bądź niektórym zaufanym przyjaciołom. Chciał być pochowanym na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu Belliniego, którego muzyki był szczerym wielbicielem, a z którym między rokiem 1833 a 1835 żył w ścisłéj przyjaźni [2]). Ale życząc sobie, by go pochowano na wspomnianym cmentarzu, pragnął jeszcze czegoś więcéj: umierał na obczyźnie, lecz sercem należał wyłącznie do swego kraju, do swego rodzinnego miasta: dlatego pragnął, aby to serce zwrócono Warszawie, jako niepodzielną własność, i pochowano w którym z tamtejszych kościołów. Do trumny chciał być złożonym w stroju, w którym występował na swych ostatnich koncertach. [3]) Na nabożeństwie żałobném odprawioném za jego duszę, gdy trumna będzie stała w kościele, radby, żeby było wykonane *Requiem* Mozarta [4]), a na cmentarzu, gdy trumnę będą spuszczali do grobu, niech

---

[1]) St. Tarnowski, *Księżna Marcellina Czartoryska.*

[2]) Oto, co z powodu tego życzenia Chopina pisze Liszt w swej książce o nim: „Chciał być pochowany obok Belliniego, z którym się bardzo przyjaźnił, a który spoczywa na cmentarzu Père Lachaise, w pobliżu Cherubiniego. Trzeba, że właśnie Cherubiniego kiedyś uczcić pragnąc (w poszanowaniu bowiem tego mistrza osobliwie go ćwiczono), po to jedynie Chopin w r. 1831 do Paryża się był wybrał. Dziś grób jego znajduje się między mogiłami Belliniego i Cherubiniego, wpośród tych dwóch geniuszów, tak między sobą różnych, którym jednak on w równym stopniu stał się pokrewny, tyleż w jednym ceniąc naukę powszechną, ile mając wrodzonej skłonności ku drugiemu: bo tchnąc temże samem uczuciem melodyjnem, co i twórca *Normy*, posiada tęż samą wartość i głębokość harmonijną, co stary Cherubini, skojarzywszy w sobie jednym, w sposób dostojny, mgliste objawy wzruszeń z umiejętnością wytrawnego mistrza". Franchomme utrzymuje, że Chopin wcale nie wypowiedział tego życzenia, iż chce być pochowanym obok Belliniego (Niecks, II. 352).

[3]) Liszt, *Chopin*, 79. Kwiatkowski, malarz, zapytywany przez Niecksa w tej kwestyi, odpowiedział, że nic nie wie o tem życzeniu Chopina.

[4]) Wszystkie dzienniki paryskie zaraz po śmierci Chopina pisały o tem jego życzeniu. Hector Berlioz np. pisze w *Journal de Débats* z d. 27 października, że „dostojny uczeń Chopina, Gutmann, usłyszał to życzenie z ust mistrza prawie z ostatniego jego tchnienia". Tymczasem Gutmann zapewniał Niecksa, że nigdy podobnego życzenia nie słyszał z ust Chopina. To samo twierdzi Franchomme. Karol Gavard natomiast, którego pamiętnik okazał się najprawdomówniejszym i najdokładniejszym ze wszystkiego, co pisano o ostatnich chwilach Chopina, utrzymuje stanowczo, że Chopin sam ułożył program nabożeństwa żałobnego, jakie się miało odbyć po jego śmierci, i że życzył sobie, aby przy tej sposobności było wykonane *Requiem* Mozarta. Liszt i Szulc także podkreślają to życzenie Chopina. Zważywszy trudności, jakie nastręczało wykonanie Mo-

na jéj wieko wysypią tę garść ziemi polskiéj, którą mu przed jego wyjazdem z Warszawy ofiarowali przyjaciele i towarzysze lat młodzieńczych... [1]) Wszystkie papiery, jakie znajdują się w jego biurku, spalić.

Nad wieczorem pogorszyło się znowu. Nastąpiły gwałtowne kurcze nerwowe, na których pokromienie okazał się tylko jeden skuteczny środek: choremu zaczęto nacierać ręce i nogi, co wykonywane przez Gutmanna, sprowadzało niejakie uspokojenie. Ale był to już początek końca... Stojący przy łożu ks. Jełowicki zaczął odczytywać modlitwy za konających, Chopin zaś, podtrzymywany przez Gutmanna, z głową bezwładnie złożoną na jego ramieniu, z przymkniętemi oczyma, z piersią podnoszącą się i opadającą ciężko, siedział milczący, nieruchomy, okutany kołdrą, oświetlony ponurém światłem gromnic. Obecnym, którzy, klęcząc, modlili się za niego, zdawało się, że spał, że nie wiedział, co się działo wkoło niego. Okazało się jednak, że i słuchał i uważał, bo gdy ksiądz dokończył modlitwy, on otworzył oczy — rozwierając je dziwnie szeroko — i rzekł wyraźnie:

— Amen! [2])

Z kolei, gdy mu ksiądz podał krzyż do pocałowania, wyszeptał:

— Jestem już u źródła szczęścia [3]).

Po tych słowach, wciąż wsparty o siedzącego przy nim na łóżku Gutmanna, zapadł w niespokojną śpiączkę, z któréj ocknął się

---

zartowskiego *Requiem*, można być pewnym, że gdyby to nie było wyraźnem życzeniem Chopina, poprzestano by na skromniejszem nabożeństwie żałobnem. Skoro te wszystkie trudności przezwyciężono, wskutek czego sam pogrzeb musiał się odbyć dopiero we dwa tygodnie po śmierci artysty, to już to samo można uważać za dowód, że chciano uszanować ostatnią wolę zmarłego. Zresztą kult, jaki Chopin przez całe życie żywił dla Mozarta, w zupełności motywuje podobne życzenie z jego strony.

[1]) Karasowski, *Chopin*, II, 202.

[2]) Tak opisuje tę chwilę K. Gavard. Inaczej o niej opowiada Liszt: „Dopiero około 11-ej w nocy miał niejakie polepszenie. Wtedy zwróciwszy się ku księdzu Jełowickiemu, ile że głos był odzyskał, zapragnął mówić z nim modlitwy i litanię, którą się zwykło odmawiać w godzinie śmierci. Co gdy spełniono, powtarzał i odpowiadał głośno i wyraźnie. Od tej chwili, bez ustanku już, trzymał głowę wspartą na ramieniu Gutmanna". Szulc powiada, że Chopin powtarzał za spowiednikiem słowa modlitwy głośno i wyraźnie w języku łacińskim. Najprawopodobniejszą jest wersya Gayarda, której też trzyma się Niecks, II, 348

[3]) List ks. Jełowickiego do Ksawery Grocholskiej.

dopiero po północy. Ujrzawszy przy sobie Gutmanna, nie poznając go, zapytał ledwo dosłyszalnym głosem:

— Któż to jest przy mnie?

Gdy usłyszał odpowiedź, zażądał pić. Wtedy Gutmann podsunął mu do ust szklankę wody z winem, chory napił się trochę, poczém, opuściwszy głowę, pocałował podtrzymującego go Gutmanna w rękę, wyszeptawszy:

— *Cher ami!* [1])

Około godziny 2-éj zaczęło się konanie. Zimny pot obficie spływał po czole umierającego, głowa mu zwisła bezwładnie, i tylko piersi pracowały ciężko. W końcu przyszedł nowy atak duszności, który już miał być ostatnim: konający, dusząc się, pociemniał na twarzy, raz po raz zdawało się wszystkim, że już się kończy jego męczarnia, że za chwilę przestanie jęczeć...

Tak upłynęła godzina. Wreszcie ustały cierpienia, oddech stał się spokojniejszy, a nawet tak spokojny, że myślano, iż to już koniec... Wtedy to dr. Cruveiller, który wraz z drugim lekarzem nie odstępował od łoża, wziął zapaloną świecę, prawie nią dotknął się poczerniałéj twarzy artysty, a przypatrzywszy mu się uważnie, oświadczył zgromadzonym, że zmysły i mózg już przestały działać... A jednak mylił się i tym razem jeszcze, bo skoro zapytał Chopina, czy bardzo cierpi, usłyszał krótką, lecz całkiem dorzeczną odpowiedź:

— *Plus.*

Było to ostatnie słowo, jakie usłyszano z ust wielkiego muzyka. W niespełna godzinę potém, między 3-cią a 4-tą rano, wyzionął ducha. Umarł na ręku Gutmanna, a ostateczną przyczyną, która sprowadziła śmierć, był anewryzm serca [2]).

---

[1]) Szklankę tę przechowywał Gutmann, jak najdroższą pamiątkę, aż do końca życia. B. Stavenow powiada, że Chopin p o c a ł o w a ł Gutmanna w rękę i w chwilę potem skonał. Gutmann był tak wzruszony, że go hr. Grzymała musiał wyprowadzić z pokoju. Liszt opowiada nieco inaczej, mianowicie że Chopin, po napiciu się owéj wody z winem, pochylił się do ręki Gutmanna, aby ją pocałować, i w tym ostatnim objawie wdzięczności, nic nie rzekłszy, oddał ducha.

[2]) Dom przy *Place Vendôme* Nr. 12, choć przebudowany, istnieje dotąd. W ostatnich czasach powstała myśl umieszczenia na fasadzie tego domu tablicy pamiątkowéj dla Fr. Chopina. Tablicę ofiarował znany artysta p. Cypryan Godebski. Medalion wykonał bezinteresownie p. Trojanowski, rzeźbiarz.

W r. 1897 uchwaliła Rada Municypalna Paryża nazwać jeden z placów w dzielnicy *de la Muette* (w pobliżu Lasku Bulońskiego) *Placem Chopina*. Naturalnie, że Francuzi, nazywający Chopina *notre grand maitre*, nie przypuszczają nawet, że Chopin mógł nie być Francuzem... W tymże czasie powstał w Paryżu projekt wystawienia pomnika Chopinowi na którym z placów publicznych paryskich.

Gdy się przekonano, że już nie żyje, otwarto drzwi sypialni, ażeby wszyscy, zgromadzeni w przyległych pokojach, mogli zapłakać nad jeszcze nie zastygłemi zwłokami, popatrzéć w martwe oblicze mistrza i wrazić sobie w pamięć jego zakrzepłe rysy.

On tymczasem, z niedomkniętemi oczyma, z głową w tył rzuconą, z włosami w nieładzie, których długie złotawe loki ciemno odbijały od śnieżnéj bieli poduszek, leżał sztywny, blady, z obliczem, wolném już od tego wyrazu cierpienia, które na niem jeszcze przed chwilą wyciskało swój bolesny stygmat.

W liczbie osób, które téj nocy znajdowały się w mieszkaniu Chopina [1]). był także malarz Tadeusz Kwiatkowski. Serdecznie zaprzyjaźniony ze zmarłym, którego kilka portretów ołówkowych i akwarellowych rysował i malował w ostatnich czasach, a zawsze z zachwytem wpatrujący się w pełne szlachetności i dystynkcyi, subtelne i delikatne rysy genialnego muzyka-poety, i teraz, kiedy mu się przypatrywał spoczywającemu na śmiertelném łożu, postanowił jeszcze raz odtworzyć tę ukochaną głowę. W tym celu czekał, aż się rozwidni, a gdy to nastąpiło, nie zwłócząc, wziął się do pracy, w któréj „łzy żalu niemałą były przeszkodą..." Wytężył wszystkie siły, ażeby ten pośmiertny wizerunek Chopina wypadł jaknajlepiéj, i dopiął celu: akwarella bowiem, którą wymalował tego ranka, bodaj czy nie jest jego arcydziełem [2]).

Gdy skończył malować, zaraz po nim rzeźbiarz Clesinger zdjął maskę pośmiertną [3]).

Następnie przyszła kolej na doktorów, którzy, skonstatowawszy śmierć, najprzód zrobili sekcyę, potém wyjęli serce, które, stosownie do życzenia Chopina, miało być zwrócone Warszawie, i wreszcie zabalsamowali zwłoki...

---

[1]) Z pomiędzy osób, znajdujących się w mieszkaniu Chopina, należy wymienić: siostrę Chopina, prof. Jędrzejewicza, księdza Jełowickiego, d-ra Cruveiller, hrabiego Grzymałę, Karola Gavarda, malarza Kwiatkowskiego. Co do innych osób, jak np. księżny Marcelliny, to niema żadnych pewnych dowodów, że w téj chwili znajdowały się przy łożu Chopina. Nie należy zapominać, że była to godzina 3-cia w nocy.

[2]) Nadmienić wypada, że istnieje obraz Kwiatkowskiego *Chopin na łożu śmierci*, przedstawiający zmarłego mistrza w otoczeniu jego siostry, księżny Marcelliny Czartoryskiej, Grzymały, księdza Jełowickiego i samego malarza. O obrazie tym pisze dr. H. Dobrzycki w *Tygodniku illustrowanym* Nr. 7 i 8 z r. 1894 w artykule, p. t. *Kilka słów o portretach Chopina.*

[3]) Maska ta znajduje się dziś w *Muzeum Czartoryskich* w Krakowie.

Około południa, gdy ciało, już przybrane w strój odświętny, złożono do trumny, przyjaciele Chopina, jego wielbiciele, uczniowie i uczennice, wiedząc, jak lubił kwiaty, zwłaszcza fijołki, zaczęli przysyłać i znosić ich tyle, że niebawem cały salon, gdzie wystawiono zwłoki, zamienił się w jeden przewonny ogród [1]).

IV.

Gdy żałosna wieść o śmierci Chopina rozeszła się po Paryżu, zaraz wszystkie dzienniki pomieściły krótsze lub dłuższe artykuły o zmarłym. Jednym z pierwszych, co się rozpisał o nim, był głośny poeta i dziennikarz, Teofil Gautier, którego feljeton, poświęcony naszemu artyście, ukazał się w *La Presse* już w numerze z d. 22 października". Zdaniem autora *Emaux et Camées* „świat muzykalny będzie opłakiwał w Chopinie nietylko jednego z trzech czy czterech najsławniejszych fortepianistów swojéj epoki, ale przedewszystkiém kompozytora"... Zdaniem Juliusza Janin, który o przedwcześnie zgasłym „Arielu fortepianu" napisał piękny artykuł w *Journal des Débats*, był Chopin „jakby uosobieniem muzyki i natchnienia". „Tylko ci, co go słyszeli, mogą mieć pojęcie o tym talencie, tak subtelnym i wytwornym, a tak urozmaiconym jednocześnie, talencie, który przemawiał do najszlachetniejszych i najserdeczniejszych stron duszy ludzkiéj". Według p. Scudo z *L'Ordre* był Chopin ze wszystkich pianistów swego czasu „najszczerzéj oryginalnym", to téż „z pomiędzy całéj masy kompozycyi fortepianowych, sfabrykowanych w ciągu lat 20-tu, jego dzieła są jedynemi może, które zostaną..." Kronikarz dziennika *Le Constitutionel* podkréślił polskość utworów Chopina, co także uczyniły inne pisma... Trzymająca aż po dziś dzień prym pomiędzy czasopismami obrazkowemi *L'illustrion* ozdobiła pomieszczony przez siebie długi i dość dokładny życiorys Chopina pięknym portretem według medalu Bovy'ego. Kronikarz tygodnika *La Musique*, w długim lirycznym artykule w numerze z d. 21 października, tak pisał między innemi: „Biedny Chopin! Gdy go się widywało ostatniemi czasy, smutnego, bladego, wychudłego, zgarbionego, z zapadłemi oczyma, poprostu było się przerażonym...

---

[1]) Liszt, *Chopin*, 134. „Ponieważ wiadomo było, iż nadzwyczaj lubił kwiaty, więc nazajutrz przyniesiono ich tyle, że *dosłownie, łoże, na którem spoczywał, najzupełniéj pod niemi zginęło*". Niecks, II, 351: Szulc, 145.

Ci, którzy go widzieli w poufném kółku, a przedewszystkiém ci, co go mieli sposobność słyszéć, jak z wzruszającém uczuciem, wezbraném miłością lub boleścią, grał swe żałosne melodye, o! tylko oni jedni wiedzą, ile był wart ten szlachetny charakter, ile w jego sercu było czułości, natchnienia i słodyczy. Słuchając go, było się wzruszonym, czuło się jakiś smutek, ogarniający duszę, i chciwie śledziło się grę tego przedziwnego pianisty, który z taką przejmującą prawdą umiał wyrażać wszelkie uczucia...“ *Revue et Gazette musicale de Paris* słusznie zauważyła w swém obszerném wspomnieniu pośmiertném, że „jeśliby królowa Mab zapragnęła miećswego nadwornego fortepianistę, to niewątpliwie wybrałaby sobie Chopina; a trzebaby chyba owego boskiego pióra, które opisało fantastyczny korowód cudnéj bogini marzeń, żeby określić te kunsztowne i nieskończone zawikłania, te motywy, przeładowane drobnemi nutkami, a jednak, lekkie jak koronka, w których przejrzystą gazę zawsze spowijał swoje pomysły“. Do tego dziennikarskiego chóru, w mniéj lub więcéj wymownych słowach opiewającego zgon wielkiego muzyka, przyłączył się i słynny kompozytor, zwany francuzkim Wagnerem, Hector Berlioz, którego felieton o Chopinie, wydrukowany d. 27 października w *Journal des Débats*, był mistrzowską charakterystyką zmarłego, jako człowieka i muzyka. „Ileż to przejmujących wrażeń — czytamy tam między innemi— potrafił wywołać swą muzyką! W jakże namiętnych i rzewnych wrażeniach zwykle pogrążał swą duszę! Najczęściéj bywało to około północy: wtedy czuł się najswobodniejszym. Gdy się wyniosły wszystkie grube ryby salonowe, gdy już dawno wyczerpały się wszystkie bieżące kwestye polityczne, gdy już wszyscy plotkarze kończyli swoje obmowy i anegdoty o nieobecnych, gdy już omówiono wszystkie wiarołomstwa i podłostki bliższych lub dalszych znajomych, słowem, gdy wszyscy mieli dosyć zwykłéj życiowéj prozy, wówczas on, posłuszny nieméj prośbie jakiéjś pary pięknych oczu o inteligentném spojrzeniu, podchodził do fortepianu, z chwilą zaś, gdy się dotknął klawiatury, odrazu stawał się poetą, śpiewającym o ossyanicznych miłościach swych wymarzonych bohaterów, o ich rycerskich hulankach, o ich tęskotach za oddaloną ojczyzną...”

Gdy tak pisały dzienniki, a trumna ze śmiertelnemi szczątkami Chopina, za specyalném pozwoleniem księdza Deguerry, spoczywała w podziemiach kościoła św. Magdaleny, komitet, złożony z najbliższych przyjaciół, uczniów i uczennic zgasłego mistrza, z Gavard'em (ojcem) na czele, krzątał się około przygotowań do uroczystego pogrzebu: obmyślano szczegóły programu, rozsyłano zaproszenia,

a przedewszystkiém czyniono starania, ażeby stało się zadość życzeniu nieboszczyka, mianowicie, by Mozartowskie *Requiem* mogło być odśpiewane podczas nabożeństwa. Z artystami nie było trudno: wszyscy bez wyjątku, zarówno śpiewacy i śpiewaczki opery włoskiéj, jak i członkowie orkiestry z konserwatoryum, przyrzekli swój współudział w téj żałobnéj uroczystości, gdyż wszyscy chcieli w ten sposób wyrazić swe uwielbienie dla wielkiego artysty; ale o mało co nie rozbiło się wszystko o opozycyę ze strony władz duchownych, które w żaden sposób nie chciały zgodzić się na to, by i kobiéty miały śpiewać w kościele. Na pierwszą prośbę w téj sprawie, J. E. arcybiskup Paryża oburzył się żywo, oświadczając stanowczo, że nigdy nie da przyzwolenia na coś podobnego. Ale przezwyciężono i tę trudność (w przeciwnym razie bowiem należałoby zrezygnować z wykonania arcydzieła Mozarta), człowiekiem zaś który głównie wpłynął na przełamanie uporu arcybiskupa, był ksiądz Deguerry, proboszcz kościoła św. Magdaleny, a Chopina gorący wielbiciel. Jemu miano do zawdzięczenia, że dwie najświetniejsze gwiazdy ówczesnéj opery, panie Castellane i Viardot-Garcia, mogły odśpiewać swe partye... Zaczęto odbywać próby, a że te wymagały pewnego czasu, więc pogrzeb naznaczono dopiero na wtorek 30 października... Na dwa dni przedtém, w niedzielę, podczas zwykłego nabożeństwa w kościele św. Magdaleny, ksiądz Deguerry wygłosił kazanie, w którém między innemi, w sposób, który wzruszył wszystkich, opowiedział o ostatnich chwilach Chopina, podnosząc jego wzniosłą chrześciańską rezygnacyę, z jaką umierał...

W końcu nadszedł dzień 30 października. Już od samego rana panował przed kościołem św. Magdaleny, na obszernym ogrodzonym placu przed grecką kolumnadą świątyni, nadzwyczaj ożywiony ruch, który po niejakim czasie zamienił się w jedno pstre i gwarne morze głów ludzkich, zalewające całą przestrzeń między domami. Nad główném wejściem, po środku frontonu, z pod żałobnéj draperyi, na któréj obok różnych insygnii srebrzyły się wielkie litery F. C., zwieszała się czarna kotara, świadcząca, że ma się odbyć jakiś wielki niezwyczajny pogrzeb. Począwszy od godziny 11-éj, t. j. od chwili, gdy otwarto drzwi świątyni, do któréj wnętrza wpuszczano tylko za biletami, ze wszystkich stron zaczęło się zjeżdżać nieprzejrzane mnóstwo powozów i karet z uliberowanymi stangretami i lokajami na koźle (ekwipaże te następnie, czekając na osoby co z nich wysiadły, wypełniły wszystkie okoliczne ulice).

Powiada E. Guinot, że „gdy się patrzyło na ten zewnętrzny przepych, panujący dokoła, na ten niezwykły napływ pojazdów i liberyi,

zwłaszcza zaś gdy się nie posiadało tego przywileju, który tylko wybranym umożliwiał wstęp do kościoła, nie było się bynajmniéj zdziwionym, gdy wśród gawiedzi, tłoczącéj się na placu przed główném wejściem, dawały się słyszéć pytania: „Cóż to za wielkiego pana będą chowali?” W tych bowiem, co zajeżdżali przed bramę, a mieli zaproszenia, każdy z łatwością poznawał najwybitniejszych przedstawicieli paryskiéj arystokracyi, paryskiéj *haute finanse*, paryskich sfer artystycznych, nie wyłączając i wybitnych cudzoziemców.

Jakkolwiek takich uprzywilejowanych, co posiadali bilety wstępu, było około 3000 osób, to jednak i takich, którzy ich nie mieli, znalazł się cały legion. Ztąd niezadowolenie i szemrania, których echo nawet się odbiło na szpaltach dzienników. *La Réforme* np. pisała oburzona, że na pogrzebie „tego anioła fortepianu, któremu było na imię F. Chopin“ nie mogła być, pomimo najszczerszych chęci, reprezentowaną. „I nie wiemy doprawdy, dlaczego? Tyle tylko, że jakiś niewiadomy komitet uznał widocznie naszą *Réformę* za dziennik za mało polski, ażeby jeden z jego współpracowników mógł sobie u niego zasłużyć na ten sam zaszczyt i tę samą grzeczność, co tylu innych reprezentantów prasy”. To pominięcie wielu osobistości ze świata literacko-artystycznego, którym arystokratyczny komitet nie posłał zaproszeń, skarcił także E. Guinot w swoim feljetonie: „Wszystkie najdrobniejsze życzenia i zachcenia Chopina, nie wyłączając kaprysów z ostatnich dni, uwzględniono z iście religijnym pietyzmem. Pragnął Mozartowskiego *Requiem* na swym pogrzebie i wykonawczynie jego testamentu wspaniale zorganizowały tę uroczystość. Tylko na uroczystość tę, bądź to przez zapomnienie, bądź umyślnie, całkiem nie zaproszono większości przedstawicieli świata... muzycznego. Dzięki temu, wielu członków Instytutu, wielu sławnych artystów, wielu wybitnych pisarzów, nadaremnie próbowało, wbrew zakazowi, dostać się do środka, gdzie, jak się okazało, ogromną przewagę miały damy z arystokracyi. Niektóre przyjechały aż z Londynu, Wiednia i Berlina...”

W kościele tymczasem, po wybiciu godziny 11-éj, szybko zapełniały się wszystkie miejsca, zarówno na dole, w środkowych i bocznych nawach za kolumnami, jak i na galeryach, a rozglądając się wśród tego wytwornego zgromadzenia, było się skłonnym do podzielenia opinii Teofila Gautier, którego zdaniem „niektóre toalety damskie mieniły się tak jaskrawemi barwami, że aż raziły wśród największéj liczby strojów czarnych“. Istotnie nie brakło

takich dam, które na ten pogrzeb wystroiły się, jak na koncert. Pozatém jednak, mówi Gautier, wszystko miało wygląd uroczysty, wszystko, nie wyłączając saméj natury, tak, iż nawet „złoty promień słońca, wpadający przez otwarte drzwi, mile się błąkał wśród żałobnéj atmosfery, panującéj wewnątrz świątyni". Wszystkie umysły były nastrojone poważnie, a nie brakło i takich oczów, które pod czarnemi welonami błyszczały łzami... Nie brakło ani jednego przyjaciela, ani jednego z gorących wielbicieli zmarłego. W tłumie przedstawicieli dyplomacyi, polityki, nauk, literatury i sztuk pięknych, widziano także i ambasadora angielskiego, lorda Normanby... Polacy-emigranci także byli bardzo licznie reprezentowani... Sam kościół, żałobnie udekorowany, przedstawiał odmienny, niż zazwyczaj, a imponujący widok. Pośrodku wznosiło się olbrzymie mauzoleum, obwieszone czarnemi, srebrem przetykanemi draperyami, z srebrnemi literami F. C. na całunie. Wewnątrz tego mauzoleum, w otoczeniu kwiatów, wieńców i świec w wysokich lichtarzach, stał katafalk, oczekujący na trumnę... Wielka, półokrągła nisza, znajdująca się za stopniami wielkiego ołtarza, była przesłonięta czarną kotarą, która, rozchylając się w środku, pozwalała widziéć orkiestrę i męzką część chórów... Kobiety stały w ukryciu, niewidzialne. Dyrygować miał słynny kapelmistrz, Girard. Orkiestra umieściła się nie w zwykły sposób, t. j. na pochyłości wznoszącéj się od przodu ku tyłowi, lecz na równéj płaszczyznie posadzki, co trochę zdziwiło, a nawet zaniepokoiło fachowych muzyków, przejmując obawą, iż takie rozmieszczenie może głuszyć dźwięk instrumentów. Na szczęście, obawa okazała się płonną...

Tymczasem, punktualnie o godzinie 12-éj w południe, rozpoczęła się uroczystość. „W samo południe—powiada Teofil Gautier—posępni tragarze zjawili się we drzwiach świątyni, niosąc trumnę z ciałem wielkiego artysty." W téjże chwili z przeciwnéj strony kościoła odezwały się dźwięki orkiestry, zaczęły rozbrzmiewać głuche, ponure, przerażające akordy Chopinowskiego Marsza żałobnego, umyślnie w tym celu instrumentowanego przez Rebera [1]). Śmiertelny dreszcz przebiegł po całém zgromadzeniu, i nie było nikogo, coby się nie czuł przejętym i wzruszonym do szpiku

---

[1]) Meyerbeyer, choć mu wogóle wyznaczono bardzo zaszczytną rolę w ciągu téj uroczystości, ubolewał przed przyjaciółmi, w téj liczbie przed Karolem Gavardem, że nie jemu powierzono instrumentowanie tego niezrównanego dzieła, pozbawiając go tém samem możności złożenia podobną pracą hołdu pamięci zgasłego mistrza, którego mienił się być przyjacielem...

kości, jakiekolwiek światowe i obojętne myśli żywił był przed chwilą... Co do nas, powiada Gautier, to zdało się nam, że słońce pobladło, a złocone kopuły przvbrały zielonawy odcień niepokoju... Instrumentacya, według świadectwa Oskara Commetant, okazała się szczęśliwie ułożoną i pełną poezyi (suave et heureusement menagée): „Wszyscy podziwiali wzruszającą prostotę partyi skrzypcowéj, brzmiącéj, jak żałosne łkania jakiéjś duszy zbolałéj i złamanéj“... „Niepodobna było — zdaniem sprawozdawcy z *Le Pays* — w majestatyczniejszy sposób zagaić téj wspaniałéj uroczystości, ani jéj opatrzyć w szlachetniejszy wstęp do Mozartowskiego arcydzieła.“ Swoją drogą znaleźli się i tacy, którym się wydało, że sama instrumentacya była zbyt powściągliwą, że mogła być pełniejszą.

Skoro przebrzmiały tragiczne tony Chopinowskiej kompozycyi, a trumnę tymczasem ustawiono pod baldachimem, przyszła koléj na *Requiem*, które tém większe budziło zainteresowanie, że od roku 1840, gdy było wykonane podczas uroczystości przeniesienia prochów Napoleona do kościoła Inwalidów, nie słyszano go w Paryżu. Wiedziano nadto, że partye solowe mieli odśpiewać: sopranową pani Castelane, kontraltową pani Viardot-Garcia, tenorową Alexis Dupont, a basową Lablache. „Wobec takiego, jedynego i niedościgłego kompletu śpiewaków, mających być wykonawcami téj boskiéj muzyki,“ nie było dziwném, gdy na chwilę przed jéj rozpoczęciem, niewypowiedziana cisza zaległa nawę kościelną. W końcu zaczęło się wspaniałe *Dies irae*. Odśpiewali je na tle orkiestry i chórów Lablache i Dupont, oraz panie Castellane i Viardot-Garcia. „Wypowiedziéć — pisał sprawodawca z *Chronique musicale* — ile w téj kompozycyi brzmi rezygnacyi i uniesienia, skupionéj boleści i powagi, nie jest w ludzkiéj mocy. Cała chwalebna pokusa wyczerpałaby się na próżne wysiłki w celu oddania wrażeń, wywołanych muzyką, która chwyta i wiąże, niby jakaś nieznana magnetyczna siła; analizować to, czego się doznaje, nie umiałby nikt chyba: poprostu ustępuje się pod wpływem tego uroku, który czaruje i olśniewa tak, iż dajemy się unosić polotowi twórcy, polotowi, który go zbliża do nieba.“

Po *Dies irae*, odśpiewaném wśród natężonéj uwagi całego audytorium, zdało się wielu osobom, że znowu słyszą jakieś natchnione dzieło Mozarta. Złudzenia tego doznano wówczas, gdy organy — jak powiada *Le Pays* — z potęgą fal oceanu, przewalających się na piaszczystém wybrzeżu, zabrzmiały pierwszemi tonami jakiéjś muzyki, która odrazu zdała się tak uroczystą, tak podniosłą i szeroką, że nie wiedziało się, zali pochodziła z niebios, czy z ziemi.

„Tylko wielki mistrz mógł znać tajemnicę tych piorunowych dźwięków, co chwila zakłócających spokój tego jednolitego dzieła. Utwór ten, wykonany przez p. Lefebure, organistę przy kościele św. Magdaleny, był najpiękniéjszą mową pogrzebową, głoszącą sławę Chopina. Jest on istotnie własnością słynnego pianisty: były to dwa jego *Preludia*. Przyjaciel zmarłego, Franchomme, uważał je za tak potężne uczuciem, że je chciał ułożyć na wiolonczellę. Nadmienić wypada, że nigdy doskonalsze wykonanie nie nadało konkretnych kształtów cudniejszemu dziełu. Preludia te zagrane były zamiast *Offertorium* Mozarta." Tyle *Le Pays*.

Zdaje się, że owe dwa *Preludia* Chopina, *H-mol* i *E-mol*, największe podczas całego nabożeństwa na słuchaczach uczyniły wrażenie: przynajmniéj wszyscy sprawozdawcy najobszerniéj rozpisali się o ich mistrzowskiém wykonaniu przez słynnego Lefebure-Vely. Oto, co o niém pisze np. Teofil Gautier: „W przerwach, przepisanych żałobną liturgią (*pendant les interruptions voulues par la liturgie de l'office des morts*), p. Lefebure-Vely wykonał na organach dwa utwory, a raczéj dwie żałosne skargi Chopina, między innemi jedno *Preludium*, które przed dwoma laty niespełna mieliśmy sposobność słyszéć wyłkane przez niego samego, na jego ostatnim koncercie w Paryżu. Te dwie Chopinowskie melodye, wykonane zresztą w przepiękny sposób przez słynnego organistę, odznaczają się taką głębokością tonu, tak przejmującą melancholią, że jeszcze spotęgowały wrażenie, wywołane nieśmiertelném dziełem Mozarta...". Jęszcze entuzyastyczniéj rozpisał się o téj grze na organach sprawozdawca *Siècle'u*, Oskar Comettant. Według niego, „Lefebure-Vely potrafił uwydatnić w tych dwóch na fortepian napisanych *Preludiach* wszystko, co w nich zgadzało się ze stylem organów, przyczém *arpedżia*, niemożliwe do wykonania na ciężkim instrumencie kościelnym, zastąpił w sposób nadzwyczaj szczęśliwy przeciągłemi akordami. Podkréślimy szczególniéj wstrząsający efekt różnych kombinacyj dźwiękowych. Jest to poprostu gra głosów ludzkich, pomieszanych z brzmieniem obojów, szemrzących gdzieś w oddali jakiś śpiéw żałobny i pogrzebowy. W dźwiękach tych czuło się jakiś tragizm, poprostu osłupiały z przerażenia." Podobnie silne wrażenie zrobiła gra Lefebure-Vely'ego i na sprawozdawcy z *Revue et Gazette de Théâtre*, który, po komplementach dla orkiestry, pisał w te słowa: „Ale nic nie jest w stanie dać choćby przybliżonego nawet pojęcia o wrażeniu, jakie na wszystkich uczyniła kompozycya, odegrana bezpośrednio potém na organach: słuchając téj harmonii, tak szerokiéj, tak cudnéj i porywającéj mocą religijnego na-

tchnienia, było się przez chwilę zdolnym uwierzyć, że to z otwartych niebios dolatywały jakieś pienia anielskie..." Z niemniejszym zachwytem pisał o téj części nabożeństwa dziennik *Le Pays*: „Żadne pióro, żadna mowa ludzka nie odtworzy nigdy tego wstrząsającego wrażenia, jakie w dniu onym uczyniły dwie melodye Chopina, przecudownie zagrane przez p. Lefebure... Słuchacze drżeli poprostu ze wzruszenia. Zdawało się, że to promienna dusza Chopina ulatywała w obłoku niebiańskiéj harmonii..." Musiała jednak ta gra na organach być nad wszelki wyraz wspaniałą, kiedy nawet nieskłonny do zachwytów sprawozdawca radykalnego *L'assemblée nationale* [1]) nie wahał się przyznać, że Pan Lefebure-Vely, „zręczny organista przy kościele św. Magdaleny, odegrawszy dwa Preludia Chopina, dzięki dowcipnemu rozłożeniu różnych regestrów swego przepysznego instrumentu, potrafił utwory te zajmującemi uczynić, pomimo, że nikt by nie podejrzywał nawet, iż, ułożone na organy, mogą brzmiéć tak efektownie".

Z kolei wykonano *Agnus Dei*, a choć jest to jedna z najpodnioślejszych części *Requiem*, to jednak wszyscy godzili się na zdanie sprawozdawcy z *Le Pays*, iż nadzwyczajną piękność tego hymnu potęgowały jeszcze nieporównane głosy artystów: cała namiętność, którą płonęła dusza Mozarta, zdawała się przenikać piersi śpiewaków. „Niewątpliwie autor *Don Juana* rzucił promień swego geniuszu na tych nieporównanych wirtuozów; wszystko, co tylko sztuka może w sobie kryć wielkości i prawdziwéj potęgi, oni uwydatnili w swéj cudownéj interpretacyi." Szczególniéj Lablache zabłysnął w całéj swojéj wielkości. Gdy śpiéwał przepotężne *Tuba mirum*

---

[1]) Bezimienny sprawozdawca dziennika *L'assemblée nationale*, jakiś śledziennik, którego nic zadowolić nie mogło, okazał się jedynym, który części muzycznej tego nabożeństwa miał to i owo do zarzucenia: w wykonaniu Mozartowskiego *Requiem*, chóry nie były, jego zdaniem, dość liczne i dlatego brzmiały niedość silnie. „Malgré les teintures derrière lesquelles étaient placés les exécutants, l'extrême sonorité de l'église a quelquefois produit de la confusion..." Na tę zbytnią akustyczność kościoła zwrócił także uwagę korespondent londyńskich *The Daily News*. „The semicircular space behind the steps of the altar was creened by a drapery of black cloth, which being festooned towards the middle, gave a partial view of the vocal and instrumental orchestra, disposed, not in the usual form of a gradual ascent from the front to the back, but all on the level of the floor, an unusual arrangement which at first surprised and disappointed me, as I feared its effect in deadening the sound: byt it turned out to be advantageous, as it lessened the echo or reverberation created by the gread sonority of the building, which, after all, was occasionally felt in laud and rapid passages".

spargens sonum, które niegdyś wykonał także na pogrzebie Beethovena, „śpiew jego, pełen dramatycznéj ekspressyi, poprostu budził grozę, a potężny dźwięk jego nieporównanego głosu, w ciągu wykonania téj części *Requiem*, czynił wrażenie organów, ani na chwilę nie dając się zagłuszyć orkiestrze i innym głosom. I gdy całość zlewała się w ponurą harmonię, pełną jakiegoś niewysłowionego tragizmu rozpaczy, przepyszny b a s Lablache'a, rozlegając się na tle tego żałobnego wtóru, brzmiał jak modlitwa konającego tytana ..[1]). Niemniéj wspaniale wyszły dwie następne części, śpiéwane na cztery głosy: najprzód pełne błagalnéj prośby *Recordare Jezu pie*, a następnie słodkie i spokojne *Benedictus qui venit*. Odśpiewano je z takiém mistrzowstwem, że — jak się wyraził paryski korespondent z *The Daily News* — żadne słowo nie jest zdolne oddać tego podniosłego wrażenia, jakiego doznawali obecni. Dopiéro tego dnia, po raz pierwszy może, zrozumiano, co to jest *Requiem* Mozarta!... Jego natchnione melodye są jakby żałosnemi wynurzeniami duszy, która już prawie nie jest z tego świata, tak czuje się bliską tych zagadkowych sfer, do których droga prowadzi przez świeżo wykopany grób... Komponując to *Requiem*, Mozart czuł, że je pisze dla siebie... „*De profundis*, odśpiewane w całéj czystości swego rzymskiego stylu tak, jak je niegdyś musiano śpiewać za dobrych czasów kaplicy sykstyńskiéj, było wysłuchane w pobożném skupieniu, z uczuciem jakiéjś tajemniczéj grozy. Cóż to za rozdziérejący krzyk zbolałego serca! Ileż naiwnego przyznania się do ludzkiéj słabości, a więc uznania swéj niemocy, wyczuwa się z téj pokornéj prośby istoty śmiertelnéj, istoty, która wzdrygając się przed swą nicością, błagalnie wyciąga ręce ku Bogu miłosierdzia! Ile prostoty, a zarazem ile prawdziwego uczucia religijnego i łez znajduje się w tym hymnie zwątpienia!... Alexis Dupout, któremu tu przypadła partya solowa, okazał się, jako nawskroś uczuciowy artysta, godnym tłómaczem wielkich scen ewangelicznych; to téż tryumf, jaki w dniu tym osiągnął, należał — zdaniem jednego ze sprawozdawców — do najświetniejszych i najbardziéj zasłużonych w ciągu jego artystycznéj karyery! [2]). Wielka fuga wokalna, którą się zaczyna i kończy *Requiem*, była pełną majestatycznéj wielkości [3]). Powiada Teofil Gautier, że niepodobna wyrazić uczuć, jakich się doznawało, słucha-

[1]) Liszt w swéj książce o Chopinie utrzymuje, iż Lablache'owi akompaniował Meyerbeyer.

[2]) W sprawozdaniu dziennika *Le Pays*.

[3]) The Daily News.

jąc tego eposu przedśmiertnéj trwogi (*épopée des affres du trépas*), tych wszystkich boleści, udręczeń i tęsknot śmiertelnéj istoty, odchodzącéj do nieznanego świata. Dusza Mozarta, zmarłego zaledwie w 38 roku życia, zdawała się krążyć ponad głowami tłumu i płakać nad młodą duszą, w któréj poznawała swą siostrzycę, i opowiadać nam poemat o swych długich cierpieniach." Zdaniem kronikarza z *Revue et Gazette de Théâtre*, dawno już arcydzieło twórcy *Jowisza* nie było słyszane w okolicznościach równie uroczystych. „To téż nigdy może nie było lepiéj odczute i lepiéj wykonane."

Podczas *Offertorium* wystąpili księża, a gdy potém, po skończonéj Mszy, zaczęto się krzątać około zdjęcia trumny, Lefebure-Vely tymczasem, fantazyując na różne Chopinowskie tematy, raz jeszcze wywołał niesłychane wzruszenie wśród zgromadzonych czcicieli mistrza: to téż, gdy z góry płynęły poważne dźwięki organów, w dole, pomiędzy tłumem, dały się słyszéć „głośne łkania". Jednocześnie zaczęto się cisnąć ku wyjściom...

Gdy wreszcie trumna znalazła się za szybami francuskiego karawanu, całkiem przykryta wieńcami z świeżych kwiatów, ruszono z przed kościoła. Na czele orszaku postępowali: sędziwy książę Adam Czartoryski i Meyerbeyer, jako przedstawiciel sfer muzycznych [1]. Przy karawanie, trzymając końce całunu, kroczyli najserdeczniejsi przyjaciele zmarłego: Franchomme, Gutmann, Delacroix i Aleksander Czartoryski (mąż księżnéj Marcelliny). Za karawanem szli Jędrzejewiczowie i liczne grono przyjaciół i uczennic, oraz wszyscy wybitniejsi muzycy paryscy (*tout l'état-major de virtuoses de Paris*), nie mówiąc już o polakach, która, jak jeden mąż, stawiła się na ten pogrzeb. Nie brakło téż i wychodźców włoskich i węgierskich. Za tym tłumem pieszych, wśród którego najwięcéj słyszało się polskiéj mowy, ciągnął się nieskończony sznur powozów i karet, prywatnych i żałobnych, t. z. *voitures de deuil*. Przeciągnąwszy przez wielkie bulwary, kondukt zwrócił się ku cmentarzowi *Père Lachaise*, wrażenie zaś, jakie czynił na tych, co w nim uczestniczyli, było niezmiernie głębokie

---

[1] Tak utrzymuje Liszt. Natomiast pani Audley—w swéj książce o Chopinie — wymienia Meyerbeyera na miejscu Gutmanna. Teofil Gautier w fejletonie *La presse* z d. 5 listopada 1849 pisze, że końce całunu trzymali: Meyerbeyer, Delacroix, Franchomme i Pleyel. Według *Gazette musicale* czynili to: Franchomme, Delacroix, Meyerbeyer i Czartoryski (Aleksander).

C'était une royauté qui s'en va, wyraził się jeden z publicystów francuskich [1]).

W końcu zatrzymano się nad świéżo wykopanym grobem w jednéj z mniéj dostępnych alei cmentarza, w sąsiedztwie nagrobków Cherubiniego, Belliniego, Boildieu, Paëra, Kreutzera i rodziny Erardów. Po modlitwach księży, po bolesném *Re uiescat in pace*, wysypano na spuszczoną już do dołu trumnę garść z iemi (tę samą, którą przed dwudziestu laty wyjeżdżającemu z Warszawy Chopinowi ofiarowali w srebrnéj czarze żegnający się z nim przyjaciele), zaczém posypały się na nią grudki mogilnego piasku i kwiaty. Choć dookoła cisnął się olbrzymi tłum ludzi, dziwnie żałobnie czerniejący na tle jesiennego krajobrazu, było tak cicho, jak w kościele podczas podniesienia. Co najwyżéj wiatr szeleścił pomiędzy drzewami, strącając z nich resztę pożółkłych liści... Wśród podobnéj ciszy, któréj nie zakłóciła żadna patetyczna mowa pogrzebowa, rozpoczęła się smutna czynność grabarzy...

. . . .

. . . .

Wkrótce po śmierci Chopina, z inicyatywy Kamila Pleyela, utworzył się komitet pod przewodnictwem malarza Delacroix, w celu wzniesienia pomnika na miejscu wiecznego spoczynku zgasłego mistrza. Zaczęto zbierać składki, a kiedy po bardzo niedługim czasie udało się zebrać wystarczający fundusz, zwrócono się do rzeźbiarza Clesingera, ażeby wykonał odpowiedni monument.

W pierwszą rocznicę śmierci mistrza, d. 17 października 1850 roku, pomnik dłuta Clesingera, już ukończony całkowicie, został odsłonięty i poświęcony. Dnia tego przed południem, liczne grono

---

[1]) Mimowoli nasuwa się pytanie: czy pani Sand wzięła udział w tym pogrzebie? Rzecz dziwna, nikt nie zwrócił uwagi na jéj obecność czy niebytność, tak, iż pytanie to musi pozostać bez odpowiedzi. Może się takowa znajdzie w którym z niezliczonych listów autorki *Lukrecyi Floriani*.

Oto krótki ale żywy opis pogrzebu Chopina, wyjęty z *Gazette musicale*: „Un grand nombre de voitures de deuil et de voitures particulières ont suivi jusqu'au cimètière de l'Est, dit du Père Lachaise, le pompeux corbillard qui portait le corps du défunt. L'élite des artistes de Paris lui à servit de cortège. Plusieurs dames, ses élèves, en grand deuil, ont suivi le convoi, à pied, jusqu'au champ de repos, où l'artiste éminent, convaincu, a eu pour oraisons funèbres des regrets muets, profondement sentis, qui valent mieux que des discours, dans lesquels perce toujours une vanité d'auteur ou d'orateur.“

przyjaciół i uczniów genialnego kompozytora, zgromadziwszy się w małéj kaplicy na cmentarzu Père Lachaise, udało się pod przewodem księdza, po uprzedniém wysłuchaniu cichéj Mszy, na grób Chopina, w celu odsłonięcia pięknéj kompozycyi Clesingera. Kiedy opadła zasłona, na pomnik posypały się kwiaty i wieńce, a wreszcie, po wspólnie odmówionéj modlitwie, deputowany Franciszek Wołowski wystąpił z mową, ale był tak wzruszony, iż musiał poprzestać na wypowiedzeniu kilku słów zaledwie.„ [1]).

Sam pomnik, wykuty z perłowego marmuru, a otoczony gustownemi sztachetami z kutego żelaza, o ile nie jest zbyt wielkim, o tyle udał się swemu twórcy. Całość nacechowana jakimś rzewnym liryzmem, gdyby ją przetłómaczyć na język poezyi, stałaby się smutną elegią na śmierć Chopina...

Na kwadratowym cokule, bardzo szlachetnym, jakkolwiek prostym w liniach, siedzi Muza, pochylona, zapłakana, wsparta na złamanéj lirze. W przedniéj ścianie podstawy, na któréj także znajduje się wyryty napis *A Fred. Chopin ses amis*, bieli się alabastrowy medalion z subtelnym profilem mistrza... [2]).

Ferdynand Hoesick.

---

[1]) Tak opisuje uroczystość tę korespondent paryski pisma angielskiego *John Bull*, w numerze z d. 26 października 1850 roku. W *Gasette musicale* z d. 20 października 1850 r. czytamy o téj ceremonii, co następuje: „Une messe commémorative a été dite jeudi dernier (17 oct.) dans la chapelle du cimetière du Pére Lachaise à la memoire de Frédéric Chopin et pour l'inauguration de son monument funèbre.“

[2]) Z boku, na prawéj ścianie pomnika, znajduje się następujący napis, podkreślający polskość Chopina: Frédéric Chopin, né à Żelazowa Wola près de Varsovie. Fils d'un émigré français, marié à M-elle Krzyżanowska, fille d'un gentilhomme polonais.

Szkic pomnika Chopina zrobił Clesinger jeszcze za życia artysty, na parę dni przed jego śmiercią. Oto, co w téj mierze pisał niejaki A. H. w czasopiśmie *L'artiste*, w numerze z dnia 1 listopada 1849 r. (a więc nazajutrz po pogrzebie Chopina): „Będąc świadkiem téj powolnéj i budującéj agonii ludzkiego geniuszu, który już widzi niebo, a jednak mimo to, wyrywa się do ziemi, Clesinger, opuściwszy Chopina, udał się do swéj pracowni, ażeby tam stworzyć pomnik, godny takiego przyjaciela. Jakoż duch Chopina był przy nim, gdy rozgorączkowanemi rękoma zaczął lepić figurę ze złamaną lirą w ręku. Jest to śpiew konającego łabędzia, jest to dusza śpiewaka *Preludiów*, nachylająca się ku grobowi, téj ponuréj drodze do nieba. Wystarczył mu jeden dzień, ażeby zacząć i skończyć tę figurę. Jako dzieło sztuki, jest to rzecz pełna prostoty, smutku i szlachetności, a piękna w pomyśle, odznacza się prawdziwą wielkością“.

NA SZCZYCIE.

FRAGMENT Z POEMATU.

Młodzieniec.

Wkoło złomy granitów dzikie i olbrzymie,
Podemną gdzieś jeziora, a tam niżéj, niżéj
Świat, życie, nędza ludzka, tłumy nieszczęśliwych
I garstka panów świata, i tych zagrożonych
Tysiącem niebezpieczeństw, cierpień, nędz i bólów!
Nad wszystkiém jest cierpienie... O! gdybym z téj góry
Sięgnąwszy ręką, schwycić mógł kołowrót świata
I bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia,
Jedna pieśń szczęścia, w niebo runęła i gwiazdy
Zdumiała, jakby nagle ziemia, czerwonemi
Wybuchając ogniami, między nie wybiegła
Szalona i podobna do racy puszczonéj
Między ciche łabędzie na spokojnéj wodzie...
O pieśni! pieśni szczęścia! Czyż nigdy nie zabrzmisz?
Czy nigdy tryumfalny twój głos się nie wmiesza
Do cudownéj melodyi wichrów, mórz i lasów?
Czy nigdy ludzkie oczy nie będą, jak kwiaty
Uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy ludzkie piersi,
Jak łąki, co oparem oddychają złotym
O świcie w dzień wiosenny? Nigdy ludzkie myśli
Nie będą jak obłoki swobodnie płynące,
Zanurzone w topieli błękitu i światła?
I nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce
Promienna i gorąca, jednem tylko czuciem

Przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?
Nigdy?... I wieczny, wieczny będzie rozdźwięk w świecie
Między tém, co śni człowiek, i tém, co snem nie jest?...
Tak! Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
Tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
Nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył!
Cóż, choć nam filozofia i poezya cały
Bezmiar, całą głąb złego przed oczy postawi,
Pokaże całą nędzę ludzkiego żywota,
Całą niemoc człowieczéj samoistnéj woli,
Całą jego zawisłość od Woli Tajemnéj
I wszystkich jego pragnień źródła, i maszynę
Wszystkich jego postępków, uczynków i myśli
Na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze?
Czyż przez to ludzkość będzie szczęśliwszą? zło mniejszém?..
Są, którzy ukochali ludzkość: czyż nie widzą,
Że ta miłość jest niczém?.. Najstraszliwsze z uczuć,
Najstraszliwsze, najgorsze, najsroższe uczucie
Niemocy woli ludzkiéj, bezsilności ludzkiéj
Wobec Woli Tajemnéj i Jéj głuchéj Siły!
Czém jest życie ludzkości? Od tysięcy wieków
Patrzeniem wciąż w zwierciadło jedno i to samo
I ciekawém śledzeniem w tém jedném odbiciu
Coraz nowych wyrazów bólu i rozpaczy.
O góry! O jeziora, które tutaj widać!
Jak jesteście szczęśliwe wy, co nie możecie
Nic czuć, nic myśléć, nic chciéć!... Jesteście bezwładne
Jak my, lecz bezwładności swojéj nieświadome:
I to jest szczęście wasze!.. O! Cóżbym dał za to,
Gdybym mógł, jak wy, nie mieć wiedzy mojéj doli!
Wietrzeje granit szczytów, piorun go rozbija,
Od lawin głazów zwolna znikają jeziora,
Ale nie *wiedzą* o tém. Tak ziemia się cała
Od swoich pierwopłodów, od praepok swoich
Rozwija bezświadomie, naprzód ciągle dąży,
Bez pamięci, co przeszło, bez troski, co będzie,
Nie obarczona gorzkim ciężarem doświadczeń.
A my, bogaci przodków naszych doświadczeniem,
Wiemy, że nas nie czeka nic, prócz tego tylko,
Co było — i bogactwo to jest straszną nędzą,
Jest Strachem, który pęta ramiona Odwadze.

Przed niedolą rozwagi, przed niedolą wiedzy
Dwie są tylko ucieczki: szał i wyobraźnia.
Kiedy kobiétę, ciało, nazywam aniołem,
Gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
Kiedy mię twórcza władza w za światy uniesie,
W nigdzie nie istniejące idealne światy,
Gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.
Lecz jest to abdykacya Ducha — który przecież
Jest we mnie czémś najwyższém—zaprzeczenie Myśli,
Najszlachetniejszéj cząstce mojego istnienia —
Gdyby wznieść się tak Myślą, ażby po nad wszystkiém
Zawisnąć, niedostępnym niczemu, co ziemskie,
Być czystą myślą... Przebóg! Co za widmo wstało
Z czarnéj czeluści skalnéj?! Okiem jak sztyletem
Przebija mnie i krew mi swym uśmiechem ścina,
Swym okropnym uśmiechem!... Ktoś ty jest?!...

Widmo.

Ironia...

Młodzieniec.

Znam cię, o znam cię, widmo! Ty z pierwszym promieniem
Słońca przychodzisz rano, w południowym dzwonie
Ty dźwięczysz ponademną, ty o zmroku we mgłach
Wieczornych nad mą głową zawisasz w przestworze,
Ty z nocnych cieniów i z gwiazd wychylasz się ku mnie.
Znam cię!.. Niegdyś alpejski ów samotnik, władca
Duchów elementarnych, słyszał po nad sobą
Rzuconą klątwę życia za zbrodnię spełnioną,
Lecz jakaż moja zbrodnia? Jedna chyba tylko:
Wątpienie... Tak zaiste, pierwszym fundamentem,
Pierwszą podstawą dzieła wiara w jego koniec.
Tylko kto ślepo wierzy potrafi iść naprzód,
Zwycięży, albo padnie, ale z raną w piersiach,
Jak rycerz... Żyć to tworzyć, a tworzyć to wierzyć. .
Nie wierzyć, wątpić: lepiéj znicestwieć i przepaść!..

Głos.

Płynę cichy i świetlany
Przez przestrzenie nieskończone,

Przez wieczności oceany,
W nadświatową płynę dal;
W gwiazd otchłanie, w mgieł oponę
Patrzę jasnym, świetnym wzrokiem,
Widzę światła, co potokiem
W bezmiar rwą się z pramgły fal.

Przy mnie ziemie się rodziły
Ze słońc swoich pryskające;
Widzę ciche ich mogiły
Jak szybują ścięte w lód
I padają znów na słońce:
Giną, aby wstać z kolei,
Wstają, aby w lat zawiei
Zginąć, jak powstały wprzód.

Wieczny ruch, przemianę bytu,
Wieczną śmierć i życie wieczne
Widzę, płynąc wskroś błękitu
Przez bezdenie pustych sfer;
Bryły toczą się słoneczne
Grzmiąc i hucząc na przestworza,
Szumią lotnych mgławic morza,
Brzmią miliardy świetlnych skier.

W ponadziemskich gędźb tych toni
Płynę cichy, niewidzialny,
U stóp moich czas się kłoni
I z gwiazd gwiazdy tworzą się...
Gdzie wszechmocny, tryumfalny
Ruch Istnienia koło toczy:
W sfer głębinie mknąc przezroczéj
Cicho, słodko, bosko śnię...

Młodzieniec.

O dziwny głosie, jak gdyby w méj duszy
Słyszany własnéj, a razem w przestworze
Płynący kędyś... Dziwny słodki śpiewie!
Świetlana struno przestrzennego światła!
Brzmisz tam nademną, jednak mi się zdaje,

Jakobyś wespół brzmiał w méj własnéj duszy...
Dusza człowieka! Czyli nie jest ona
Częścią wszechduszy świata oderwaną
I w część zamkniętą wszechmateryi świata?
Lecz czemuż, czemuż, ah! czemuż tak bardzo,
Tak strasznie więzom materyi podległą?!...
Ciszy! Przestrzeni! światło! o ty święta
Ojczyzno ducha! Wszystkiemu odjęty,
W was on jest taki, jak wy, czysty, święty!
W was, kiedy skrzydła związane rozpęta,
Tęcze z nich biją i płomienne łuny,
Usta są jego, jak wichrowe struny,
Oczy, jak gwiazdy, serce, jak kwiat z pola,
Ramiona jego są jako pioruny,
Jak oceanu przypływ — jego wola!
Wtenczas on stwarza Piękno, Dobro świata,
Zło, wstręt, brzydotę skrzydłem jak pył zmiata,
Leci, jak anioł pokoju po ziemi,
Jak anioł szczęścia ku ludzkości zlata,
Rany jéj koi ustami własnemi,
Własnego serca darzy ją pokojem,
Krew jéj oczyszcza własnéj krwi swéj zdrojem,
Jest dla niéj chlebem i różdżką oliwy...
I gdyby przez swą boleść i męczeństwo
Mógł wieczne kupić jéj błogosławieństwo,
Wieczną szczęśliwość: umarłby szczęśliwy...
Lecz owa klątwa, co się ciałem zowie,
To pęto ducha, to upokorzenie,
Budzi go ze snów, jak orła, co ranny
Śnił, że ma słońca purpurę na głowie,
Pod skrzydłem wichry, pod piersią bezdenie,
I gdzieś w błotnistym ocknął się parowie...
O wieczny ducha ból! ból nieustanny!
Napróżno!... Niema mocy zwyciężenia,
Niema zwycięztwa nad zmysłów przemocą...
Napróżno!... Skrzydła, co się tu szamocą,
Do śmierci łańcuch ziemski opierścienia.
Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
Trójco méj duszy! Do ciebie ramiona
Wznoszę bolesne... Otom jak w pustyni:
Wiatr na pierś piasku mi rzuca brzemiona,

Nogi me tuman rozżarzony pęta,
Strach w kość mi wchodzi, w oczach noc się czyni...
Co jest przed światem? Co jest przed człowiekiem?
Co jest przed duchem?... Milczenie! Milczenie!
W uszach mych huczy rwący wiek za wiekiem...
Pędzą... Przelata cała ludzka fala,
Przelata całe odwieczne Istnienie...
Jak się lawina głazów w przepaść zwala
Z skalnego zrębu: tak wieki się toczą
Z hukiem i grzmotem, i giną w Bezdeni,
A po nad ziemią niebo lśni przezroczo
I słońce wiecznie jasno się płomieni...
Słowa, oh słowa. Słowa rozwiązania
Zagadki bytu, cierpień tajemnicy!
Pociechy w chwili szału i konania!...
Chryste! Na górę wchodzisz mi olbrzymią!
Pod nią się morza kotłują i dymią,
Wąż ją opasał światłem błyskawicy...
Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
Włosy, jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz, jak lew grzywą?
Dlaczego usta Twe pełne milczenia
Gorszego, niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz?! Na górze z płomienia
Dlaczego milczysz?!... Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bóle wieczyste,
Przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Swiatłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęków i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna Kolumno wśród wieków i bytów!
Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom Twéj Miłości
Jest czémś nadludzkiém tak i niepojętém,
Że co być miało Żywotem ludzkości,
Staje się trwogą, otchłanią i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekieł upada płomienie,
A Ty jéj nikniesz i odchodzisz z oczu,
I gdzieś w błękitném, dalekiém przezroczu
Postać się Twoja ukazuje blada

I niedościgła rośnie w Przerażenie...
Ch yste!...
O! Matko! Naturo! Wszechwieczna,
Wszędy obecna, wszechmocna, niezmierna,
Naturo, Matko, co szumiącém drzewem
Duszę unosisz z błękitów powiewem;
Co rzeczną falą niesiesz ją w bezdenie
Za rubież ziemi i za gwiazd świecenie;
Co wierchem górskim dźwigasz ją w bezmiary,
Zkąd widać obrót kołowrotu świata;
Któréj szum głuchy podziemnéj pieczary
Woła w praczasie przeminione lata
I zwartwychwstawać im przed oczy każe;
Naturo! Matko! Co Bogu ołtarze
Stawiasz na górach, pustyniach i morzach,
Kurzem wulkanów sząc kadzidła mszalne,
Grzmotami Boga sławiąc na przestworzach:
Do ciebie ręce wyciągam błagalne!
Naturo! Matko! Oto w twojém łonie
Wszechwiernem istność niech moja zatonie;
W twojéj potędze, pod twoim ogromem,
Niech się ma dusza uczuje atomem,
Cząstką tych szumów, które w drzewach szumią,
Cząstką téj fali, która w rzece płynie,
Cząstką tych głosów, co się w grotach tłumią,
Cząstką gry słońca na górskiéj dolinie ..
Naturo! Matko! Tak pragnę dla ducha
Téj świętéj chwili, gdy czysty i szczytny,
Jak orzeł, co się wzniesie w sklep błękitny,
Gdy pod nim huczy burzy zawierucha:
Wydarty burzom, w które krew go ciska,
Wzniesie się w czystéj myśli uroczyska,
Na Cisz zawrotnych wwiedziony krawędzie,
Tylko twą piękność czuć i widzieć będzie,
Tylko pięknością twoją żyć się zgodzi,
Podobny dumnéj i spokojnéj łodzi,
Co przewalczywszy wiry i orkany,
Żaglem na toni błyszczy zwierciadlanéj.
Wówczas niech biali przyjdą aniołowie
Rozmawiać z duszą; wówczas im odpowie

Nie jękiem bólu, nie klątwą, nie krzykiem,
Ale odpowie im cichym spokojem
Wód, co się w lesie kołyszą, językiem,
Mową drzew górskich pod mgławic zawojem.
Chcę lecieć wolny, jak światło w błękicie,
Chcę duszę rozbić na bezkresną przestrzeń,
Chcę być, jak cisza na łąk pierwobycie...
O duszo! Wzbij się! Skrzydła twe rozprzestrzeń!
Wzbijaj się! Wyżéj!... Pękajcie więzadła
Ramion i skrzydeł! Lecz wpiérw tam, z zenitu,
Raz, jak Bóg spojrzyj na otchłanie bytu,
A jeśli runiesz, toś z pod nieba spadła!

Kazimierz Tetmajer.



DLA MILIONA.

VII.

W dniu, w którym przyszła kolej dozorowania kopalni na pana Krausberga, wstał z łóżka skoro świt, wypił stojąco gorącą kawę i pojechał na Wolankę.

Dopiero zaczął rozglądać się po swéj kopalni, gdy uszu jego doleciał krzyk ze szybu Abruma. Szybko zbliżył się, trochę zalękniony, bowiem narzekające i jęczące głosy świadczyły, że w szybie zaszedł jakiś wypadek. Wstąpiwszy pod dach, nakrywający jamę, obaczył człowieka, leżącego nieruchomo, z pokrwawioną głową, z poranionemi ramionami. Robotnice zawodziły, jęcząc i płacząc; mężczyźni stali, chmurni, spoglądając z współczuciem na leżącego, z odrazą na czarny otwór jamy. Abrum, stojąc z boku, rozporządzał:

— Lej mu jeszcze wody na głowę... a ty otwórz mu gębę i nalejcie mu wody, — zwrócił się do drugiego.

— Co się stało? — zawołał właściciel.

— Jego gazy zamroczyły, panie Lejzor—pospieszył Abrum.

— A dlaczego ty nie młynkował?

— Ja mam świadków, ja młynkowałem i ostrzegałem Maksyma, aby ostrożnie zjeżdżał, czy nie tak było? — zwrócił się do robotników.

— Iii... powiedział Abrum: wolno jedź i tyle wszystkiego.

— A co ja miałem gadać? Czy on dziecko? On jamarz, i dobry jamarz.

W czasie tej rozmowy, leżący drgnął i otworzył oczy, oddychając głęboko.

— Żyje! Żyje! — zawołał stojący nad nim.

— Jak żyje, to dobrze—rzekł pan Krausberg — on wyzdrowieje, bo to mocny chłop.

Maksym, patrząc nieprzytomnie wokoło, starał się podnieść, ale upływ krwi i ból ran nie dozwoliły, i znów padł na ziemię.

— Może wydobrzeje, a może zginie — mruknął jeden z robotników.

— Toż trzeba go poratować—zawołała starsza robotnica,—człowiek to przecież i chrześcianin.

— Prawda, prawda, — potwierdzili inni.

— Abrum, ile jemu się należy?—spytał właściciel.

— Ja nie wiem, zaraz poszlę — i rzekł do lepiarza żyda. — Idź, spytaj Efeta, ile należy Maksymowi?

Zaniepokoił się pan Krausberg, widząc bezczynność robotników, i rzekł do dozorcy:

— Abrum! Robota powinna iść dalej.

Ten zawołał drugiego lepiarza, również żyda i zaszwargotał:

— Idź do Seliga, u niego nocuje Paweł, niech przyjdzie.

Nadbiegł zdyszany posłaniec do Efeta i zawołał:

— Maksymowi należy się sześć guldenów 20 centów.

Właściciel, posłyszawszy to, rzekł tonem nagany:

— Co wy stoicie tu jak kołki!? Maksym leży chory, a żaden się nie ruszy! Jego trzeba zawieść do szpitala, do Drohobycza, on się wyleczy, to dobry robotnik i o takiego dbam zawsze. Nu, rusz się który!

Robotnicy porozumieli się ze sobą i jeden z nich zdecydował się stracić dzień, byle odstawić Maksyma do szpitala.

— A jakże będzie z furmanką i taksą w szpitalu? — spytał Abruma, drapiąc się za uchem.

— Pan właściciel powie.

— Ja jemu dam naprzód co potrzeba, bo on był dobry i posłuszny. Idź, zgodź furmankę.

Kobiety zaczęły się krzątać około rannego, wydobyły z zawiniątek gałgany i obwiązywały rany.

— Rozdarł ucho do połowy! — zawołała jedna.

— Zdarł skórę z włosami tu z boku —rzekła druga, przemywając głośno jęczącego Maksyma.

Słowa kobiét robiły widoczne wrażenie na słuchaczach, więc Abrum ze względu na przyszłą pracę w szybie, zawołał:

- Co wy głupie baby gadacie? Trochę go zamroczyło i uderzył się lekko w głowę, a wy podnosicie taki gwałt. Nu zabierajcie się do młynka....

W tym czasie nadszedł Paweł, któremu Jan opowiedział cały przypadek i odradzał zjazdu do szybu, dość głośno, że mogła posłyszéć i Kasia.

— Nu Pawle, ubieraj pas, i jazda! — zawołał Abrum.

— Zaraz, zaraz, — odpowiedział i nachylony nad jamą, łowił węchem ulatniające się gazy.—Jeszcze mocne, niech młynkują.

— Co ty taki tchórz? — zaśmiał się dozorca.

— Nie tchórz, ale ostrożny.

— Oj, Pawełku! — zawołała Kasia — nie jedź do tego szybu, zemrzesz nieboże, wyciągną trupa twego, — kończyła ze szlochaniem.

— Milcz, ty szelmo jakaś,—wrzasnął Abrum,—jemu przez ciebie rozwalono głowę, a teraz nie puszczasz go do roboty.

Kasia podniosła do oczu fartuszek i rzewnie zapłakała.

Słowa Abruma, płacz Kasi wzruszyły Pawła, przystąpił bliżéj do dozorcy i krzyknął:

— Ty żydzie nie wycieraj sobie gęby moją dziewczyną, bo nie dorachujesz się zębów, a do szybu nie pójdę, rozumiesz? Idź pierwszy, takie jest prawo, boś dozorca.

Abrum przed groźną miną miną Pawła usunął się trochę i rzekł drwiąco:

— Co ty mi grozisz?... Ja ciebie wypędzę razem z nią za nieposłuszeństwo... Ty musisz zjechać!

— Oj, Pawełku! Pawełku!—jęczała Kasia.

— Nie zjadę i koniec... A chcesz, to jeszcze cię tu zamaluję.

— Ot, z niego człowiek dzielny,—pochwalił Jan swego przyjaciela.—Nie daj się zamroczyć w jamie!

— Co to jest? To bunt! — krzyknął ostro pan Krausberg. — Ja ciebie oddam do policyi.

Paweł podniecony łkaniem Kasi, słowami Jana, rzekł hardo:

— Sam pójdziesz na policyę, bo tu ludzie giną, jak muchy jesienią.

— Ty stul gębę, kiedy mówi sam pan właściciel — krzyknął Abrum.

— A psiajucho, dość mam was, przeklętych męczychrystów— i posunął się ku Abrumowi.

Ten przestraszony umknął za szyb i krzyczał:

— Ja ciebie wypędzam, ty rozbójniku, ty leniu, nicponiu, razem z twoją dziewką!

— Tak rozlicz i mnie—zawołał Jan.

— Wielki mi rarytas, taki głupi wierzchni, co ty wart?—drwił Abrum.

— Nie twoja rzecz, ty płać.

Kasia, Paweł i Jan zabrali swoje manatki i poszli do kancelaryi, aby pisarz ich obliczył i należność wypłacił.

Równocześnie z ich odejściem od jamy, podtrzymywali robotnicy wlokącego nogami Maksyma i ułożyli go na słomie, wypełniającéj wóz po brzegi, który miał zawieźć rannego do Drohobycza.

Pan Krausberg, opuściwszy szyb Abruma, zamknięty z braku jamarza, miał zamiar pójść do kancelaryi, lecz paliła go zazdrość i ciekawość, co się dzieje w sąsiedniéj kopalni pana Bratkowskiego. Szedł od szybu do szybu swego sąsiada, w jednych bolał go wydobywany wosk, w drugich uśmiechał się drwiąco na widok powolnéj roboty. I w téj przechadzce spostrzegł idącego ku biurom kopalni faktora, Josla Reich. Zawołał na niego, i spotkali się już na gruncie kopalni spółki.

— Nu, co słychać Josel?

— Bratkowski chce kupić zakopy w Truskawcu.

— To dla nas lepiéj, że on taki głupi.

— Jakto?

— On chciałby wszystko połknąć, roztwiera pysk, a ryby bokiem uciekają—tłomaczył obrazowo pan Krausberg.

— A jednak u niego ładny wosk—rzekł po chwili faktor.

— Taki sobie—odpowiedział lekceważąco pan Krausberg.

Po dłuższéj chwili milczenia odezwał się faktor Josel:

— Panie Lejzor, on może mieć „matkę", ja taki sam kamień widział u „matki" Weinberga.

— Ja nie myślę.

I szli daléj, wreszcie rzekł pan Krausberg:

— Josel, ja tobie coś powiem.

— Co takiego, panie Lejzor?

— Ty Josel możesz być bogaty... ja tobie dam czwartą część netto szybu, który sobie wybierzesz.

— Pan Lejzor mówi prawdę?—zawołał ucieszony faktor.

— Ja nigdy nie żartuję w interesach... ja tobie dam... ale ty mi pomóż kupić Bratkowskiego i jeden ze szybów ty sobie wybierzesz.

— Co ja mam zrobić? — spytał z gotowością.

— Powiedz mi, ile on ma długów?

— Ja wiem, że on winien 6400 guldenów, ale on ich wart.

— Nu, a w Drohobyczu?

— Tam drobne po kupcach, handlach, może jest 200 guldenów.

— Teraz uważaj Josel!... Ty zrób wielki krzyk, że on bankrut, ale pod sekretem każdemu o tém gadaj.

— Ja rozumiem, on i centa nie dostanie.

— To mało, niech oni się przelękną i żądają pieniędzy od niego.

— Nu, i co będzie?

— Resztę ja zrobię sam, tylko ty strasz drugich, i powiesz mi, co on myśli sobie.

— Dobrze, a moja czwarta część?

— Ja tobie dam na piśmie.

— Dziękuję, panie Lejzor — i gotował się do odejścia.

— Josel, a jaka jego żona?

— Ona nie chce kopalni, i chciałaby sprzedać.

— Nu, już wiem... Ty teraz idź Josel i zrób swoje.

Pan Krausberg zaszedł do kancelaryi, przejrzał rachunki i około południa udał się do Borysławia.

Z niewielkiéj wyniosłości Wolanki zeszedł na drogę. Z jednéj i drugiéj strony w południowém słońcu rysowały się wyraźnie dachy deskowe nad licznemi szybami, pomiędzy któremi wznosiły się hałdy, rodzaj kopców, z wyrzuconéj gliny, szutru, łupku.

Co chwila, po wyboistéj drodze, ciągnęły z trudem konie chłopskie to zaczernione beczki z naftą surową, znów ścięte stożki wosku, albo z krzykiem, hałasem, nawoływaniem przejeżdżała furmanka żydowska. pełna pasażerów. Pan Krausberg nie zważał na otoczenie, na przechodniów, lecz szybko szedł po ścieżce, udeptanéj obok drogi i dopiero odetchnął, rozglądając się wokoło, za mostem, nad Tyśmienicą.

Tu dopiero ciągnęła się w kierunku od Drohobycza ku Schodnicy główna arterya Borysławia. Tu gromadzili się robotnicy, czekając zajęcia; tędy przebiegali rozliczni faktorzy, i kupcy poważni mieli swe miejsca zebrania. Z jednéj i drugiéj strony ulicy rozciągały się domki drewniane, tymczasowe, a w każdym był jeśli

nie szynk, to sklepik z izbą tylną, w któréj można było dostać napitków, od wina do prostéj wódki.

Czas był popołudniowy, i z różnych kopalń na główną ulicę wysunęli się robotnicy, żądni posiłku. Punktem zbornym był dla nich placyk przed wielką karczmą, tam stały przekupki ze strawą gorącą w żelaznych saganach, ogrzewanych żarzącemi węglami. Wśród przekupek nie było chrześcianki, gdyż żydówki opanowały cały ten plac i rodzaj przemysłu.

Pan Krausberg spojrzał niechcąco na jedzących i w duszy pozazdrościł im oszczędności na jedzeniu, gdyż na spodzie małéj miseczki glinianéj leżało kilkanaście ziarn fasoli, widnéj po przez juszkę ciepławą, niemal przezroczystą. Tę zupę, wraz z czarnym, niedopieczonym chlebem, zajadali robotnicy, jeśli nie ze smakiem, to z wielką chciwością. Nie wzruszyła go, ani zdziwiła ich nędza, głód, zachłanność w jedzeniu, on szukał Borucha Eisensteina, kuzyna żony, aby z nim zrobić mały interes.

Poznał go zdaleka, po jego żółtawéj brodzie i ładnych, długich pejsach, które kręcił nieustannie, rozmawiając z innymi. Zbliżył się i w stosownéj chwili kiwnął na niego.

— Boruch, ja mam do ciebie interes.

— Jaki interes, Lejzor?

— Ja mam weksel sąsiada mego, ale nie chcę sam skarżyć, ja na ciebie przepiszę, ty skarż, ja daję na koszta.

— Na, a co ja zarobię na tém?

— Ty mój krewny, ty zrób to dla mnie.

— Ja zrobię, a kto mi zapłaci mój czas?

— Ile ty chcesz?

— Ja dużo nie chcę... niech będzie dwa procent i koszta wyprocesowane.

— Boruch to dużo, niech już będą same koszta.

— A kto taki?

— Bratkowski.

— Lejzor, ja dla ciebie zrobię i wezmę tylko koszta od tego goja.

— To przyjdź Boruch wieczorem do mnie, tam przepiszemy weksel.

— Ja przyjdę.

— Boruch, ale ty możesz gadać głośno, że on tobie winien, że ty go procesujesz, bo on już nic nie wart.

— Ja to zrobię bez zapłaty, bo ty Lejzor mój krewny.

Zadowolony pan Krausberg wracał na Wolankę, w drodze

spostrzegł idących ku Borysławowi wydalonych robotników. Przystanął i ze względu na jamarza, który mu był potrzebny, zawołał:

— Nie bądźże głupi, o robotę trudno, przeprosicie Abruma i będzie dobrze.

— A niedoczekanie wasze, abym przepraszał żyda,—odpowiedział Paweł.

— My stajemy jutro do szybu, — dorzucił Jan.

— U waszego sąsiada... szlachcica!

VIII.

W kilka dni pan Bratkowski otrzymał dwa wezwania do sądu, o zapłacenie wekslowych długów. Schował je starannie przed żoną, i opłacił woźnego, by on wszelkie papiery sądowe wręczał mu do rąk własnych.

Zaniepokojony tém niespodziewaném zażądaniem, pojechał do głównego dłużnika pana Kernsteina do Borysławia.

Przyjął go w pokoju bawialnym, przesyconym wilgocią, w którym każdy sprzęt był nakryty brudną powłoczką. Niski, z brodą siwiejącą, okrągły, wprowadził spodziewanego gościa, a gdy usiedli, wpatrzył się milcząco okrągłemi oczyma w twarz przybyłego.

— Panie Kernstein, dlaczego pan mnie zaskarżyłeś? co się stało?

— Po co pan pyta? Pan zna swoje rachunki? Kernstein mówił, że będzie cicho, póki ma pewność, a czy teraz jest pewność?

— Nic się nie zmieniło, przeciwnie nawet, szyby pogłębiłem i lada dzień dojdę do wosku, panie dobrodzieju.

— To nie w tém interes, panie Bratkowski, szyby to rzecz pana, ale pan ma długi, pan naciągnął swój kredyt, skąd pan zapłaci tym ludziom? Ja muszę się bronić, mój kapitał, to wszystko moje.

— Ależ wszystkie moje długi nie przewyższają wartości gruntu samego, a gdzie szyby? gdzie wosk?

— Może być, ale ja potrzebuję pieniędzy; ja mam lepszą lokacyę. Dlaczego ja mam źle sypiać, mieć brzydkie sny? Dlaczego mają ludzie mi gadać, że ja utopiłem moje pieniądze? Nu, powiedz pan sam?

— Dlaczegoż pan mnie nie uprzedziłeś? było wpierw wymówić kapitał, byłbym dostał i zapłacił panie dobrodzieju.

— A czy pan zapłacił mi procent? Ja czekałem i powiem panu, że kredyt już przepadł, bo pan wdał się z lichwiarzami, a ja muszę odebrać moje pieniądze.

Pan Bratkowski pobladł, poprawił nerwowo okulary i rzekł z niedowierzaniem:

— Co pan mówi o kredycie?... Skąd pan wie, czy nie dostanę za godzinę pieniędzy?

— Nu, niech pan probuję, -ja chciałbym, żeby się obeszło bez procesu, mnie żal pana.

Ta udana litość oburzyła go, wstał z krzesła i mówił z gniewem.

— Chcesz pan procesu, dobrze, zobaczymy kiedy pan otrzyma zapłatę i jakie procenta przyzna sąd, już ja się postaram o przedłużenie.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział pan Kernstein ze spokojną ironią,—ja żądam tylko kapitału.

Podobną nieugiętość znalazł i u drugiego wierzyciela. Pojechał na Wolankę do swéj kopalni, a widok pracy około szybów i wydobywania wosku z głębi jam uspokoił rozstrojone nerwy i w swoją przyszłość zaczął jaśniéj spoglądać. Przecież ma wosk w składzie około dwudziestu centnarów, dziś znów przybędzie nowy wosk ze szybów, a wkrótce dobije się w dwu szybach do pokładów woskonośnych, a może odkryje „matkę"... da sobie radę z dwoma wierzycielami, wszak proces trwa conajmniéj kilka miesięcy, od tego są adwokaci, aby przewlekli sprawę.

O ile jednak pan Bratkowski starał się usilnie ukryć wytoczone mu procesy; miewał wobec kupców minę butną i pewną siebie; dość długo siedział w kasynie; znajomych zapraszał na wino do handelku; a żonie i dzieciom sprawił nowe ubrania; tém skwapliwiéj pp. Krausberg, Eisenstein, z całą falangą znajomych rozprawiali głośno o jego bankructwie i ostrzegali kapitalistów i tak już ostrożnych w udzielaniu pożyczek.

Pan Bratkowski, domyślając się sprężyn działających, czuł jednak grożące mu niebezpieczeństwo, rozumiał doniosłość utraty kredytu, próbował zaciągnąć pożyczkę tu i owdzie nawet u osławionych lichwiarzy, i na każdym kroku spotykał się z odmową, która go coraz bardziéj rozgoryczała i popychała do kroków kompromitujących jego kredyt i kopalnię, wosk bowiem jego miał stale niższą cenę i był niechętnie kupowany, a on sam, pragnąc uzyskać gotówkę, sprzedawał przyszły wosk, mający się dopiero dobyć za cenę znacznie niższą, aniżeli brał za gotowy. Od czasu do czasu miewał

poczucie, że przed nim otwiera się przepaść, w którą on wraz z rodziną nieodwołalnie wpadnie, i rozpacz go ogarniała na myśl nędzy żony i dzieci. A ta podwójna gra, pewności i swobody wobec żony i ludzi, a niepokoju i i trwogi, gdy zostawał sam, wyczerpała jego siły nerwowe Coraz rzadziéj budował most złoty pomiędzy teraźniejszością a przyszłością bogatą i błyszczącą, w kieliszku wina, w lekkiém oszołomieniu zaczął znajdować ulgę zapomnienia i podnietę do złotych rojeń.

Pierwsza spostrzegła to żona, a gdy raz wieczorem wrócił podniecony, zaczęła mu robić wymówki z płaczem:

— Guciu, tyś pijany!.. Ty się chwiejesz!.. Teraz ciągle przesiadujesz w kasynie, w winiarni, tracisz zdrowie i pieniądze... O ja nieszczęśliwa, biedne dzieci, nie dość, że majątek zmarnowany... ale ty pijesz.

Chciał uspokoić uściskiem, dobrocią i zbliżył się:

— Daruj mi Stasiu, tak jakoś ze znajomymi wypiło się... może trochę za wiele...

Całował jéj rękę, wyrwała mu ją:

— Czuć się szynkiem, idź spać, niech choć dzieci nie widzą cię pijanym!

To usunięcie ręki, te słowa oburzyły go, z gniewem uderzył pięścią w stół, wołając:

— Cóż to pić mi nie wolno? ty mi zabronisz, czy kto? Będę pił, ile mi się podoba. Dosyć mam téj niewoli domowéj, wieczne szlochy, płacze... a to można zwaryować.

— Cicho, cicho, dzieci posłyszą—uspakajała żona.

— Niech posłyszą! Jestem u siebie w domu i wolno mi krzyczéć, jeśli mi się podoba!

W téj chwili posłyszeli oboje cichy skrzyp drzwi otwieranych i w progu stanęła najstarsza córka, Zosia, bardzo ładna, wysoka i zgrabna blondynka. Zbliżyła się do ojca i całując jego rękę, mówiła dźwięcznym, świeżym głosem:

— Posłyszałam, że tatuś wrócił i przyszłam na dobranoc.

— Jeszcze nie śpisz Zosieczku?—spytał tonem serdecznym, siląc się na spokój.

— Czytałam...—i siadając obok matki, zaczęła:—Jakże tatusiu te nowe szyby? Czy jest już wosk?

Na te słowa rozjaśniła się twarz ojca, podniecenie winem minęło, została tylko pewna swoboda i pragnienie wyspowiadania się:

— Lada dzień oczekuję, że wreszcie dobiję się do wosku. Obiecałem jamarzom po pięć guldenów nagrody za pierwszą żyłę wosku,

i wiesz Zosiu, mam teraz doskonałego jamarza Pawła, ten aż drży do wosku.

— Daj Boże, abyś się dokopał, — szepnęła żona, odkładając szycie.

— Dokopię się, dokopię... muszę zresztą dostać się do wosku, bo przyznam się wam, że interesa nasze nie idą po mojéj myśli. Żydzi spiknęli się na mnie, ale omylą się grubo, mam wosk i nie dam się zjeść.

— Daj Boże, daj Boże — westchnęła żona z powątpiewaniem.

Ten ton jéj głosu podburzył go, rozsiadł się wygodniéj i zwrócił się do córki.

— Matka zawsze wątpi i odbiera mi odwagę. Widzi przecież, jak się borykam z żydami, jak pilnuję kopalni, jak mi ciężko i trudno, a ile razy przyjdę do domu, wieczne narzekania, pretensye, wymówki, żądania...

Córka podniosła na niego piękne, ciemno-niebieskie oczy i mówiła swobodnie:

— To już przesada tatusiu... jestem tydzień w domu i nie słyszałam nic podobnego. Zresztą, jeśli mama i robi jakieś uwagi, to ze względu na dom. Tatuś prowadzi interesa, a mama musi dbać o dzieci i gospodarstwo domowe.

— Spytajże się matki, czy nie daję pieniędzy? czy odmawiam?

— Moja Zosiu, — odezwała się matka ze słodyczą—to prawda, że robię ojcu wymówki, ale tu idzie o zdrowie jego, a naszą przyszłość...

— Zawsze ta sama śpiewka—mruknął niechętnie.

— To prawda, że tatuś źle wygląda, ale teraz obie z mamą dopilnujemy tatusia, nie pozwolimy na takie zmęczenia, trzeba wcześnie kłaść się spać, bo zdrowy sen dodaje sił, jak mawiała nasza przełożona.

Słowa te wywołały uśmiech na twarzy rodziców i już weseléj odezwała się żona:

— Od dziś kuracya, chodźmy spać i śpijmy zdrowo.

Wstali, a na odchodném spytał mąż:

— Czy nie był kto do mnie?

— Był woźny z sądu, ale nie chciał zostawić papiérów.

Na drugi dzień na wsiadanem, odebrał pan Bratkowski trzy nowe wezwania do sądu, a między niemi figurowało nazwisko nieznanego mu Borucha Eisensteina o sumę 1100 fl.. prócz kosztów.

Domyślił się, że to dług Krausberga, który onegdaj upominał się o procent.

Zawołany Krausberg usprawiedliwiał się tém, że sam, nie mając na razie pieniędzy, wziął część od Eisensteina, byle wygodzić sąsiadowi, a teraz ten wspólnik, w obawie straty, zmusił go do wystąpienia w sądzie.

Zmartwiony i zaniepokojony temi skargami sądowemi, dziś wcześniéj, aniżeli zazwyczaj pojechał do domu. Zastał żonę ze śladami łez, córkę zmartwioną, a dzieci chmurne i bojaźliwe.

— Co się stało? — spytał milczących.

— Co? — odezwała się z wymówką w głosie, — patrz!

I wskazała na papierki z orzełkiem, przyklejone do każdego z mebli, znak, że komornik zrobił zajęcie ruchomości.

Zmieszał się, pobladł i spytał głosem zduszonym:

— Kiedy? W czyjém imieniu?

Zamiast milczącéj matki — odpowiedziała córka:

— Dziś przed południem był komornik... przestraszyłyśmy się z mamą.

— Głupstwo panie dobrodzieju... jutro zdejmie się areszt... to zemsta żydów... Nie płacz Stasiu, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

— Taki wstyd... a w domu panna dorosła, co, ludzie, co świat powie?

— Co za ludzie? co za świat? w takim Drohobyczu... z nikim tu nie żyjemy i nikt nas nie obchodzi... Zaraz pójdę do miasta i jakoś to będzie, panie dobrodzieju, znajdzie się jakaś rada.

Uśmiechał się, silił się na swobodę, na pewność zaradzenia, ale w głębi czuł, że pozycya jego finansowa była tak zachwiana, iż lada chwila mógł runąć.

W mieście mówiono już głośno o zajęciu ruchomości, złowrogie szepty o tém dochodziły do uszu pana Bratkowskiego, który szedł szukać ratunku, sam nie wiedząc, gdzie iść, z kim mówić, kogo się poradzić?

Poszedł do kasyna, chroniąc się przed uśmiechami żydów, ale i tu widocznie dobiegła nieszczęśliwa wieść, gdyż zdawało mu się, iż znajomi witają się z nim zimno, obojętnie, jak gdyby bali się zbliżenia.

Z goryczą wspominał, że ci sami ludzie tak niedawno winszowali mu dorobienia się tysięcy, kroci i wraz z nim złorzeczyli konkurującym kupcom wosku.

Gdzie iść, gdzie uciec od ludzi, nie widzieć ich, nie słyszeć ich głosu? W domu płacz i narzekania, w kasynie mrożące ukłony, i przymusowe rozmowy, wstał i nie żegnając się z nikim, poszedł szukać zapomnienia, w ciemnym, brudnym pokoiku handlu Jabłońskiego, przy butelce wina. Lecz i ta dziś nie skutkowała, a szeregi cyfr długu nie chciały ustąpić, i niepokój ogarniał go coraz większy na myśl, że wosk jest naprzód sprzedany, a oczekuje go wypłata za materyał i robotnikom.

Czuł usuwający się grunt pod nogami, i te skręty, które coraz silniej się zaciskały, uniemożliwiały jego ruchy, paraliżowały wysiłki, gniotły go silnie aż do utraty tchu.

Nie dopiwszy butelki, wyszedł. Dusiło go powietrze rynku; nie mógł znieść widoku żydów; palił go bruk miejski; chciał odetchnąć innem powietrzem; wyrwać się z murów; spojrzeć na szeroką płaszczyznę pól i zostać sam ze swemi myślami.

Bocznemi ulicami, unikając swego domu, dostał się na trakt Samborski wysadzony topolami. Przy wschodzącym księżycu podnosiły się zwolna opary z łąk, błyszczały zroszone liście traw, huczały chrabąszcze, przelatywały ćmy białe, i cichym lotem przemykały się nietoperze. Ta cisza i spokój natury zwolna ukołysały jego nerwy, a wracając do domu, czuł rosnącą energię do walki z niepowodzeniami. Wszak to zajęcie, jest tylko ubezpieczeniem pretensyi żydów, do licytacyi jeszcze daleko, a ma bądź co bądź wosk i nowe szachty może jutro natrafią na pokłady bogate.

Wszedł spokojnie do jadalnego pokoju, przywitał prawie wesoło żonę i córkę, mówiąc:

— To zajęcie mebli, to strachy na lachy; jest to zwykłe ubezpieczenie pretensyi, którą dopiero sąd rozstrzygnie i uprawomocni.

Ton jego słów i spokój podziałały kojąco na żonę i córkę, odetchnęły swobodniej.

— Możebyś co zjadł, Guciu?

— Jestem istotnie wygłodzony, gdyż byłem na dalekim spacerze.

Córka szybko i zręcznie nakryła do stołu i poszła do kuchni po jedzenie.

— A gdzie byłeś, Guciu?

— Poszedłem w pole, bo ten Drohobycz z temi zapachami nafty i garbarni staje się chwilami niemożliwy.

— Jeśli dla ciebie, który masz głowę zaprzątniętą interesami, jest on takim, pomyśl, co ja doznaję przykuta do tego miasta?

— Minie to, minie... niech tylko poprawią mi się interesa, wyszlę ciebie z dziećmi w góry.

Na te słowa weszła córka, i stawiając potrawę, spytała:

— Jakie to nowe projekta robi tatuś?

— Bardzo dalekie, — uśmiechnęła się matka, — jeśli to i owo się stanie, mamy wyjechać w góry.

— Byle razem z tatusiem...

— O nie ze mną! Ja muszę pilnować kopalni.

— W takim razie ja zostaję na gospodarstwie, a mama niech jedzie z chłopcami.

— Dobraliście się oboję, — zaśmiała się matka, — żyjecie fantazyą, i dopiéro naga rzeczywistość przyprowadza was do porządku. Nie dziwię się Zosi, ale ty Guciu, w tym wieku!?

— Wstydzę się, Stasiu przed tobą, ale naprawdę lżéj mi żyć z mojemi, jak ty nazywasz, fantazyami... I teraz tak mi dobrze pośród was, czuję jakieś bezpieczeństwo, jakby puklerz przeciw złościom tego świata.

— I ja byłabym prawie szczęśliwą, gdyby nie obawa o naszą przyszłość, mój Guciu, ale dziś, w téj chwili, i téj się pozbyłam, bo widzę cię tak spokojnym, zrównoważonym, że nowa otucha wstępuje we mnie.

— Dziwna rzecz, moja mamo, — mówiła dźwięcznym głosem córka, — ale i ja mam wrażenie, że dziś nastąpił jakiś przełom w naszém życiu.

Po tych słowach niewiadomo skąd i dlaczego spochmurniały i zasępiły się twarze rodziców. Matka rozmyślała nad przykrością i upokorzeniem dzisiejszego zajęcia ruchomości, kłuły ją aż do bólu fizycznego naklejane kartki, a fala żalu do męża zaczęła znów wzbierać. Jemu słowa córki przywołały na pamięć cały szereg niepowodzeń z ostatnich czasów i wzrosło uczucie bezsilności i bezradności. Zdawało się im obojgu, że gdzieś z zacienionych kątów pokoju wstaje mara nieszczęścia i otula ich czarną, nieprzenikliwą mgłą. Niespokojni, rozejrzeli się po pokoju, a w téj chwilowej ciszy dały się słyszéć kroki za oknem i skrzyp piasku pod naciskiem butów. Wzdrygnęli się i pełni obawy spojrzeli w tę stronę. Po chwili weszła służąca:

— Jakiś człowiek przyszedł do pana.

Wkrótce wrócił ze sieni pan Bratkowski, trzymając w ręku list starszego dozorcy kopalni. Otworzył go zwolna, z pewném ociąganiem i zbliżywszy się do lampy, odczytał wiadomość, że wosk znaj-

dujący się na składzie został zajęty przez komornika, jak również iż jeden z woskonośnych szybów został zalany wodą.

Na czoło wystąpił mu pot kroplisty, wzdrygnął się widocznie, jak przy silnych dreszczach, a siląc się nadaremnie na spokój, rzekł do kobiet śledzących z trwogą wrażenie listu, drżącym wbrew woli głosem:

— Woda zalała jeden ze szybów... trzeba będzie wypompować... koszt bo koszt, ale niema nieszczęścia.

Smutni, rozstrojeni, pełni złowieszczych przeczuć, nie mogli i nie umieli znaléźć przedmiotu do rozmowy tego wieczoru i wcześnie rozeszli się na spoczynek.

Na drugi dzień starszy dozorca wręczył panu Bratkowskiemu w biurze kopalni nietylko akt zajęcia wosku dobytego, lecz zarazem położenie aresztu na wosk przyszły, o ile będzie dobyty, a jako kontrolera tymczasowego wyznaczono kupca drohobyckiego Borucha Eisensteina.

Równocześnie zjawił się w biurze faktor Josel Reich, zginający się w pół na progu:

— Kłaniam wielmożnemu panu!

— To ty, Josel — rzekł bezdźwięcznym głosem.

— Aj, co za kłopoty ma wielmożny pan z tymi lichwiarzami... ja prosił, mówił, tłómaczył, ja buty zdarł, tak biegałem od jednego do drugiego, a oni ze strachu pobiegli do sądu.. wielmożnemu panu nic nie będzie, a oni stracą procent i to dobry procent, bo to sami lichwiarze...

— Powiedz mi prawdę, Josel, czyja to machinacya, bo że to ktoś robi rozmyślnie i z planem, dałbym szyję.

— Po co wielmożny pan ma dawać szyję na taki głupi interes... to tak sobie, jeden krzyknął: gwałt, a wszyscy za nim... tu nie było zmowy.

— Hm... hm... kto to zrobił? — rozmyślał głośno właściciel, — Kernstein? nie, bo on handluje pieniędzmi; Wegman, nie, bo zajmuje się naftą; Apfelman, ma garbarnię... a może to Krausberg? Jak ty myślisz, Josel?

— Krausberg? Co téż wielmożny pan takie rzeczy mówi? On mało nie płakał nad nieszczęściem pana! Jak inni żądali po 200 guldenów na miesiąc, on pożyczył sam od drugiego, a dał wielmożnemu panu za sto... On sam traci głowę, dlaczego wielmożny pan stracił kredyt, on może i pożyczy bo on ma serce.

Pan Bratkowski machnął ręką na znak, że nie chce próbować z Krausbergiem i po chwili spytał:

— Co to za jeden ten Boruch Eisenstein?

— To bardzo porządny kupiec, on handlował wołami, potém zbożem, a teraz robi tu interesa, ale całkiém pewne.

— Wiesz Josel, on jest naznaczony kontrolerem w mojéj kopalni.

Faktor obejrzał się w około, przysunął się bliżéj i zaczął szeptem.

— Proszę wielmożnego pana, taki kontroler to nic, to sobie taka figura, aby ona stała na papiérze... Wielmożny pan może powiedziéć dozorcy, aby on nie oddawał całego wosku do składu, po co to? na co?... on może schować z boku, a wielmożny pan może go sprzedać komu zechce i za ile zechce. Tak robią wszyscy, abym tak zdrów był, że moja prawda.

Pan Bratkowski poczerwieniał i oburzony zawołał:

— Z takiemi radami idź do takich szachrajów, jak ty jesteś... wynoś się!

Josel odstąpił kilka kroków i pełen pokory, przemówił:

— Ja bardzo przepraszam łaski pana dobrodzieja, ja byłem głupi, co wielmożny pan, to pan, i nie robi, jak te łapserdaki żydzi... ja jeszcze raz mówię, że ja głupi,

Pan Bratkowski siedział posępny i zamyślony, po chwili rzekł:

— Josel, słuchaj, jadę teraz do Drohobycza, do sądu, który musi mi przyznać część wosku na zapłatę robotników i na materyał, bo inaczéj zamknę całą kopalnię; a ty Josel szukaj pieniędzy, muszę dostać dzisiaj.

— Wielmożny panie, ja będę szukał, biegał, prosił... nu, a jak nie będzie?

— Daj warunki, jakie żechcą.

— Wielmożny panie, — mówił faktor z ociąganiem, — może trafi się wspólnik, co ja mam powiedziéć?

— Hm... wspólnik? To zależy od warunków, przyjąłbym, ale w połowie musi ponieść dotychczasowe koszta... A czy masz takiego?

— Ja nie mam nikogo, może jednak trafi się taki.

— No, moje warunki słyszałeś... idź i szukaj!

Pan Bratkowski, wyszedłszy na kopalnię, spotkał się ze swym sąsiadem, który uprzejmie zbliżył się do niego.

Po wstępnéj rozmowie, pełnéj współczucia nad zaszłemi wypadkami, rzucił pan Krausberg ślepy strzał:

— A możeby pan sprzedał ten cały kłopot, pan straci zdrowie z tymi lichwiarzami i nie będzie miał spokoju.

— Sprzedać? hm... hm... wié pan, gdyby mi kto dał gotówką 40,000 guldenów, plunąłbym na wszystko i wyjechał!

— Nu, takiéj sumy nikt nie da, to za wielkie ryzyko...

— A ile, jak pan sądzi?

— Ja nie wiem... to nie mój interes... ja nie mam tyle pieniędzy...

— No, a gdyby to była własność pana, ile żądałby pan za tę kopalnię? Pan zna ją przecież, bo pan sąsiad, panie dobrodzieju.

— Ja?... Ja nie sprzedałbym takiéj kopalni, tu mogą być tysiące, a może i nic, ale ja wolałbym ryzykować na spółkę.

— Otóż, panie dobrodzieju, to i moja wyśl panie Lejzor. Czuję, prawie jestem pewny, że tu są krocie... miałem już żyły na pół metra grube... i widzę, że pan radzi mi uczciwie, po sąsiedzku i nie sprzedam kopalni.

— Pan dobrze zrobi—pochwalił pan Krausberg, a widząc przemykającego zdala Josla Reicha, faktora, pożegnał sąsiada.

Na swojéj kopalni, za hałdami, spotkał się z faktorem:

— Josel, on będzie chował wosk?

— Nie! narobił takiego gwałtu, że ja musiałem go przepraszać.

— O! Jednak on ostrożny.

— Panie Lejzor, ja myślę, że on tylko głupi.

— I to być może... Co ty mi powiész więcéj?

— On teraz jedzie do sądu, aby mu dali wosk na robotników.

— Niech sobie jedzie.

— Panie Lejzor, są już kupcy na jego kopalnię...

— Kto taki?

— Kirschbaum i Seliger... Oni chcą kupić, a jak będzie licytacya, znajdzie się więcéj.

Po namyśle rzekł pan Krausberg:

— Ty, Josel, kładź mu w głowę, że na licytacyi kupią tanio cały grunt, co jest prawda... Ty możesz nawet tanich kupców sprowadzić do niego...

— A jak on sprzeda!? Co będzie z moją częścią?

— Ty nie potrzebujesz się bać, on nie sprzeda... ty możesz mu odradzać nawet, ale spokojnie.

— Nu, a jak na licytacyi kto inny kupi? na taką kopalnię złakomi się dużo

— To Josel nie twoja głowa, już ja zrobię dobrze.
— I ja będę miał czwartą część szybu?
— Ty będziesz miał.

IX.

Gdy Kasia wychodziła w niedzielę z nabożeństwa, oczekiwali już na nią niecierpliwie Paweł i Jan. I razem we troje szli drogą wiodącą przez Borysław na Wolankę.

Z początku z jednéj i drugiéj strony wyglądały z pomiędzy drzew chaty kryte słomą, z małemi okienkami. Na podwórzach bawiły się dzieci, gdakały kury, słychać było skrzyp drzwi otwieranych, nawoływania gospodyń, i widać było cały ład odświętny na wsi.

Paweł patrząc na te chaty, poczuł silną tęsknotę do swéj wsi, do tego życia spokojnego, tak bardzo różnego od gorączki i niebezpieczeństw kopalni, zapragnął zobaczenia choć na chwilę pól obsianych, posłyszenia szumu lasu, szmeru czystéj wody.

— Kasiu, pójdźmy dziś w pole, w las, — prosił prawie pokornie, — obrzydła mi Wolanka i żydowskie karczmy. Chodź, kupię słodkiéj wódki, coś na przekąskę, i zobaczymy świat boży.

— Nie mogę, za gorąco mi w téj chustce...

— Wstąpimy na Wolankę i weźmiesz inną, posłuchaj mnie ten raz.

— Paweł ma racyę, — dorzucił Jan — tu gdzie spojrzysz, to widzisz grób w téj mordowni, a w polu inaczéj, tam Pan Bóg sam gospodarzy i aż człowiekowi weseléj.

— Kiedy ja się wstydzę, — mówiła ciszéj — będą mi dokuczać, że idę z tobą w las.

— Toż będzie Jan... Alboż my nie po słowie? Wolno nam, a ludziom zasie.

— Kupię kiełbasy, słoniny i dopiéro poświętujemy dobrze, — zaśmiał się Jan...

— Ano pójdę, ale wpierw schowam tę chustkę.

— To i w sam raz dobrze, — rzekł Paweł wesoło, — ty chustkę włożysz do skrzynki, a my kupimy co należy.

Spotkali się w oznaczoném miejscu i ruszyli ku lasom Tustanowickim. Szli polną drożyną, spotykając to tych, to owych znajomych z kopalni, których podobnie jak ich nostalgia za wsią ciągnęła

w pole, a również chęć naocznego przekonania się, czy czas żniw, czas opuszczenia kopalni i zobaczenia swéj wsi jest już bliski.

I tak rozmawiając o spotkanych znajomych, o plotkach obiegających, o kopalni, doszli do skraju lasu.

Usiedli w cieniu, i rozpoczęła się uczta, mieli aż dwie butelki słodkiéj wódki, kiełbasę i bochenek chleba białego.

— Héj, héj, miły Boże — odezwał się Paweł po uciszeniu się ogólnikowéj rozmowy, — u nas inaczéj, las szumi tak, że aż do snu ukołysze, a woda z gór gada po swojemu, orły hen w górze lecą i jak zakrzykną, tak każdy zwierz tuli się i chowa... Tam dopiéro życie!

— Ano idź do swoich, ja ciebie nie trzymam — rzekła Kasia półżartem.

— Aj, trzymasz ty mnie, trzymasz, ale ciebie wezmę jak swoją, aby tylko zarobić i spłacić dług.

Kasia z ciekawością spojrzała na niego, ale na razie umilkła i patrząc w las, zawołała:

— Ileż tu grzybów! oh, żeby nazbierać, uwarzyłabym wam albo upiekła.

— Ja rad, że legnę sobie, — odpowiedział Paweł, — bo w jamie ciężka robota, pot się leje, a dech zapiera.

— Kasiu, jak nam uwarzysz, to nazbieram całą kobiałkę, — rzekł Jan.

— Cóżbym nie miała? Umiem ja zgotować każdą strawę, bo służyłam u diaka przez dwa lata.

— To i pójdę, — dodał Jan, wstając i wkrótce znikł w głębi lasu.

Paweł przysunął się bliżéj, objął ją ramieniem i prawie szeptał:

— Moje ty serce, moja gołąbko, ty nie wiesz, jak ja ciebie kocham.

— Pókim na oczach, — zaśmiała się dziewczyna.

— Nie mów ty tak, bo serce mi się kraje, ja w dzień i w nocy pamiętam o tobie.

— A gdzie moja chustka jedwabna? gdzie moje korale?

— Wpierw Kasiu muszę doskładać, aby się pozbyć utrapionego długu, a potém w mig zapracuję na chustkę i korale.

Kasia uśmiechając się słodko i tuląc się do niego, spytała:

— Pawełku, a dużo już masz?

— Uskładałem sto dwadzieścia papierków, jeszcze trzydzieści i skończy się męka moja.

— Bój się Boga, i tyle pieniędzy zostawiasz gdzieś na noclegu?

— Iii!... nie taki ja głupi, ja chowam je dobrze, nikt nie zgadnie...

— Oho! ja ci powiem zaraz.

— Takaś skora!? Ano, jak zgadniesz, zapłacę muzykę i poczęstunek...

— No dobrze...

— Ba, zaczekaj, moje ty serduszko, jak nie zgadniesz, wycałuję ciebie do woli...

— Eee, nie chcę tego, — uśmiechnęła się z zalotnością.

— Oj, gołąbkoż ty moja, toż całowanie nie jest grzechem.

— Ni, nie chcę — drażniła się.

— Ano, choć dwa razy...

— Tylko raz.

— Niechaj, ano mów!

Patrzała badawczo na niego i po dobréj chwili rzekła:

— Nosisz przy sobie.

— To nie sztuka, bo każdy nosi przy sobie, ale gdzie?

— Gdzie? Hm... hm... Zaszyte.

— Otóż nie, no dajże pyska.

Wykręcała się, niby to się broniąc, póki on nie pochwyciwszy jéj, zmusił do pocałunku.

— Jeszcze obaczy kto!—wołała, wreszcie się odsunęła i spytała z przymileniem.

— Powiedz-że, Pawełku, gdzie chowasz?

— Ano, widzisz moje buty, niby nic i pięć szustek trudnoby dostać za nie, a tam druga zylówka we środku, i papierki zawinięte leżą sobie.

— Ty, Pawełku, przemyślny — i spojrzała z szacunkiem, ale i pożądliwością na buty.

Ten jéj wzrok rozbudził w nim wrodzone chłopom niedowierzanie, i rzekł tonem surowym:

— Słuchaj, Kasiu, powiedziałem ci moją tajemnicę, ale przysięgnij mi tu zaraz, na twoje zbawienie i Przeczystą, że nikomu nie powiész, choćby cię bito i katowano.

Kasia bez wahania zawołała:

— Jak mi Boga przy skonaniu, jak pragnę umrzéć po chrześciańsku, i żeby mi Przeczysta Matka Boska odjęła język i nogi, jeśli komu powiem, gdzie chowasz pieniądze.

Ta przysięga uspokoiła go i mówił tonem zwierzenia:

— Bo wiész, Kasiu, nikt tego nie wie, ani się domyśla, nawet mój towarzysz serdeczny, Jan, bo to zaszywają w koszulę, w serdak,

w spodnie, ludzie wiedzą, to i kradną, mnie samemu odcięto pół koszuli i zabrano kamizelę, a o butach nikt nie pomyśli; tak ty nie gadaj nikomu.

— Toż ci przysięgłam... i jeszcze ci mało?

— Prawda, już ja ci wierzę — i znów zaczął całować.

Z głębi lasu odezwało się hukanie Jana, odpowiedziała mu, Kasia, odsuwając się od Pawła.

Przyniósł tylko kilka grzybów.

— Ot znalazłem kilka lisków, ale to marny grzyb, — i rzucił w krzaki, — ja powiem wam inną rzecz... w Tustanowicach, przy drodze jest karczma, dobra tam wódka i miara sprawiedliwa. Muzyka, jak się patrzy i zabawa dobra; tak, chodźmy tam, a przy miesiączku wrócimy do domu, na utrapioną Wolankę.

— A ty Kasiu z nami? — spytał Paweł.

— Dalekoż ta karczma?

— Eee, nie, pójdziemy trochę krajem lasu, potem trochę w las, tam trzy drogi, lewa do karczmy, prawa na Wolankę, a prosto do Urycza.

— To i chodźmy, bo wkrótce zajdzie słońce, — mówił Paweł wstając.

Szli rozweseleni i rozbawieni, obydwaj hukali w las, ciesząc się echem, aż Kasia przerwała tę zabawę, mówiąc:

— Pomyślą ludzie, że idą pijani... i możecie jeszcze wywołać jakieś licho.

Obydwaj umilkli, a ona widząc wrażenie swych słów, dodała:

— Opowiadała mi babka, że jeden chłop hukał w lesie dla zabawy, ot jak my, a było to nad jarem pełnym paproci i krzaków, aż tu szum słyszy i wyłazi do niego, ot, tyla dziwo, — pokazując ręką na łokieć od ziemi, — z ogromną głową i mówi: wołałeś mnie, to i masz, bierz mnie i nieś do chaty.

— No i co? No, daléj... dopraszał się Jan.

— Cóż miał robić, wziął i niesie, a to odjada wszystkich, takie nienasycone, kropili wodą święconą, dyaka sprowadzali, a potém szczezło bez śladu.

— Tak, tak, i w naszych lasach są dziwy wszelakie, a o nieszczęście nie trudno, — rzekł zamyślony Paweł.

— Ba, to wiadoma rzecz, nieszczęście kręci się ciągle koło człowieka, a ma on grzech śmiertelny, to już i przepadł.

Wkrótce mieli wejść w las, spojrzeli jeszcze raz na pola uprawne oświetlone czerwonawo zachodzącém słońcem, i na wyżynie

oddzielonéj od nich dość szerokim parowem, ujrzeli wysoką postać chłopa, który przesłoniwszy oczy od słońca, patrzał w ich stronę.

— Ten kogoś szuka, — rzekł Paweł.

— Chodźmy, bo zmrok zapada, — nagliła Kasia.

Szum lasu, gonne jodły podszyte młodą drzewiną, czarne swą zielenią, krakanie wron i kruków sadowiących się na drzewach, nastroiły ich poważnie, i szli w milczeniu ku Tustanowicom, skręciwszy na rozstajnych drogach na lewo.

Maksym, który z drugiego wzgórza widział ich wchodzących w las, zbiegł do parowu i drapał się w górę, pragnąc się zemścić na Pawle i Kasi.

Dziś z południa wrócił ze szpitala, zaszedł do kancelaryi kopalni, wyprosił u Efeta guldena zaliczki i poszedł do karczmy Seemana. Przy kieliszku spotkał się z tym i owym znajomym, a dowiedziawszy się, że widziano Kasię i Pawła pod lasem, poczuł zazdrość, a gdy mu powiedziano, że porzucili kopalnię żydowską i pracują razem u szlachcica, że nie rozstają się ze sobą, razem idą i schodzą z roboty, a dziś byli na nabożeństwie, porwał go szał zemsty. Wybiegł w pole, dojrzał ich przed lasem, poznał Kasię po czerwonéj chustce, jéj darowanéj, a Pawła i Jana po ruchach, i wzburzony, niesiony zajadłą zemstą, biegł za niemi na przełaj, gotując do napadu długi, składany nóż. Stanął na rozstajnych drogach, nie mogąc się zdecydować na kierunek. Wiedział, że na prawo ma Wolankę i szybko pogonił tą drogą. Wyszedł z lasu, napróżno jednak wytężał wzrok w zmroku, nikogo nie dojrzał. Zaklął, a czując się zmęczony, legł na trawie, rozmyślając w samotności nad sposobem zemszczenia się na szczęśliwszym rywalu, Pawle.

Odpocząwszy, poszedł znów do karczmy. Wśród ciżby robotników łatwo odszukał towarzysza Pawła z kopalni Bratkowskiego.

Usiedli w końcu wielkiego stołu, i Maksym nietylko kazał dać wódki, ale poczęstował nowego znajomego tytoniem.

— Daj Boże zdrowie!

— Daj Boże i wam, — odpowiedział robotnik, wypił podany kieliszek, i rzekł:

— Coś mizernie wyglądacie, czy zamroczyło was?

— Ba, nietylko zamroczyło, ale o cembrzyny potłukłem się, że ledwo mnie doktorzy pomogli.

— To wy ze szpitala?

— Toż widać po mnie, no i radbym znaléźć robotę, może do was stanę.

— Ee, nasz ledwie zipie, płacić to płaci, ale urwie się i to.

— No, a jamarzy macie?

— Jest ich tam trochę.

— I dobrzy oni? rozumieją robotę?

— Ano chwalą tam sobie jednego Pawła.

— Tak?... Ano wypijmy jeszcze!

— Bóg zapłać, upiję się, a jutro robota.

— Iii, jeden nie zawadzi.

Po wypiciu spytał Maksym:

— A gdzie robi ten Paweł?

— Dawniéj w kamieniu, a teraz poszedł do wosku.

— To ten piérwszy szyb od żyda?

— Nie, ten drugi.

— Może się i zgodzę, a jaki dozorca?

— Póki pan jest to krzyczy, a pojedzie pan, to śpi.

— Ten to dobry, ale pewno was kradną po nocach.

— Pewno, bo stróż śpi w sieni, zagwiżdże i uśnie, takiemu to dobrze... ot, żeby człowiekowi takie miejsce, a może słyszeliście, co?

Następnie dowiedział się Maksym, że Paweł jutro pierwszy zjeżdża do jamy, że Kasia i Jan pracują przy tym samym szybie, co i Paweł, aż wreszcie jego przygodny towarzysz usnął, oparłszy się o stół.

Wyszedł tedy z karczmy. Owionął go chłód nocny; spojrzał na niebo, po którém przesuwały się leniwo chmury, przysłaniając i odsłaniając światło księżyca. Oświetlone okna karczem rzucały małe smugi światła, i tylko w nich huczały głosy ludzkie, a po za niemi panowała cisza nocna, ciężka oparami i nadchodzącym deszczem.

Skradał się cicho, wyszukując głębszych cieni, posuwając się jak kot ostrożnie, aby nie poruszyć kamieni, nie plusnąć wodą w kałużach. Minął kopalnię żydowską i na granicy stał dobrą chwilę, nasłuchując, ale prócz urwanych głosów z karczem, dalekiego naszczekiwania psów i szmeru płynącéj wody nic nie posłyszał. Minął pierwszy szyb i przystanął przy drugim. Z za chmur wyjrzał księżyc i oświetlił okolicę i stojącego Maksyma. Blady, drżący, z rozszerzonemi powiekami, z ustami otwartemi wpatrywał się przerażony w hałdy, białawe w świetle księżyca. Zdawało mu się, że to groby i z nich powstaną jakieś duchy, potwory. Szybko się przeżegnał, usunął się w cień i wlazł pod dach szybu. Zbyt długo i dobrze znał rozkład przyrządów nadszybowych, aby wątpił o ich od-

nalezieniu, posuwając się, potknął się o coś miękkiego. Wzdrygnął się, a może to człowiek, może pies, albo zły czai się w ciemności; siłą woli schylił się i ręką namacał szmaty, potrzebne czasami w szybie. Natknął ręką wał windujący kubły; był już okręcony liną, aby nie tracić czasu w poniedziałek rano, cicho zaczął rozwijać wierzchnie skręty, przystawał co chwila, nasłuchując, a gdy węzeł liny uderzał o cembrzynę, przebiegały go dreszcze, zdawało mu się, że z głębi jamy ktoś przemawia do niego.

Doszedł wreszcie do trzeciego skrętu, obliczył ilość poszczególnych i szósty z rzędu nadciął głęboko nożem. Zwinął linę i przeszedł do wału przytrzymującego pas bezpieczeństwa. Wał w swych osiach zaczął piszczéć przy tarciu. Zaklął raz i drugi raz, ale nie ustawał w rozkręcaniu. Wtém stróż zagwizdał, zdawało mu się, że tuż przy szybie. Przykucnął drżący i gotował się do ucieczki. Tak leżąc na ziemi, zaczął przeklinać chwilę przyjścia tutaj, a zastanawiając się nad przyczyną, znalazł jedną i to Pawła. Przez niego porzucił izbę karczemną i biegł do lasu; przez niego stracił pieniądze na dowiedzenie się o szybie w cudzéj kopalni; skradał się jak złodziéj do téj budy; przechodziły go dreszcze strachu i bojaźni przed stróżem, i porwała go taka złość, że zapomniawszy o gwiździe, szybko rozkręcił linę, nadciął znów skręt szósty, zakręcił i odetchnął głęboko po skończonéj pracy.

Smiało przeszedł kopalnię jedną i drugą, uśmiechnął się na widok oświetlonych okien karczmy Seemana, wszedł z hałasem, zażądał wódki i pił, aż póki bezwładny nie zwalił się pod stół.

Nazajutrz rano tak wielki krzyk i gwałt podniósł się w kopalni pana Bratkowskiego w szybie drugim, że aż przybiegli robotnicy kopalni pana Krausberga, by dowiedziéć się o przyczynie.

Jan oparty o słup, stał niemy i blady, Kasia zanosiła się od płaczu, jęcząc bardzo głośno, a wtórowały jéj inne kobiéty.

Paweł runął w głąb 50 metrowego szybu.

Dozorca pospiesznie nawijał nowe liny, a gdy były gotowe, tylko jeden Jan puścił się w głąb szybu i po pewnym czasie wyjechał ze zmiażdżoném ciałem Pawła. Ułożono je na tymczasowych noszach i zaniesiono do pustéj komórki. Kasia jednak swym płaczem, jękiem i rozpaczą tyle wymogła, że pozwolono jéj obmyć ciało kochanka.

Gdy nosze wyszły z pod dachu, zobaczył Jan szpiegującego Maksyma, a jego złośliwy uśmiech i drwiące spojrzenie rozświetliły

błyskawicą rozżalałe i zbolałe myśli jego, dobadujące przyczyny katastrofy; drgnął i syknął przez zęby:

— Tyś go zabił!

Kasia nietylko obmyła ciało i ubrała w czystą bieliznę, ale poprosiła swą towarzyszkę pracy, by poszła kupić chodaki na nogi nieboszczyka, a sama zdjęła mu buty z nóg pogruchotanych.

Abrum i Efet wobec tego wypadku porozumieli się z sobą, wysłano jednego żyda na policyą z doniesieniem, a drugiego do Drohobycza, do pana Krausberga.

W południe zjechał na miejsce komisarz, pan Winter; wzburzony, nie słuchał usprawiedliwień pana Bratkowskiego, przerażonego tą nagłą śmiercią, lecz zamknął kopalnię do chwili zbadania przyczyny.

Wsiadającego do powozu komisarza jeszcze raz prosił pan Bratkowski o pewne ulgi w zastosowaniu rozporządzenia, mówiąc:

— Przecież takie wypadki wszędzie się tu zdarzają i częściéj aniżeli u mnie.

— Już ja was wszystkich nauczę, — odgrażał się surowo komisarz.

— Dlaczegoż ja piérwszy zostaję ukarany.

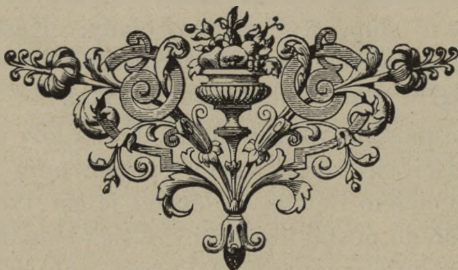
— Bo pan pilnuje się najmniéj.

— A są lepsi w Borysławiu lub na Wolance?

Komisarz rozsiadając się w powozie, rzekł:

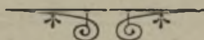
— Sąsiad pana piérwszy, Krausberg!

(D. c. n.) *Artur Gruszecki.*



MICKIEWICZ I PUSZKIN

jako bajroniści.



Dwaj najwięksi poeci słowiańszczyzny, o kilka miesięcy ledwie różniący się wiekiem, żyli i rozwijali się wśród tych samych prądów, które w owym czasie przenikały z zachodu na wschód Europy. Nie każda jednak fala umysłowa, płynąca z Zachodu, jednakowo silnie potrącała dusze obu poetów. Tak np. wpływ Goethego z równą prawie siłą występuje w poezyi polskiego i rosyjskiego poety, ale poezya Schillera, która tak silnie oddziaływa na Mickiewicza, dla Puszkina pozostała niemal zupełnie obojętną; i na odwrót, Andrzéj Chénier, którego poezya opiewająca wolność i miłość zmysłową, w taki zachwyt wprawiała Puszkina, którego Puszkin naśladował i nazywał swoim mistrzem, najmniejszego śladu wpływu nie zostawiła w poezyi Mickiewicza.

Falą, która najsilniéj zatrzęsła duszami tych dwóch genialnych poetów—była poezya Bajrona. Ale choć siła wstrząśnienia była prawie równa, rodzaj wstrząśnienia był inny, inne struny zagrały pod uderzeniem téj fali, a różnica zachodząca w tym względzie między dwoma najznakomitszymi poetami słowiańszczyzny jest może najbardziéj charakterystyczną; poznanie jéj pozwala sięgnąć głęboko w duchowy nastrój tych poetów, a pośrednio i w duchowy nastrój społeczeństw, które ich wydały.

I.

Rzecz to wiadoma, że poezya Bajrona daleko potężniejszy wywiérała wpływ za granicami Anglii, niż we własnéj ojczyźnie poety. Daleko bardziéj rodzimym, angielskim, wielkobrytańskim był Walter Scott, i jego poezya i powieść daleko większy budziła zapał w jego ziomkach, niż poezya Bajrona. Walterskotyzm był jedną z gałęzi romantycznego prądu, którego główne źródło biło w Anglii; jak wogóle w romantyzmie, tak i w walterskotyzmie w szczególności był zwrot od filozoficznéj literatury XVIII wieku ku rycersko-chrześciańskim ideałom wieków średnich. W walterskotyzmie była miłość dla téj przeszłości średniowiecznéj, którą wyśmiał i potępił wiek oświecony, w szczególności główny jego przedstawiciel Walter, i walterskotyzm, jak wogóle romantyzm, zwracając narody europejskie do ich przeszłości, budził w nich zarazem miłość ku niéj.

Bajronizm, a raczéj sam Bajron miał z romantycznym kierunkiem jednę cechę wspólną, bardzo wybitną, mianowicie ducha rycerskiego. Gdy Walter Scott malował rycerzy średniowiecznych z miłością epika, Bajron sam we własnéj osobie przedstawiał skończony typ rycerza. Możnaby powiedziéć, że to był błędny rycerz średniowieczny, szukający po świecie wrażeń, przygód i walki w obronie swoich ideałów, ale błędny rycerz nic a nic nie podobny do tego typu, który unieśmiertelnił Cervantes w swoim Don Kichocie, ani do tych błędnych rycerzy, których poezya romantyczna wskrzeszała z grobów. Don Kichot był zakochany w przeszłości, która mu się przez pryzmat romansów rycerskich przedstawiała, i nie widział wcale teraźniejszości. Bajron nie był zakochany w przeszłości i nie miał ochoty wpatrywać się w nią, jéj ideały nie wystarczały jego bujnemu indywidualizmowi. Teraźniejszość, i owszém, dobrze widział, ale na to tylko, aby nią pogardzać i z nią walczyć; tylko przyszłość mogła go nęcić, jako sfera mglista, niejasna, pozwalająca na swojém tle zarysowywać niewcielone jeszcze ideały, nieziszczone marzenia. Kiedy zatém Waltet Scott, przedstawiciel czystego romantyzmu, prowadził w wieki średnie i odświeżał ich ideały, Bajron rwał się i porywał za sobą w daleką, niejasną sferę przyszłości.

Któż był Bajron? Skąd pochodziła ta różnica między bajronizmem a romantyzmem? Romantyzm był przedewszystkiem reakcyą przeciw francuskiemu klasycyzmowi i przeciw duchowi XVIII wieku, przeciwko jego kultowi rozumu; bajronizm zaś nie był bezwzględną negacyą wieku XVIII, był raczéj jego spadkobiercą. Bajron,

podobnie jak Goethe, wziął spadek po dwu pisarzach filozoficznych, którzy największy wpływ wywarli na literatury europejskie wieku XVIII, a reprezentowali kierunki wręcz sobie przeciwne: po Wolterze i Rousseau. Tylko spadek ten, dostając się w ręce ludzi tak mało do siebie podobnych, użyty został w zupełnie różny sposób. Goethe nas tu nie obchodzi, więc go pomijam; co się tyczy Bajrona, w nim wpływy Woltera i Russa są bardzo wyraźne. Bajron wykształcił się na Wolterze, przyjęty był uszanowaniem dla wszechstronności jego umysłu, wciągnął w siebie jego sceptycyzm, a wolterowski cynizm musiał mu się podobać, skoro odezwał się tak głośno w „Don Juanie.” W „Pielgrzymce Childe-Harolda” (Canto III CVI) nazywał go uosobieniem niestałości i ognia, kapryśném dziecięciem, ale to nie była nagana, i owszem Bajron wielbił zmienność, zwinność i ruchliwość genialnego Proteusza, naraz historyka, poety, filozofa, z kolei wesołego i poważnego, mądrze rozumującego i szalonego; wielbił jego broń ulubioną, śmieszność, któréj nic oprzeć się nie mogło, i przypisywał mu nawet to, co zostawało w rażącéj niezgodzie z charakterem największego z dworaków między poetami— chęć zachwiewania tronów [1]).

Ale z temperamentu, z wrodzonych usposobień, uczeń nie był wcale podobny do swego nauczyciela, to téż nie mógł poprzestać na płytkiéj filozofii mistrza, która zalecała drwić ze świata i prowadzić wygodne życie epikurejskie. O ile w krytyce, w sceptyzmie szedł Bajron za swoim mistrzem, o tyle w ideałach stanowczo różnił się od niego. W Wolterze nie było ani krzty rycerskiego, bohaterskiego ducha, pomimo że w ciągu długiego swego zawodu pisarskiego toczył nieustanną walkę; motywem walki była zwykle próżność, szukanie rozgłosu, popularności, czasem chęć zysku lub zemsty osobistéj. Wolter, jako człowiek, jest niesłychanie brzydki. W Bajronie była naturalnie chęć sławy, granicząca z próżnością, ale obok tego tęsknota do nieokreślonych, przeczuwanych tylko, ale wyższych ideałów, wyższych od wolterowskiego epikureizmu, i wewnętrzna żądza walki w imię tych ideałów; żądza kierowana tą tęsknotą, a źródło mająca w niesłychanie bujnym indywidualizmie poety, tém bujniejszym, że warunki zewnętrzne, — bogactwo, uroda, arystokratyczność pochodzenia — sprzyjały jego rozwinięciu się.

---

[1]) but his own
Breathed most in ridicule, — which, as the wind
Blew where it listed, laying all things prone —
Now to o'erthrow a fool, and now to shake a throne.

Sam Bajron spostrzegał po części tę różnicę pomiędzy sobą a Wolterem, gdy pisał w „Don Juanie" (Canto V, strofa 30—32): „Kiedy obiad cięży na żołądku, sądzę, że to jest najsmutniejsza godzina ze wszystkich dwudziestu czterech godzin, z których się składa smutny dzień człowieka. Voltaire utrzymuje, że nie; on powiada, że Candide znajdował życie znośniejszém po jedzeniu; ale myli się. Jeżeli człowiek nie ma stać się wieprzem, pełność żołądka przyczynia mu jeszcze smutku; jeżeli jest pijany, to co innego, bo nie czuje ciężenia głowy, dopóki mu się kręci w głowie. Pod względem jedzenia, jestem tego zdania, co syn Filipa, albo raczéj Ammona... Myślę, zgodnie z Aleksandrem, że akt jedzenia wraz z dwoma czy trzema innemi aktami daje nam uczuwać podwójnie naszą naturę śmiertelną".

Jeżeli pod niejednym względem Bajron był o wiele podobniejszy do syna Ammona, niż do autora Kandyda, to znów były inne różnice między nim a Wolterem, które go zbliżały do Russa. Przedewszystkiém posiadał Bajron bogatą uczuciowość, to jest to, co było główną siłą Russa, a czego Wolter był prawie zupełnie pozbawiony. Ta uczuciowość pociągała go ku autorowi „Nowéj Heloizy". W téj saméj twórczéj pieśni „Childe-Harolda", gdzie złożył hołd Wolterowi, poświęcił kilka strof, pełnych uniesienia, jego wielkiemu przeciwnikowi, nazywając go apostołem melancholii, który potrafił malowanéj przez siebie namiętności nadać czarodziejski urok, a którego serce płonęło ogniem miłości dla ideału kobiecego, nie znalezionego w życiu, a tylko wyobraźnią wcielonego w postać Julii. W nim téż przedewszystkiém widział herolda wolności, który zbudził drzemiący lud francuski.

Z Russa zaczerpnął Bajron pogardę dla cywilizacyi, któréj Wolter był najgorliwszym wyznawcą, dla obłudy stosunków ludzkich, w któréj Wolter był mistrzem nad mistrzami, zaczerpnął wynoszenie stanu zbliżonego do natury, z którego Wolter dowcipnie się wyśmiewał, wreszcie zamiłowanie w piękności przyrody, dla któréj Wolter nie miał ani na włos zmysłu. Krótko mówiąc, z Woltera wziął Bajron sceptycyzm religijny, ironię i cynizm, z Russa zwrot do natury i do szczerości uczucia, a te dwa prądy zlały się w nim na tle jego indywidualizmu, którego główną cechą była żądza walki. Stąd to poezya Bajrona jest niezmiernie bogatą, to jest posiada wielką rozmaitość tonów; stąd to, kojarząc w sobie prądy tak przeciwne, jest niezmiernie burzliwą, niespokojną; wreszcie ta okoliczność, że Bajron był spadkobiercą dwóch wielkich pisarzy francuskich, których dzieła znane były w całéj Europie, objaśnia nam to pytanie, dlaczego

Bajron tak wielki i tak rozmaity wpływ wywarł na lądzie europejskim, gdy w saméj Anglii poezya jego daleko mniéj zostawiła śladów.

O jednéj jeszcze rzeczy trzeba koniecznie pamiętać, mówiąc o bajronizmie. U Bajrona życie było dalszym ciagiem, dopełnieniem jego poezyi; przez bajronizm należy rozumiéć nietylko poezyę, ale i tradycyę bajrońską, szczególniéj tradycyę ostatnich lat życia poety, w któréj występował on w dwojakim charakterze: jako rycerz walczący za wolność ludów i jako bohater awantur miłosnych. Ta tradycya działała zarówno silnie, jak i poezya jego, potęgowała wpływ téj ostatniéj i była dla niéj komentarzem.

Powiedziałem, że poezya bajrońska posiada wielką rozmaitość tonów. Wprawdzie, poeta we wszystkich swoich utworach siebie tylko maluje, pod względem objektywizmu jest przeciwległym biegunem Szekspira, ale za to jego własne uczucia mają niezmiernie szeroką skalę. Melancholia, poczucie znikomości życia, przesyt, pogarda dla świata, objawiająca się w ironii lub cynizmie, miłość natury, miłość wolności, wreszcie żądza walki, która to przybiera cechy demonizmu, kiedy zdaje się nie miéć innych celów prócz niszczenia, to znów staje się tytanizmem, prometeizmem, gdy poeta w poczuciu nieszczęśliwego stanu ludzkości wyższym potęgom rzuca rękawicę: oto jaka obfitość i rozmaitość tonów w poezyi Bajrona. I jeszcze jeden ton można wymienić, bardzo ważny pod względem echa, jakie znalazł w obcych poezyach, ton, który możnaby nazwać donjuanizmem. Jest to pewnego rodzaju, jeżeli nie apoteoza, to przynajmniéj apologia zmysłowości, która zbliża Bajrona do Woltera i wogóle poezyi francuskiéj XVIII wieku; różnicę stanowi to, że ta apologia u Bajrona łączy się z uczuciem przesytu, którego w poezyi francuskiéj nie znaléźć.

Autor najnowszéj książki polskiéj o Bajronie [1]) bierze go w obronę, utrzymuje, że poeta w „Don Juanie“ najściśléj odgraniczał siebie od bohatera, że występował tylko w roli jego pobłażliwego biografa, i ubolewa, że na tym przedmiotowym stosunku poety do bohatera nie poznali się ani czytelnicy, ani naśladowcy i że upatrywano w „Don Juanie” mylnie apoteozę zmysłowości. Otóż ta obrona nie jest przekonywająca. Bajron wprawdzie nie zrobił z Don Juana tytanicznego bohatera, ale ostatecznie przedstawił go na tle powszechnego zepsucia w taki sposób, że zjednywał dlań sympatye czytelni-

---

[1]) Maryan Zdziechowski. „Byron i jego wiek“, 2 tomy. Kraków. 1894 i 1897.

ka i że poemat jego stawał się niejako apologią rozwiązłego życia. Wreszcie, że pomiędzy Don Juanem a poetą zachodził nie czysto przedmiotowy stosunek, to wskazuje już ta okoliczność, że „Don Juan“ urodził się w czasach największego nurzania się Bajrona w rozwiązłych stosunkach i że Don Juana obdarzył poeta wielu własnemi przymiotami. [1])

II

Puszkin wrażliwy był na różne tony bajronizmu (choć nie na wszystkie); ale ze wszystkich najgłówniéj odezwał się w duszy i poezyi jego ton, który nazwałem donjuanizmem. Całe jego wychowanie domowe i szkolne, wszystko to, w co wczytywał się w bibliotece ojcowskiéj i licealnéj i co naśladował w pierwszych próbach poetyckich, i Molière i Voltaire i Parny, jego marzenia szkolne o błyszczącéj karyerze huzara z cygarem w zębach, jego udział w hulankach towarzystwa Zielonéj lampy, jego poemat młodzieńczy „Rusłan i Ludmiła,“ wszystko to wymownie świadczy, że młodzieńcze ideały Puszkina były pokrewne postaci bajrońskiego Don Juana. W poezyi Bajrona znajdował Puszkin swój dawny ideał, tylko przeobrażony i nowym urokiem odziany, w nowém oświetleniu, na tle gryzącéj satyry, a przedewszystkiem na tle przesytu i pogardy dla świata, i właśnie taki donjuanizm to był najsilniejszy węzeł, łączący Puszkina z Bajronem; to był pomost między dwiema naturami, mało do siebie podobnemi.

Puszkin zaczął podlegać wpływowi Bajrona jeszcze wtedy, kiedy Mickiewicz głęboko był pogrążony w germanomanii. Znamy dokładnie okoliczności, wśród których Puszkin spotkał się po raz piérwszy oko w oko z poezyą twórcy „Childe-Harolda“. Było to w roku 1820, w parę miesięcy po wyroku, skazującym Puszkina za wolnodumne wiersze na wygnanie ze stolic, a bezpośrednio po ciężkiéj chorobie, na którą zapadł był już na wygnaniu. Było to na Kaukazie, wśród widoków dzikiéj i wspaniałéj przyrody, która nowemi a szlachetnemi wrażeniami orzeźwiła duszę młodego poety, w otoczeniu przyjacielskiéj rodziny Rajewskich, któréj zawdzięczał

---

[1]) Porówn. moją recenzyę książki Zdziechowskiego w Kwartalniku Hist. 1898, T. IV, p. t. „Bajronizm w literaturach słowiańskich,“ str. 800—817. Na tém miejscu zaznaczam, że niektóre ustępy téj recenzyi przeszły do niniejszéj rozprawy po części ze zmianami, po części bez zmiany.

tę wycieczkę na Kaukaz, a która odznaczała się wielką niezależnością poglądów i wysokiém stosunkowo wykształceniem. Właśnie dzięki téj rodzinie, zaznajomił się wówczas Puszkin z poezyą Bajrona. Były dwie panny w rodzinie, z których jedna przez jakiś czas stała się celem westchnień miłosnych Puszkina, i one to uczyły go angielskiego języka na utworach Bajrona. Pierwszym śladem bajronizmu w poezyi Puszkina jest wiersz: „Zagasło dzienne światło,“ który napisał w jesieni tegoż roku na okręcie, gdy po raz pierwszy i ostatni w swojém życiu odbywał podróż morzem do Krymu. Widać tu wyraźne naśladownictwo „Childe-Harolda“, mianowicie pieśni „Good night my native land”, tak pięknie nieco późniéj przełożonéj przez Mickiewicza. Niewątpliwie pierwszym utworem Bajrona, z którym się Puszkin zaznajomił, była „Pielgrzymka Childe-Harolda,“ i już tutaj, zaraz w początkowych strofach pierwszéj pieśni, znajdował Puszkin to, co go zbliżało do Bajrona, znajdował obraz młodzieńca, „dla którego ścieżki cnoty nie miały powabu, ale który dni przepędzał w grubéj rozpuście, a hałaśliwą wesołością dręczył znużone ucho nocy”. W tym obrazie mógł się Puszkin przejrzéć jak w zwierciedle; była tu jakby jego własna świeża przeszłość odmalowana. Ale za obrazem przeszłości Childe-Harolda następował obraz późniejszego stanu jego duszy, i to była rzecz zupełnie nowa dla Puszkina, któréj nie spotykał dotychczas u żadnego ze swoich ulubionych poetów: Voltaire'a, Parny'ego, Chénier'a, ani nie uczuwał we własnéj duszy — obraz przesytu zmysłowemi uciechami i melancholii, tęsknoty do czegoś lepszego i wyższego nad to, co świat daje. Ten nowy rys w obrazie, w którym poeta znajdował tyle podobieństwa do siebie, uderzał go, podobał mu się, otwierał nowe horyzonty i pobudzał do naśladownictwa. W wierszu „Zagasło dzienne światło” odzywa się ton melancholii bajrońskiéj, ale nie ma tu jeszcze nic samodzieln go, jest to tylko waryacya na temat pierwszych strof Childe-Harolda i nic więcéj.

Mało samodzielności ma także inny wiersz Puszkina z tegoż roku, zaliczany również do prądu bajrońskiego, wiersz p. t. „Czarny szal”. Puszkin nazwał go pieśnią mołdawską, bo było to nie co innego, jak opracowanie rosyjskie pewnej pieśni mołdawskiéj, którą słyszał śpiewaną przez młodą mołdawiankę, Mariulę, w jednéj z restauracyi Kiszyniowa podczas dłuższego pobytu swego w tém mieście. Znajomość z Bajronem mogła tu odegrać tylko taką rolę, że zwróciła uwagę poety na wschodni koloryt téj pieśni i zachęcała do jéj przebrania w rosyjskie dźwięki. Zresztą „Czarny szal“ jest drobiazgiem poetyckim, godnym uwagi tylko z tego względu, że je-

go motyw, krwawa zemsta miłosna, był jakby zapowiedzią w trzy lata później napisanych „Cyganów“.

Daleko ważniejsze znaczenie w historyi bajronizmu Puszkina mają dwa poematy epickie, zupełnie na wzór powieści bajrońskich zbudowane: „Jeniec kaukaski“ i „Fontanna Bachczyseraju”. Pomysł do „Jeńca” powziął poeta jeszcze będąc na Kaukazie 1820, ukończył poemat na początku 1721. W pomyśle jego trzeba odróżniać to, co przyniosło Puszkinowi życie, od tego, co mu podała lektura Bajrona, „Jeńca kaukaskiego“ bowiem stworzył Bajron i podróż Kaukaska. Ta ostatnia dała obrazy wspaniałéj przyrody kaukaskiéj i nawpół dzikiego, nawpół rycerskiego życia górali kaukaskich; Bajron dał charakter bohatera i bohaterki. Bohater jeniec jest to blada i bezduszna kopia rozmaitych bohaterów Bajrona, w szczególności Childe-Harolda, człowiek zrażony i przesycony życiem, a szukający natury i wolności, ale cała ta charakterystyka pozbawiona uzasadnienia psychologicznego, bo Puszkin nie znajdował w sobie, jak Bajron, tych uczuć, które malował, ale tylko stroił się w nie, jako w coś, co mu się podobało, o czém sądził, że mu z tém było do twarzy. Bohater — szukając wolności, którą jedynie wielbił na świecie, jedzie na Kaukaz. Zaskoczony przez jakiegoś Czerkiesa i na arkanie przyciągnięty do aułu, dostaje się w niewolę i w kajdanach musi pędzić życie jeńca.

Niewolę znosi obojętnie, przypatrując się górom i życiu górali, i wzbudza uczucie silnéj miłości w sercu córki tego, czyim był jeńcem. Ale miłość Czerkieski nie znajduje echa w sercu jeńca, bo to serce zajęte już jakąś inną, beznadziejną miłością i niezdolne nikogo więcéj kochać. Kiedy Czerkieska oświadcza swoją miłość, jeniec poczuwa się do obowiązku wdzięczności odpowiadać jéj pieszczotami, ale czyni to na zimno, z przymusem i wreszcie wyjawia jéj, że kochać jéj nie może, bo kocha inną, że nawet kiedy ją trzyma w objęciach, to myśli o tamtéj! Sam tedy jeniec jest prawdziwą karykaturą bajrońskich bohaterów, a to, co mówi o swoich uczuciach skamieniałych, jest frazesem pożyczonym z „Childe-Harolda,” nie zaś wyrazem własnych uczuć poety, który jednéj, silnéj, stałéj miłości nie zaznał. W końcu bohater pociesza Czerkieskę tém, że jéj miłość dla niego przeminie, że znajdzie ona kogoś innego, kogo pokocha. Ale miłość Czerkieski silna i głęboka. Korzystając z wycieczki Czerkiesów, uwalnia kochanka z kajdan, daje mu wolność i kindżał; jeniec przez wdzięczność chce ją zabrać z sobą, ale ona, wiedząc, że nie jest kochaną, nie chce mu towarzyszyć i każe mu uchodzić samemu, aby mógł szukać tamtéj, szczęśliwéj. Kiedy zaś

jeniec, pożegnawszy się z nią, puszcza się wpław przez rzekę na drugą stronę, Czerkieska rzuca się w wodę i tonie.

I bohaterka stworzona jest na wzór bajroński, ale daleko szczęśliwiéj, niż bohater. Sytuacyą i energią swoją przypomina Gulnarę, jedną z bohaterek „Korsarza,“ która choć dowiaduje się od swego ukochanego, że on kocha inną, przecież wytęża wszystkie siły, ażeby go ocalić. Zresztą, jakkolwiek naśladowanie Bajrona, mianowicie w postaci bohatera, objawiło się jeszcze bardzo niedołężnie, to przecież dodatni wpływ poezyi bajrońskiéj okazuje się już i w tym poemacie wyraźnie. Puszkin znajdował wprawdzie w Bajronie tony pokrewne swoim młodzieńczym ideałom, téj zmysłowéj miłości, którą opiewał w „Rusłanie“ i wielu drobnych utworach młodzieńczych, i te tony najwięcéj go pociągały, ale obok nich znajdował wiele innych, które uszlachetniająco działać musiały. Miłość, która przedtém występuje u Puszkina tylko jako zmysłowość i lubieżność, już w „Jeńcu kaukaskim” w postaci bohatera, a daleko więcéj w postaci bohaterki nabiera cech silnéj namiętności. Wogóle atmosfera uczuć poety staje się czystszą, myśl jego wyżéj się podnosi, poczucie piękna przyrody, które jeszcze niewyraźnie zarysowuje się w „Rusłanie,“ tu rozbudzone poezyą Bajrona, a znajdując obfity pokarm dla siebie we wspaniałych krajobrazach Kaukazu, występuje już w całéj sile.

W tym samym roku co „Jeńca” napisał Puszkin epicki urywek poetyczny, p. t. „Bracia rozbójnicy”. Temat do tego utworu podał mu wypadek, który zdarzył się w r. 1820 w Ekaterynosławiu, podczas przebywania jego w tém mieście, mianowicie ucieczka dwóch rozbójników, którzy przykuci do siebie kajdanami, zdołali przez Dniepr przypłynąć. Być może, iż Puszkin zwrócił się do tego tematu pod wpływem poezyi bajrońskiéj, przedewszystkiém „Więźnia z Chillonu”, ale prócz pewnego podobieństwa w wyobrażeniu cierpień więziennych, niema nic bajronicznego w tym utworze. Inaczéj rzecz się ma z następnym z kolei utworem epickim Puszkina.

„Fontanna Bachczyseraju”, napisana w r. 1822, była podobnie jak „Jeniec” owocem wrażeń z podróży i wpływu Bajrona i tyleż co „Jeniec“, a może jeszcze więcéj, niedołężnem naśladowaniem poety angielskiego. Zwiedzenie Bachczyseraju w Krymie dało Puszkinowi materyał etnograficzny do obrazów i dało mu temat. Jest to ten sam temat, który w trzy lata potém pobudził Mickiewicza do napisania sonetu: „Grób Potockiéj”.

Było podanie między pospólstwem w Krymie — jak to wiemy od Mickiewicza — że grobowiec zbudowany w guście wschodnim, z okrągłą kopułą, koło pałacu chanów, był wystawiony przez chana Kerim-Giraja dla ukochanéj niewolnicy; tą niewolnicą miała być Polka, jakaś Potocka. Puszkinowi, jeszcze zanim zwiedzał Bachczyseraj, powtórzyła to podanie Katarzyna Rajewska (ta, do któréj wzdychał) i opisywała pomnik, nazywając go *la fontaine des larmes*. Zdaje się, że Rajewska się pomyliła. W istocie była wówczas (nie wiem, czy jest dotychczas) w pałacu chanów i fontanna, z któréj się jeszcze wówczas sączyła woda (mowa jest o niéj w sonecie Mickiewicza Bachczyseraj), ale nie ona była pomnikiem wystawionym dla ukochanéj niewolnicy. Puszkin, kiedy zwiedzał pałac chanów, był chory, nie rozpytał się dobrze i stąd poszło, że wziął fontannę za pomnik, wystawiony przez chana, i dał taką nazwę swemu poematowi.

Fabuła poematu bardzo krótka. W haremie chana pierwsze miejsce zajmowała Gruzinka Zorema, namiętnie zazdrosna o swoje pierwszeństwo w sercu chana. Tymczasem Tatarzy przywożą chanowi nową zdobycz z wyprawy na Polskę — piękną księżniczkę Maryę. Serce chana ku niéj się zwraca! Chan jest tak dla niéj łaskaw, że pozwala jéj mieszkać w odosobnieniu od haremu, że nie śmie jéj dotknąć, choć ciągle myśli o niéj. Zorema spostrzega miłość chana, w nocy wkrada się do pokoju Maryi i wzywa ją, aby jéj wróciła serce chana, w przeciwnym razie kindżałem ją przebije. Groźba się spełnia i naraz zabrakło w haremie i Maryi i Zoremy; pierwsza zabita, druga zwyczajem wschodnim utopiona, a na cześć pierwszéj, chan każe wystawić fontannę. — Wpływ Bajrona objawia się tu nietylko w saméj formie powieści, krótkiéj, liryzmem przejętéj, gdzie tylko na niewielu osobach i scenach skupione jest światło, nietylko w obrazie haremu, który jest echem „Don Juana" (poemat nawet z początku miał nosić nazwę „Harem"), ale przedewszystkiém w postaci chana, skrojonéj na wzór bajrońskich giaurów i korsarzy, ale skrojonéj jeszcze mniéj zręcznie niż „Jeniec". W charakterystyce chana jest nawet jeden ustęp zupełnie komiczny, — na czém się poznawali niektórzy zaraz po ukazaniu się poematu — przedstawiający chana, jak nieraz w zamęcie bitwy podniesie szablę do cięcia, gdy w tém zaskoczy go myśl o Maryi, i chan jakby kamienieje z ręką i szablą wzniesioną nad głową. Zresztą poemat powszechnie się podobał i sprawiał wielkie wrażenie. Co się tyczy samego Puszkina, to ten już w rok po napisaniu „Fontanny Bach-

czyseraju, nazywał ten poemat w liście do przyjaciela [1]) „lichotą" (drjań), a i w ośm lat potém bardzo krytycznie zapatrywał się na ten swój utwór, stawiał go niżéj od „Jeńca" i z powodu postaci bohatera poematu takie kréślił uwagi. „Młodzi pisarze wogóle nie umieją przedstawiać fizycznych ruchów namiętności. Ich bohaterowie zawsze wzdrygają się, śmieją się dziko, zgrzytają zębami i t. d. Wszystko to śmieszne, jak melodramat" [2]).

Taki był plon poetycki z pierwszego okresu bajronizmu Puszkina, kiedy poeta całkowicie opanowany był urokiem poezyi bajrońskiéj [3]) bezkrytycznie ją wielbił, ale nie umiał wnikać w jéj głębie, podążając za mistrzem swoim, naśladował go li zewnętrznie, powtarzał zewnętrzne cechy jego bohaterów. W drugim okresie, obejmującym dwa lub trzy lata następne, już jest inaczéj. Wprawdzie i teraz nie ogarnął on mistrza w całości, niektóre tony Bajrona pozostały dlań obce nazawsze, ale te, co ogarnął, umiał przeniknąć i przyswoić sobie, jak swoją własność duchową. A co ważniejsza, nietylko nie był już ślepym naśladowcą Bajrona, ale nawet, gdy w rozwoju swoich utworów z tego okresu spostrzegał przed sobą drogi, które się rozchodziły z drogami mistrza, nie wahał się wstąpić na nie i rozstać się z mistrzem i odtąd stawał się zupełnie samodzielnym w utworach, poczętych z natchnienia poezyi bajrońskiéj.

Takiemi utworami z drugiego bajronicznego okresu poezyi Puszkina są: „Eugeniusz Oniegin" i „Cyganie". Początek pierwszego z tych poematów przypada na maj 1822 roku, drugiego na grudzień 1823 r., kiedy już były napisane pierwsze dwie księgi „Oniegina", należałoby więc naprzód mówić o „Onieginie", późniéj o „Cyganach". Ale pisanie „Cyganów" trwało około dziesięciu miesięcy (do października 1824 r.), pisanie zaś „Oniegina" przeciągnęło się aż do jesieni 1831 r.), tak, że „Oniegin", jako całość, o siedm lat jest późniejszy od „Cyganów". Tu jest powód, dla którego zwrócę się naprzód do tego ostatniego poematu.

Jest to poemat dziwny i silne sprawiający wrażenie. Już samą formą, nawpół epicką, nawpół dramatyczną, różni się od innych powieści poetyckich Puszkina; różni się téż i swoją zwartością, skupieniem uczucia i pod tym względem zbliża się do jednego z późniejszych utworów Puszkina, do „Miedzianego Jeźdzca", któremu

1) *Soczinienia A. S. Puszkina.* Petersburg 1887. T. VII, str. 54.

2) Tamże. T. V, str. 121.

3) Tamże (*Schodził s uma ot Bajrona*, jak sam powiada).

i skądinąd jest pokrewny. Z poprzedniemi powieściami z pierwszego okresu bajrońskiego, z „Jeńcem", z „Fontanną", ma wspólny żywioł etnograficzny: jak w „Jeńcu" są obrazy życia górali, w „Fontannie" Tatarów krymskich, tak w „Cyganach" bardzo malowniczo występuje życie cygańskie. Ale po za tém różnica ogromna. Prof. Zdziachowski we wspomnianém już dziele o Bajronie i bajronizmie nazwał ten poemat „ostatnim i najświetniejszym owocem byronowskich zapałów rosyjskiego poety" i wyraził przekonanie, że tu dopiéro Puszkin naprawdę zrozumiał Bajrona i „stworzył bohatera rzeczywiście przerastającego ogół i pokłóconego z nim, bo oddanego marzeniom o przyszłém szczęściu ludzkości, wolnéj od wstrząśnień, męczeństw i kajdan walki o byt" [1]). Na to zgodzić się nie można. Prawda, że „Cyganie" są utworem wyższym, znakomitszym od wszystkich poprzednich utworów Puszkina i od niejednego z późniejszych, ale tę wyższość nadaje poematowi nie jego bajronizm, nie to, co w poemacie pod zakres tego kierunku wciągnąć można; a w dodatku bohater poematu wcale nie jest takim, jak go autor wspomnianego dzieła charakteryzuje, nie jest człowiekiem marzącym „o przyszłém szczęściu ludzkości, wolnéj od wstrząśnień etc.".

Ażeby zrozumiéć tę postać i to, na czém polega siła tego poematu, jaki jego stosunek do bajronizmu, potrzeba choćby w ogólnych rysach poznać treść jego. Do cygańskiego taboru czarnooka Zemfira przyprowadza jakiegoś człowieka z wyższéj sfery, któremu się ona podobała, który się jéj podobał i który się chce połączyć z taborem i razem z nim wieść życie cygańskie. To, co ów człowiek mówi na początku o życiu stołeczném, które porzucił, „o niewoli dusznych miast", to wszystko ma charakter bajronizmu czajldharoldowskiego:

Czegoż żałować? O gdybyś ty znała,
Gdybyć ty sobie wyobrazić mogła
Dusznego życia miejskiego niewolę!
Tam ludzie żyją ściśnieni śród murów,
Nie oddychają świeżością poranka,
Ni łąk zapachem wiosennym.
Miłości wstydzą się, myśl prześladują,
Handlują wolnością własną,
Przed bożyszczami biją pokłony
I proszą złota i kajdan.

---

[1]) „Byron i jego wiek". II. 186.

Ale ton, który słyszymy w tym wstępie, nie jest głównym tonem w poemacie, nie góruje nad nim; nie on stanowi główny rys bohatera i to rys, nadający mu nadzwyczajną siłę prawdy. Tym rysem jest to, że spokojny, leniwy, szukający tylko zupełnéj wolności Aleko (bohater poematu) skłonny jest do wybuchów szalonéj namiętności.

Ale, o Boże, jakże igrały namiętności
Jego posłuszną duszą.
Z jakiem wzburzeniem kipiały,
Czy dawno i nadługo się uspokoiły?
Poczekaj: one się przebudzą!

I przebudzają się niebawem. Aleko dla Zemfiry stał się z obyczaju cyganem, włóczył się z cyganami, wodził nawet niedźwiedzie, (co się nie podobało współczesnym krytykom), ale Zemfira kochała go cygańską miłością, to jest przez jakiś niedługi czas tylko. Po dwu latach sprzykrzył się jéj i zwróciła swoją dziką miłość do kogo innego, młodszego i tym razem prawdziwego cygana. Aleko łatwo to spostrzegł, zwłaszcza że Zemfira nie ukrywała swéj niechęci ku niemu, drażniła go nawet dziką pieśnią o dzikiéj miłości cygańskiéj. Daremnie ojciec Zemfiry tłómaczy zięciowi, że to jest obyczaj cygański, że taki jest zwyczajny los cygańskich małżeństw, daremnie mu opowiada, że jego Mariula rok go tylko kochała, a potém porzuciła, i on się z tém pogodził. „Nie, ja nie taki—odpowiada Aleko—i bez walki Od praw ja moich nie odstąpię—Przynajmniéj zemstą się nasycę — O nie! chociażbym nad przepaścią—Śpiącego wroga mego znalazł — Przysięgam! i tu noga moja — Nie oszczędziłaby złoczyńcy — I w fale morskie, nie bledniejąc — Jabym go strącił bezbronnego — A nagły przestrach przebudzenia — W mym dzikim śmiechu miałby echo — I łoskot jego upadania — Długo mi byłby śmieszny, słodki“!

Ogromna siła namiętności jest w tym ustępie, i oto gdzie trzeba szukać istotnego Aleka. Jego przesyt cywilizacyą miast to tylko suknia, zarówno jak jego cygańskie życie i wodzenie niedźwiedzia, to tylko maskarada, a jego rzekomych marzeń o przyszłém szczęściu ludzkości, tych wcale znaléźć nie można. Pod tą suknią, pod tą maską jest żywy człowiek i to człowiek niepodobny do bohaterów bajrońskich. Wprawdzie i Korsarz i Giaur dyszą zemstą i miłością, ale to, są błędni rycerze, możnaby ich jak Don Kichota nazwać rycerzami smutnéj postaci, ludzie naładowani energią samego poety, odwagą, duchem wojowniczym i rycerskością, ale teatralni Aleko nie jest teatralnym, pomimo całéj maskarady, nie jest błędnym rycerzem,

nie ma nic w sobie energii Giaurów i Korsarzy, ani ich rycerskości, ale jest wybuchowo-namiętnym człowiekiem, to jest takim, w którym namiętność wybucha, jak pożar, i szaleje z siłą żywiołową, odejmując wszelką rozwagę, tłumiąc wszelkie inne uczucia, dopóki nie strawi się sama w sobie i nie opadnie. Wybuchła ona w Aleku, gdy się przekonał, że Zemfira go zdradza; w nocy spostrzegłszy, że wyszła z namiotu, śpieszy za nią, znajduje na schadzce z cyganem, zabija nowego kochanka, a gdy Zemfira przeklina go za to, wtedy i ją przebija, a sam, ze skrwawionym nożem, ze straszną, nieprzytomną twarzą, siada na kamieniu nad dwoma trupami, jak skamieniała zemsta. Cyganie nie mszczą się na nim, tylko mu powiadają, że on nie stworzony dla nich, dla ich swobody i miłości cygańskiéj, nie chcą dłużéj żyć razem z nim i zostawiają go samego w polu.—Wymownym jest krótki epilog poematu, wymownie wskazuje, pomimo pewnéj tającéj się w nim niekonsekwencyi, to, co jest głównym motywem „Cyganów". Poeta mianowicie kładzie nacisk na to, że nawet w swobodném życiu cyganów, nawet pod ich obdartemi namiotami „żyją męczące sny — I wszędzie fatalna siła namiętności — I nigdzie od losu obrony niema". Stawiąc ten wiersz, Puszkin wskazywał, że główną rzeczą w poemacie jest temperament namiętny Aleka, popełniał zaś niekonsekwencyę, przypisując w epilogu Cyganom to, co było właściwością nie cygana, lecz Aleka, w nim to bowiem, nie w Cyganach, występuje fatalna siła namiętności. Zdaje mi się zatém, że i Spasowicz nie dotarł do głównéj idei poematu i właściwego znaczenia epilogu, gdy widział w nim tylko „uchylenie wszelkiéj nadziei szczęścia ludzkiego nawet w stanie przedcywilizacyjnym" [1]).

Aleko tedy nie jest owocem „bajronowskich zapałów" w Aleku Puszkin, jak to już dawniéj wskazywano [2]), wyłuszczał się z bajronizmu, stawał się niezmiernie oryginalnym, choć naturalnie do téj oryginalności dochodził dzięki szkole bajronizmu, którą przebył. W Aleka Puszkin wcielał siebie, swój temperament, mianowicie tę jego stronę, która przypominała więcéj Otella, niż bohaterów Bajrona, tę namiętność zazdrości, która nad nim zapanowywała wszechwładnie i która, jak świadczą wiarogodne wspomnienia o nim, pędziła go raz w Odessie, bez czapki na głowie, przez pięć wiorst przy

---

[1]) Włodzimierz Spasowicz. Pisma. T. V. Petersburg 1892, str. 266.

[2]) N. p. Spasowicz, który l. c., str. 267 powiada: „Dramat ten zaznacza wyjście Puszkina ze sfery wpływów Byrona".

35 stopniach gorąca, tę namiętność, która była fatalném dziedzictwem krwi afrykańskiéj, która zgotowała poecie śmierć przedwczesną. W Aleku skrystalizował poeta ten fatalny nastrój swéj duszy, nic z bajronizmem nie mający wspólnego, i ta bezpośredniość materyału poetyckiego, to, że czerpał przedewszystkiém z głębin natury własnéj, a nie z wrażeń nawianych pezyą obcą, to nadaje tak wielką siłę poematowi.

Można przypuszczać, że to miłość dla pani Riznicz, pięknéj Włoszki odeskiéj, która będąc czułą dla poety, umiała być taką i dla innych i która wywoływała w poecie napady szalonéj zazdrości, że ta miłość, a raczéj wrażenia, które po jéj przejściu pozostały w pamięci poety, były głównem źródłem pomysłu. Niedarmo poeta pisał potém w elegii na śmierć téj pani (Pod błękitném niebem ojczyzny dalekiéj) o „szaleństwie i męczarniach" miłości dla niéj. Gdy ta namiętność przeszła, gdy poeta uspokoił się i objął ją wspomnieniem, stanęła przed nim, jak sen straszny i złowróżbny. I w istocie, była wróżbą: wszakże to namiętność pokrewna tamtéj podprowadziła go pod szpadę Dantesa i śmierć mu przyniosła w trzydziestym siódmym roku życia, w pełni sił i wieku. Jest téż jakiś przeczuciowy nastrój w poemacie, który mu nadaje wiele uroku, i jakaś melancholia przeczuciowa, streszczająca się w dwu ostatnich wierszach poematu, jakaś skarga na fatalizm, podobna do téj, jaka brzmi w „Miedzianym Jeździcu", lub w wierszu „26 maja 1828":

Jakaż to złowroga siła
Wywołała mię z nicości,
Myśl zwątpieniem napełniła,
Duszę ogniem namiętności?

W „Cyganach" tedy bajronizm odgrywa podrzędną rolę, objawia się w wyborze tła, dekoracyi, w obrazie dzikiéj wolności cygańskiéj, którą zresztą Puszkin malował z natury, wreszcie w nastroju bohatera, w jakim się on ukazuje na wstępie poematu. Ten nastrój sztuczny, nie odpowiadający duchowi poety, który — jak słusznie zauważył Spasowicz — „nie brał sobie za ideał cygańskiego sposobu życia", ten nastrój znika potém, aby odsłonić szczery grunt duszy Aleka, fatalną potęgę namiętności, i ona to potęga wybija się na stanowisko zasadniczéj idei, którą najrozmaiciéj tłómaczono, niemiłosiernie rozciągając poemat w różne strony.

Jak w Aleku wcielił Puszkin jedną stronę swojéj natury, ów ogień namiętności, tak w Onieginie zawarł drugą — sceptycyzm nurtujący duszę poety tak, że te dwie postacie uzupełniają się wza-

jem. Są to dwie strony jednego medalu. Ale jeżeli w „Cyganach“ bajronizm odgrywa podrzędną rolę, inaczéj jest w „Onieginie“. W poemacie tym, pisanym, jak wiemy, w ciągu lat dziewięciu, występuje on z początku z wielką siłą, potém słabnie, w końcu zdaje się znikać, a przecież choć niewidzialny, jest on do samego końca przytomny.

„Oniegin” zostaje w ścisłym związku z kilku lirykami Puszkina, pisanemi w czasach powstania pierwszych dwu ksiąg „Oniegina”. Rzucają one światło na genezę poematu, i dla tego trzeba je naprzód rozważyć. Najważniejszym z nich w tym względzie jest wiersz, p. t. „Demon”. W tym wierszu powiada poeta, że w czasach, gdy wszystkie wrażenia bytu były dlań jeszcze świeże i nowe, gdy wolność, sława i miłość krew mu silnie wzburzały, w tych czasach nadziei i rozkoszy zaczął go potajemnie nawiedzać jakiś złośliwy geniusz. „Smutne były nasze spotkania—Jego uśmiech, wzrok dziwny — Jego słowa jadowite—Wlewały chłodną truciznę do duszy—Niewyczerpaném oszczerstwem — Urągał on opatrzności — Piękno nazywał mrzonką — I pogardzał natchnieniem — Nie wierzył miłości, swobodzie — Szyderczo na życie spoglądał — I nie widział w całym świecie — Nic godnego błogosławieństw“. W postaci demona upatrywano postać żyjącą, jednego z przyjaciół poety, Aleksandra Rajewskiego, syna generała sławnego z wojny 1812 r., a brata tych panien, które pierwsze wtajemniczały Puszkina w poezyę Bajrona. Mniemanie to było tak rozpowszechnione, że Puszkin, chcąc je sprostować, przygotował był notatkę, którą chciał bezimiennie umieścić w dziennikach, jako pochodzącą nie od niego. W téj notatce, w formie przypuszczenia, tak objaśniał znaczenie „Demona“. „Czy nie chciał w nim poeta uosobić wątpienia? W lepszéj dobie życia, serce, nieochłodzone doświadczeniem, dostępne jest dla wszystkiego, co piękne, łatwowierne jest i czułe. Zwolna wieczne przeciwieństwa rzeczywistości budzą w nim wątpienie: uczucie męczące ale niedługotrwałe... Znika ono, zniszczywszy nasze lepsze, poetyczne przesądy... Niedaremnie wielki Goethe nazywa wiecznego wroga ludzkości — duchem przeczenia... Czy téż i Puszkin nie chciał w swoim „Demonie” uosobić tego ducha przeczenia albo wątpienia i nakreślić w przyjemnym obrazie smutnego wpływu jego na moralność naszego wieku?” [1]).

---

[1]) Notatkę znalazł P. Annienkow i podał w swojéj książce „A. S. Puszkin w Aleksandrowskuju epochu“. Petersb. 1874, 152—153.

Wiemy tedy od samego Puszkina, co chciał przedstawić w swoim „Demonie,“ a przynajmniéj, co chciał, aby ludzie w nim widzieli. Z tego, co wiemy o Aleksandrze Rajewskim i o stosunku jego do Puszkina, moglibyśmy wnioskować, że i w tém mniemaniu, które poeta chciał rozproszyć, była część prawdy; ale niewątpliwie poecie chodziło tu o symbol, nie zaś o portret żywéj osoby, a symbol oznaczał nowy, pessymistyczny prąd w poglądach i uczuciach poety. Ale pod czyim wpływem zbudził się ten prąd, czyjém imieniem można ochrzcić symbolicznego demona?

Spasowicz stanowczo przeczy temu, ażeby mu można było dać imię Bajrona. „W każdym razie — powiada on (V 238) — nie był to Bajron, bo naprzód do ognistéj poezyi Byrona nie stosują się wyrazy: zimny jad, szyderca, potwarca Opatrzności, nie wierzący w wolność, powtóre, że demon nawiedzać począł Puszkina w dziecięcych jego latach, poprzedzających znajomość z Byronem: gdy dla mnie były całkiem nowe wrażenia wszelkie życiowe — dziewicze oczy, lasów szum...”. I daléj utrzymuje Spasowicz, że jeśli kogo upatrywać w demonie, to tylko Fernejskiego starca, w którego utwory z zamiłowaniem i uwielbieniem wczytywał się Puszkin jeszcze w bibliotece ojcowskiéj, a potém licealnéj. Otóż, zdaje mi się, że Spasowicz zanadto się trzyma litery „Demona”, a z drugiéj strony niedokładnie cytuje wyrażenia poety, nie ma tam bowiem mowy o „c a ł k i e m nowych wrażeniach życiowych”, ale tylko o „nowych”, co pozwala szukać ich nie koniecznie w czasach szkolnych. Do czasów szkolnych nie można zastosować tego, co mówi poeta o swoim zapale dla wolności, bo ten zapał przypada już na czasy późniejsze, i szkolna lektura Woltera tego zapału nie powstrzymała. Niewątpliwie obraz demona, nakréślony przez Puszkina, nie odpowiada syntezie poezyi bajrońskiéj, nie odzwierciedla rzeczywistego Bajrona, ale odzwierciedla — mojém zdaniem — wpływ jego na Puszkina w pewnym okresie. Wiadomo, jak są różne zwierciadła i jak rozmaicie pokazują, dusza Puszkina była wówczas takiém zwierciadłem, w którém się Bajron pokazał w postaci demona. Wzmianka o „beznadziejnym egoizmie”, który Bajron przyoblekał w „ponury romantyzm”, w trzeciéj księdze „Oniegina” (str. 12) pisanéj w r. 1824, popiera to przypuszczenie. Z Wolterem, z jego szyderstwami z dogmatów i moralności chrześciańskiéj, Puszkin znał się od dzieciństwa, znał to lepiéj, niż katechizm, zrósł się i oswoił z tém tak, że ten jad przestał w nim działać, nie zatruwał mu życia. Wolteryanizm nic w nim nie burzył, bo, niestety, dzięki otoczeniu domowemu (z wyjątkiem może niańki Aryny), nie było tam prawie

nic do burzenia, a filozofię mistrza, płytką, zalecającą drwić z religii, wierzyć w potęgę rozumu i używać życia, z lekkiém sercem dźwigał uczeń na barkach młodzieńczych. Wszakże Wolter nie był pessymistą; do życia był niezmiernie przywiązany, przyjemności jego cenił wysoko i do niego w żadnym razie nie mogą się odnosić ostatnie wiersze „Demona": I nie widział w całym świecie — Nic godnego błogosławieństw". Wolter zadziwiał, bawił, podniecał zmysłowość, ostrzył rozum młodzieńca, ale nie miał nic w sobie, czémby mógł trafić do jego serca i to serce poruszyć. W młodym wielbicielu swoim nie budził nawet uszanowania; piętnastoletni Puszkin w jednym z wierszów swoich (Miasteczko), nie przestając go wielbić, nazywa pieszczotliwie „złym krzykaczem" i „siwym swawolnikiem".

Zupełnie inny był stosunek Puszkina do Bajrona. Bajron miał czém poruszyć serce Puszkina i poruszył je tak, że młody poeta, jak wiemy, „szalał za Bajronem". Otwierał przed nim zupełnie nowe horyzonty, pełne mgieł melancholicznych, nadawał myślom polot, którego dotychczas nie miały, otwierał oczy na piękno przyrody, czarował dziką energią swoich bohaterów, a przytém pociągał ku sobie pewném pokrewieństwem burzliwéj młodości, w „Childe-Haroldzie" zarysowanéj. Ale — i to jest bardzo ważny wzgląd, na który nacisk kładę szczególny—Bajron nie odsłonił się odrazu cały Puszkinowi, Puszkin w pierwszych czasach swego „szalenia za Bajronem" nie poznał całego mistrza, tylko pewne jego strony; znał niewątpliwie Bajrona z „Childe-Harolda", „Korsarza", „Giaura", ale nie znał Bajrona z „Don Juana" a zapewnie i z „Beppa". Przypuszczenie swoje opieram na tym fakcie, że pierwsze dwie pieśni „Don Juana" ukazały się dopiéro w lipcu 1819 r. i ukazały się bezimiennie, nie pod głośną firmą Bajrona, trudno więc myśléć, aby w przeciągu roku mogły dotrzéć na Kaukaz lub do Kiszyniowa. Te dwie pierwsze księgi Puszkin poznał nie późniéj jak na wiosnę 1822, to jest przed rozpoczęciem „Oniegina", inaczéj by nie mówił o sobie w liście do Wiaziemskiego (4 listopada 1823, VII, 56), że pisze romans w rodzaju Don Juana. Nawiasem dodam, że aż do 19 marca 1825 r. nie znał więcéj nad pięć pierwszych ksiąg Don Juana (List do Bestużewa 21 marca 1825 r. VII, 117) i że dwie pierwsze uważał za daleko wyższe od trzech dalszych) (List do Wiaziemskiego VII, 80).

Jakież wrażenie te dwie pierwsze księgi Don Juana wywarły na Puszkinie? Bajron stanął tu przed nim w zupełnie innéj, niż dotychczas, postaci. Miejsce melancholii i innych tonów, których pełne były wędrówki „Czaj-Harolda", „Giaur", „Korsarz", wogóle wszystkie znane mu dotychczas utwory Bajrona, zajęło gorzkie szy-

derstwo i nieukrócony cynizm. Stawał przed nim Kandyd wolterowski przebrany w oktawę bajrońską i zaprawiony goryczą bajrońską. Ale Kandyd w ustach Woltera, wiecznego żartownisia, traci połowę swego jadu; w ustach tego, który tyle nowych, uszlachetniających uczuć zbudził w duszy Puszkina, przybierał cechy demonizmu. Gdyby Puszkin poznał był odrazu wszystkie pieśni „Don Juana", odniósłby zapewne inne wrażenie z całości, jaskrawość pierwszych pieśni zatarłaby się nieco, ale on znał czas jakiś tylko dwie pierwsze, a w tych pieśniach, mianowicie w pierwszéj, znajdował takie n. p. strofy.

CCXV.

Nigdy już... nigdy, o moje serce, nie będziesz dla mnie całym światem. Ongi byłoś dla mnie jedyném dobrem; wszystkoś pochłaniało... Odtąd nie możesz mię ani uszczęśliwiać, ani być źródłem mych boleści. Złudzenie pierzchło na zawsze; stałoś się nieczułém... ale nie jesteś przeto gorszém; zamiast złudzenia, nabyłem odrobinę rozumu... Bóg wié, jak ona pomieścić się mogła w méj głowie.

CCXVIII.

Do czegóż prowadzi sława? Do zapełnienia pewnéj ilości papiéru. Niektórzy ją przyrównywają do wspinania się na wzgórze, którego szczyt, jak wszystkie szczyty, gubi się we mgle. Po co ludzie piszą, mówią, nauczają? po co bohaterowie zabijają, po co poeci palą długo w noc swoje lampy? Po to, aby osiągnąć, kiedy będą już prochem, imię, lichy portret, jeszcze lichsze popiersie.

CCXX.

Co do mnie, lubiąc prawdziwą filozofię, powtarzam sobie często: „Niestety, wszystko, co się rodzi, rodzi się na to, aby umrzéć, i człowiek, ścięty kosą śmierci, zamienia się w trawę. Spędziłeś młodość dość przyjemnie i gdyby ci ją zwrócono, spędziłbyś tak samo. Dziękuj więc swojéj gwieździe, że ci nie było gorzéj na świecie; czytaj biblię, mój przyjacielu, i pilnuj swego worka.

Jeżeli porównamy te strofy z podanym wyżéj obrazem demona, („Jego uśmiech, wzrok dziwny—Jego słowa jadowite — Wlewały chłodną truciznę do duszy" i t. d.), to podobieństwo okaże się bliskie. Że Puszkina uderzyła silnie różnica w tonie między Don Juanem a Childe-Haroldem, na to mamy świadectwo w liście do Wia-

ziemskiego z 14 czerwca 1824 (VII, 80): „On (Bajron) stworzony był całkiem na wywrót. Stopniowania w nim nie było; nagle dojrzał i zmężniał — zaśpiewał i zamilkł, i pierwsze dźwięki już nigdy doń nie wróciły. Po czwartéj pieśni Childe-Harolda jużeśmy nie słyszeli Bajrona, tylko śpiewał jakiś inny poeta, wysokim talentem obdarzony". W tym samym liście nazywał Puszkin Bajrona, jako autora „Childe-Harolda" i „Giaura", „płomiennym demonem". (Geniusz Bajrona bladł z jego młodością. W swoich tragedyach, nie wyłączając Kaina, już on nie jest tym płomiennym demonem, który stworzył „Giaura" i „Childe-Harolda"). Otóż w dwu pierwszych pieśniach „Don Juana" ukazał mu się Bajron już nie jako płomienny, ale jako szyderczy demon, zrywający ze wszystkiego maskę złudzenia, niszczący swym oddechem te wszystkie kwiaty uczuć, które sam przedtém zaszczepił w sercu jego. Wrażenie było silne i jego echem jest, sądzę, wiersz „Demon".

Wiersz „Demon" jest poetyczném echem, ale jest inny nierymowany dokument, wcześniejszy nieco od „Demona", w którym owo wrażenie występuje z wielką siłą i w bardziéj konkretnych kształtach. Jest to list, który Puszkin pisał do młodszego brata, Lwa, dając mu, jako wstępującemu w świat, rozmaite braterskie napomnienia i nauki. Są tam niektóre uwagi, zaczerpnięte li z doświadczenia poety, nie mające związku ani z „Don Juanem", ani z „Demonem", ale przeważnie treść listu jest nauką „beznadziejnego egoizmu", który, jak wiemy, przypisywał Puszkin Bajronowi. Tę naukę, świeżo zaczerpniętą z pierwszych pieśni „Don Juana", podawał Puszkin bratu w następujących słowach: „Vous aurez affaire aux hommes que vous ne connaissez pas encore. Commencez toujours par en penser tout le mal imaginable: vous ne'n rabattrez pas de beaucoup. Ne les jugez pas par votre coeur, que je crois noble et bon et qui de plus est encore jeune; méprisez les le plus poliment qu'il vous sera possiblé. C'est le moyen de se tenir en garde contre les petits préjugés et les petites passions, qui vont vous froisser à votre entrée dans le monde. — Soyer froid avec tout le monde: la familiarité nuit toujours... Point de petits soins, défiez-vous de la bienveillance dont vous pouvez être susceptible: les hommes ne la comprennent pas et la prennent volontiers pour de la bassesse... N'acceptez jamais des bienfaits. Un bienfait pour la plupart des tous est une perfidie... J'aurais voulu vous prémunir contre les séductions de l'amitié, mais je n'ai pas le courage de vous endurcir l'âme dans l'âge de ses plus douces illusions. Ce que j'ai à vous dire à l'égard des femmes serait parfaitement inutile. Je vous obser-

verai seulement, que moins on aime une femme et plus on est sûr de l'avoir. Mais cette jouissance est digne d'un vieux sapajou du 18 siécle. A l'égard de celle que vous aimerez jesouhaite de tout mon coeur que vous l'ayez. (VII 43—44).

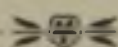
Z tego samego roku, co „Demon“, pochodzą dwa wiersze, pokrewne mu tonem: „Telega życia” i „Siewca”. Ale pessymizm tych wierszy jest jakiś szerszy, głębszy, widać, że jest już owocem własnych spostrzeżeń i doświadczeń poety, poczynionych w świetle wrażenia, jakie na nim wywarł „Don Juan”. „Telega życia” jest ogólnym obrazem stygnięcia zapałów młodzieńczych, wystawionym w postaci podróżującego, który zrana siadłszy na wózek pocztowy, woła ciągle na woźnicę, aby smagał batem trójkę, w południe już strzęsiony, lękając się gór i wybojów, krzyczy: zwolna, bałwanie! a wieczorem drzemie, jadąc na nocleg, i nie widzi nawet, jak woźnica popędza konie. W „Siewcy” wyraziło się — jak przypuszczam — rozczarowanie, jakiego doznał Puszkin wskutek zetknięcia się na ulicach Kiszyniowa i Odessy z powstańcami greckimi. Na parę lat przedtém, na wiosnę 1821, zachwycał się ruchem greckim, ofiarnością Greków (w liście do A. Rajewskiego VII, 18—20), teraz nazywał ich rzezimieszkami, włóczęgami bez odwagi, i drwił z Europy, która wyobraża sobie, że dzisiejsi zbóje i sklepikarze greccy są prawymi potomkami Temistoklesów i Peryklesów. (VII, 80). Trzeba jednak zaznaczyć, że taka opinia o Grekach nie przeszkadzała mu w jednym z urywków współczesnych wzywać Grecyi do powstania (Powstań, o Grecyo, powstań!).

(*D. n.*) *Józef Tretiak.*



MECHANIKA SPOŁECZNA

O ENERGII SPOŁECZNÉJ I JÉJ MIERZENIU. [1])



Gdybyśmy na zwykłéj szkolnéj mapce Europy wyodrębnili Szwajcaryę i na drobnéj przestrzeni, zajmowanéj przez nią, chcieli zaznaczyć wszystkich mieszkańców tego kraju, moglibyśmy to uczynić chyba tylko punktami. Gdybyśmy następnie przypuścili, iż punkty te wykonywają wszystkie czynności przedstawianych przez nie osób, widzielibyśmy tylko, że one wzajemnie się przyciągają i odpychają, przebiegają większe lub mniejsze przestrzenie.

Otóż ze względu na analizę naukową, mamy w socyologii ogólnéj zupełne prawo w taki właśnie sposób przedstawiać sobie każdy agregat społeczny, bo wszak geografia nie inaczéj postępuje, przedstawiając duży kraj na drobnym skrawku papieru. Skala, jaką zastosowujemy przy badaniu zjawisk, bynajmniéj nie zmienia ich istoty, i na téj właśnie zasadzie nauka używa szkieł powiększających lub zmniejszających. Przedstawiając więc ludność Szwajcaryi przez pewną masę poruszających się punktów, czynimy to w przypuszczeniu, że, gdyby do mapki odnośnéj zastosować szkła powiększające odpowiedniéj siły, ujrzelibyśmy istotnych obywateli tego kraju, wy-

---

[1]) Por. poprzednie nasze prace o mechanice społecznéj: „Ateneum“, grudzień 1897, kwiecień 1898, luty 1899.

konywujących wszystkie nader skomplikowane czynności, które faktycznie wykonywują.

Bezpośrednia obserwacya zmysłowa pokazuje nam w świecie tylko poruszające się masy. Agregat społeczny jest więc systemem punktów, które wciąż się znajdują w ruchu, zbliżając się i oddalając jedne od drugich. Gdyby wszakże ktoś zapytał, jaka jest przyczyna ostateczna tych ruchów, odpowiedzielibyśmy, iż jest nią siła ciążenia, a to dla zachowania analogii z mechaniką fizyczną, która wszystkie ruchy mas i cząsteczek wyprowadza także z téj siły. Tylko, jeżeli w mechanice fizycznéj nie mamy pojęcia o stanach wewnętrznych poruszających się mas, w mechanice społecznéj mamy o nich świadomość bezpośrednią drogą introspekcyi wewnętrznéj, która w psychologii uważana jest za metodę naukową, na równi z obserwacyą zewnętrzną. W przyciąganiach, które na nas wywierają różne rodzaje materyi nieożywionéj i różne jednostki, zachodzą różnice: jedne przyciągają silniéj drugie słabiéj. Czyny nasze są zawsze równoważną wszystkich tych przyciągań — jesteśmy masami, które się poruszają w kierunku największéj przyjemności, t. j. największego przyciągania i najmniejszego oporu.

Ale zupełnie toż samo powiedziéć można o wszelkiéj wogóle materyi, odbywającéj jakiekolwiekbądź ruchy, np. przy związkach chemicznych. Dodać należy, iż każdy atom kierowany jest określonym wyborem w swych związkach z innemi atomami. Tak np. chlorek chętniéj się łączy z wodorem, niż z tlenem, a z azotem lub z węglem łączy się tylko z wielką trudnością. Zupełnie w ten sam sposób powiedziéć można, iż człowiek danéj rasy większy ma pociąg do pewnych rzeczy i do pewnych osób, niż do innych.

Nasza wolność wyboru oznacza tylko, iż skierowani ku rzeczom i osobom, które są nam najprzyjemniejsze, opuszczamy po drodze te, które są nam mniéj przyjemne. Zupełnie w ten sam sposób postępuje np. chlorek, który w pewnych warunkach porzuca azot, węgiel lub tlen, by się połączyć z wodorem. I dlatego zupełną ma racyę Würtz, gdy powiada: „*l'affinité chimique est élective*“ [1]).

Niektóre fakty, zaczerpnięte z fizyologii, każą przypuszczać, iż więź społeczna polega w zasadzie swéj na przyciąganiu, noszącém charakter czysto mechaniczny [2]). Zastanówmy się chociażby nad pociągiem płciowym. Fakty dowodzą np., iż przy wszelkiéj kokie-

---

[1]) Würtz: *Théorie atomique.* Paris. *Bibliothèque scientifique internationale.*

[2]) Kwestyi téj poświęcimy osobne studyum.

teryi — najprzyzwoitszéj — pomiędzy mężczyzną a kobiétą, spermatozoid i jajeczko zaczynają dążyć do zbliżenia się ku sobie. Ribot [1]) słusznie jest tego zdania, iż ruchy powyższe spermatozoidu i jajeczka są natury czysto mechanicznéj. A ponieważ nauka musi zawsze wyprowadzać z faktów zasadniczych, natury ogólnéj, te, które są wtórne i bardziéj specyalne, więc przyciąganie mechaniczne spermatozoidu i jajeczka w powyższym przykładzie uważać należy za przyczynę zasadniczą, z któréj już, jako skutek wtórny, wypływa świadoma zalotność osób.

Jeżeli pociąg płciowy, dzięki aktom skomplikowanym zalotności, u człowieka traci z pozoru swój charakter właściwy przyciągania mechanicznego, to pouczającemi pod tym względem są obyczaje ustrojów najdrobniejszych, gdzie charakter mechaniczny przyciągania jest niewątpliwy, a zachowuje ono także wielki stopień złożoności.

„Dziwném jest — powiada Balbiani — spotykać u istot, które dla swéj małości i prostoty ustroju pomieszczone zostały przez zoologów na najniższym szczeblu świata zwierzęcego, akty podobne zupełnie do tych, któremi pociąg płciowy przejawia się u zwierząt wyższych. Tak *paramecidy* w chwili rozmnażania poszukują się i prześladują, przechodząc od jednego do drugiego, zbliżając się na chwilę, by znów potém się rozłączyć. Te gry szczególne, któremi drobne istoty jakgdyby się prawokowały wzajemnie do połączenia, trwają nieraz po kilka dni, poczém ono ostatecznie następuje".

„Przyciąganie płciowe mikro-organizmów — czytamy u Ribota — tłómaczone było w sposób dwojaki: psychologiczny i chemiczny. Jedni przypisują im wybór, chęć, inni odrzucają tę psychologię, którą nazywają antropo-morfizmem, i twierdzą, iż akcye chemiczne wystarczają dla objaśnienia wszystkiego. Już Pfeiffer pokazał, iż spermatozoidy kryptogamów [2]) przyciągane są przez pewne substancye chemiczne. Późniéj Maupas i Verworn, badając różne wypadki przypuszczalnego wyboru, eliminowali wszelki czynnik psychiczny, by je sprowadzić do czystego mechanizmu. Przyjmuję osobiście ten drugi punkt widzenia".

Przyznać jednak muszę, iż kwestya tak sformułowana, wydaje się postawioną błędnie. Jak widzieliśmy powyżéj, bynajmniéj nie należy przeciwstawiać „czynników psychicznych" „czystemu me-

---

[1]) Ribot: *Psychologie des sentiments.* Paris.

[2]) „*Psychologie des sentiments*", str. 247.

chanizmowi", jako dwu rzeczy odrębnych lub sprzecznych. Energetyka mianowicie godzi te dwa punkty widzenia. Same czynniki psychiczne podlegają ogólnym prawom mechaniki, tylko jeżeli zjawiska chemiczne są objawami energii kosmicznéj, to zjawiska psychiczne są objawami energii biologicznéj, która podlega prawom niezniszczalności i transformacyi na równi z tamtą [1]).

Tylko takie stanowisko pozwala nam sprowadzić wszystkie zjawiska do mechaniki.

Często słyszéć się daje zarzut, iż energia biologiczna jest tylko metaforą, iż nikt jéj nie widział. Ależ toż samo wszak można powiedziéć i o energii fizycznéj — czyż ktoś kiedyś widział elektryczność? Znamy ją wszak tylko z objawów, jak światło, ciepło, ruch, tak samo nikt nie widział energii biologicznéj, tylko jéj objawy, któremi są wszystkie nasze uczucia, myśli i czyny (znane bądź z spostrzeżeń zewnętrznych, bądź z introspekcyi wewnętrznéj). A to w jednym i drugim wypadku w zupełności nauce wystarcza. Ze względu na złożoność i powikłanie téj kwestyi zastanówmy się nad nią bliżéj.

Energetyka ma słuszną pretensyę objęcia i połączenia wszystkich nauk, gdyż tylko skutkiem swéj niedoskonałości pozostawały one dotychczas rozłączone. Wszystko jednak we wszechświecie stanowi system związany, takiż system powinna przedstawiać nauka, odbicie idealne wszechświata.

Podstawą téj nowéj filozofii naukowéj jest zasada niezniszczalności energii, sformułowana w r. 1842 przez Roberta Mayera. Prace jednak tego lekarza przeszły prawie niespostrzeżone; dopiéro Helmholtz w słynnéj swéj rozprawie „O zachowaniu energii" wyprowadził je na światło i pokazał całe ich znaczenie.

Większość fizyków przyjmuje, dla wyjaśnienia wszystkich zjawisk świata, dwa czynniki, materyę i energię. Wszystko, co istnieje, objawia się nam w jednéj z tych dwóch form: taki jest postulat zasadniczy wiedzy doświadczalnéj.

Materyą przyjęto nazywać wszystko, co zajmuje pewną przestrzeń, ma wagę i miarę. Jak wiadomo, waga pewnéj ilości materyi pozostaje taż sama, pomimo wszystkich zmian formalnych, które można w niéj wywołać. Na tém polega jedno z wielkich praw natury, prawo Lavoisier'a o zachowaniu czyli niezniszczalności materyi. „Nic nie ginie; nic się nie tworzy; wszystko się zmienia".

Dla pojęcia drugiego czynnika, energii, należy się przyzwy-

---

[1]) Por. naszą „Mechanikę społeczną", „Ateneum", kwiecień 1898.

czaić do téj prawdy, iż niema na świecie zjawisk izolowanych. Starożytna fizyka błędnie postępowała, rozważając zjawiska niezależnie jedne od drugich i uważając ciepło, światło, elektryczność i t. d., jako rzeczy odrębne! W rzeczywistości każde zjawisko pozostaje w łączności z innemi, będąc tylko przemianą jednego stanu rzeczy na inny. Istnieje związek między stanem poprzednim i następnym każdego procesu; związek ten polega na pewnym czynniku stałym i wiecznym, który przechodzi z jednego stanu w drugi, zmieniając tylko swą formę zewnętrzną. Ten czynnik stały, który zauważyć się daje w zmienności i rozmaitości form i który przechodzi ze zjawiska poprzedniego w następne danego procesu, jest energią. Może się ona przejawiać w formach mechanicznych, chemicznych, cieplnych, elektrycznych i t. d. Przechodzą one jedne w drugie w normach jakościowo i ilościowo ściśle określonych.

Energia może przybierać dwie formy: czynną i możebną. Ciało, wzniesione na pewną wysokość, spadając, rozwija pracę równą téj, jakiéj użyto, by je wznieść nad ziemię. Praca ta spadku może być użyta w sposób najrozmaitszy, np. dla wprawienia w ruch zegaru. Gdy wagi jeszcze spadać nie zaczęły, powiadamy, iż posiadają one pewną zdolność wykonania pracy, pewną energię możebną, która następnie, w miarę opadania, zamienia się na energię czynną, przejawiającą się w ruchu zegaru. Praca, rozwinięta przy opadaniu wag, ściśle jest równą téj, która użytą była dla nakręcenia zegaru. Pomiędzy temi dwiema fazami energii czynnéj znajduje się faza pośrednia energii możebnéj, gdy wagi już wciągnięte zostały, ale dzięki jakiéjkolwiekbądź przeszkodzie jeszcze opadać nie zaczęły.

Codzienne doświadczenie przekonywa nas, iż praca mechaniczna przechodzi w ciepło. Nauka obliczyła już ściśle stosunek ilościowy tego przekształcenia. Energia związków chemicznych bezpośrednio jeszcze obliczoną nie została, może ona wszakże dać początek wszelkim innym rodzajom energii: ciepła, elektryczności, pracy mechanicznéj, światła i t. d. Każdy rodzaj energii może się znajdować w obydwu stanach: oczywistym, czynnym, lub ukrytym, możebnym.

Świat fizyczny przedstawia nam tylko zamiany jednéj formy energii na drugą. Zachodzi pytanie, czy świat organiczny, żywy, może także być podprowadzony pod to uogólnienie. Nauka daje na to pytanie odpowiedź twierdzącą.

Świat cały, we wszystkich swych przejawach, rządzony jest przez też same prawa zasadnicze, przedstawiając jeden mechanizm ściśle związany. Wszelkie przesądy animistów i witalistów, którzy

dla życia chcieli znaleźć jakąś zasadę specyalną, niepodległą prawom fizycznym, należą w zupełności do mrzonek średniowiecznych. Nauka o energii staje się tém ogniwem, które łączy w jedną całość zjawiska fizyczne, zjawiska biologiczne i społeczne.

Energetyka po raz pierwszy zastosowaną została do biologii przez tegoż samego R. Mayera, który oparł na niéj i fizykę. Było to jeszcze w r. 1845. Przez trzydzieści lat następnych energetyka biologiczna była w uśpieniu, z którego wyprowadził ją dopiéro Helmholtz. Od tego czasu zrobiła wielkie postępy, dzięki pracom Cl. Bernarda, Fr. Mullera, Loeba, Lalaunié, Chauveau etc.: obecnie jest wykładana w uniwersytetach Anglii, Niemiec, Ameryki, Szwajcaryi i Francyi.

Nowa teorya przychodzi do wniosku, iż świat żywy prze stawia nam tylko przemiany materyi i przemiany energii [1]. Wszelki objaw życia i działalności zwierząt i roślin odpowiada przemianom energii, przejściu jéj z jednego stanu w drugi, które odbywa się w proporcyach ilościowych, ściśle określonych.

Przejdźmy do wykładu wniosków, do których energetyka biologiczna dochodzi na drodze doświadczalnéj. Najważniejszy z nich jest następujący: proces życiowy, w każdym swym przejawie, ma swe źródło w energii chemicznéj i swe zakończenie w energii cieplnéj. Zjawiska życia przedstawiają się więc nam, jako przebieg energii, która wychodząc z jednego punktu stałego natury fizycznéj, wraca do niéj w innym punkcie, także stałym, — przebieg odbywający się w organizmie. Przebiegowi energii odpowiada przebieg materyi, trawienie, mające także swój początek i swe ujście w świecie zewnętrznym.

Drugiém prawem doświadczalném energetyki biologicznéj jest następujące: „Podtrzymanie życia nie zużywa żadnéj energii specyalnéj, zapożycza ono ze świata zewnętrznego wszystko, co zużywa, i zapożycza mianowicie w formie energii chemicznéj, potencyalnéj, czerpanéj w pokarmach i zawartéj następnie w tkankach organizmu". Życie polega na ciągłém wydatkowaniu téj energii, któremu odpowiada niszczenie tkanek. „Gdy jakikolwiek ruch się przejawia — słusznie powiada Cl Bernard—gdy muskuł się skraca, gdy wola, uczucie lub myśl się wyrażają, substancya mięśni, nerwów,

---

[1] A. Chauveau: *La vie et l'énergie chez l'animal*, Paris 1894. — F. Lalaunié: *Energétique musculaire*, Paris 1898.—Dastre: *L'énergie dans le monde vivant*, 1898.

mózgu się dezorganizuje i niszczeje". Temu zniszczeniu tkanek odpowiada wydzielenie energii, która zawartą była w nich, w stanie potencyalnym. Energia ta jest osnową zjawisk życiowych. Oczywista rzecz, iż energia tak wyładowana musi być wciąż odnawiana, by organizm zachowywał równowagę. Pokarmy dostarczają właśnie potrzebnych po temu materyałów. Organy trawienia asymilują je i przechowują następnie w tkankach, jako zapasy. Należy więc rozróżnić dwie kategorye w procesie życiowym: zjawiska funkcyonalne, odpowiadające niszczeniu energii. i zjawiska plastyczne, odpowiadające jéj nagromadzaniu.

Energia, zaczerpnięta z pokarmów, przebiegłszy organizm i dawszy miejsce zjawiskom życia, powraca do natury w kształcie energii cieplnéj. Zjawiska życiowe mają więc miejsce ściśle określone, pomiędzy energią chemiczną a cieplną. Energia życiowa polega więc na przejściu energii chemicznéj w cieplną, drogą procesu przekształcenia, odbywającego się w tkankach i powodującego wszystkie objawy życiowe, uczucia, myśli, czyny. Przekształcenie to nie zupełnie jeszcze zbadane w zasadzie polega na asymilacyi, na przyciąganiu materyi przez materyę. Widzieliśmy mianowicie w poprzednich naszych pracach [1]), jak wszystkie objawy życia duchowego, ekonomiczne, polityczne, prawne, moralne, estetyczne, religijne i umysłowe pochodzą z podstaw fizyologicznych życia, z głodu i miłości, te zaś ostatnie, o ile je znamy zmysłowo i doświadczalnie, nie są niczém inném, jak przyciąganiem przez nasze ciało innych ciał, nieożywionych i ożywionych.

Możemy więc, jak rzekliśmy — ściśle określić miejsce, które życie zajmuje w całości wszechświata: pochodzi ono z energii chemicznéj i zamienia się na cieplną. Otóż pierwszą w postaci pokarmów przygotowują rośliny. Można więc powiedzieć, iż świat zwierzęcy wydatkuje energię, którą świat roślinny nagromadził. Zaś świat roślinny czerpie swoją z energii, promieniowanéj przez słońce. Otóż zwierzęta zwracają ją naturze w postaci ciepła. Wszechświat przedstawia w ten sposób jeden system ściśle związany.

Zauważyć należy, iż energia biologiczna, jakkolwiek zaczerpnięta z energii chemicznéj pokarmów, rozpatrywana być musi nie jako zawarta w tych ostatnich, lecz w tkankach i organach ciała. Inaczéj mówiąc, pokarmy muszą być przetrawione i wcielone

---

[1]) Porównaj: „Mechanikę społeczną", „Ateneum", kwiecień 1898 i „Równowagę estetyczną", „Ateneum", luty 1899.

w tkanki: wówczas dopiéro można uważać je za energię biologiczną. Wszystkie zasady energetyki biologicznéj, które powyżéj wyłożyliśmy, stosują się tylko do pokarmów już tak przetworzonych. Ale one bynajmniéj zastosowane być nie mogą do pokarmów jeszcze nieprzetrawionych, lub znajdujących się na zewnątrz organizmu. One bynajmniéj energii biologicznéj sobą nie przedstawiają.

W energii biologicznéj, powyżéj scharakteryzowanéj, należy odróżniać dwa stany, czynny i możebny. Możebną jest ona, gdy się znajduje zawartą w stanie zapasów w tkankach organizmu, wszelki zaś przejaw ruchu ze strony organizmu, mięśniowy lub nerwowy, inaczéj mówiąc wszelka czynność i wszelka świadomość, która jest zawsze ruchem nerwowym, czy chodzi o uczucie, myśl lub wolę, należą do energii biologicznéj kinetycznéj. Jak poprzednio widzieliśmy, odbywa się to tylko na koszt energii biologicznéj potencyalnéj.

Otóż, mojém zdaniem, energia społeczna składa się tylko z tych dwu rodzajów energii biologicznéj [1]). A co się staje z energią fizyczną układów otoczenia? Jeżeli ma ona miéć jakąkolwiek wartość społeczną, musi naprzód wywołać reakcyę energii biologicznéj [2]), bo jeżeli np. w naturze są drogocenne metale lub pokarmy, które są nam nieznane, to nie mają żadnéj wartości społecznéj. Tak promienie *X* nie miały żadnéj wartości społecznéj, dopóki Roentgen ich nie odkrył, t. j. dopóki one nie wywołały reakcyi nerwowéj najprzód w nim, a potém i w nas wszystkich, jako świadomość o ich istnieniu, jako forma energii biologicznéj kinetycznéj. Pokarmy zaś mogą jeszcze w ten sposób wpływać na energię społeczną, iż zamieniają się na energię biologiczną potencyalną, gromadząc się w tkankach naszego organizmu. Ale wszystko, co nie przybiera jednéj z tych dwóch form energii biologicznéj, nie należy do energii społecznéj, która podlega ciągłym przemianom form.

Niejednokrotnie wskazywaliśmy na to, iż sprowadzamy wszystkie te formy energii biologicznéj, bądź organizmów jednostkowych, bądź téż społecznych, do odmian głodu i miłości, t. j. przyciągania, istniejącego między materyą ożywioną a nieożywioną. Zastanówmy się nad tą kwestyą bliżéj.

---

[1]) Por. „Mechanikę społeczną“ l. c.

[2]) Lub być przez nią przetworzona: np. produkty materyalne mają wartość społeczną tylko o tyle, o ile są wcieleniem energii biologicznej, lub o ile ją do nowéj działalności pobudzają.

Jedną z najogólniejszych funkcyi życiowych jest odżywianie, t. j. asymilacya, która polega na tém, iż po szeregu wymian niezbędnych pomiędzy komórką a środowiskiem, pierwsza powraca do swego składu pierwotnego i formy pierwotnéj—szereg akcyi i reakcyi, dających w końcu równowagę ruchomą. Rozmnażanie może być także rozpatrywane z tego punktu widzenia: jako szereg wymian, po których następuje asymilacya. A mianowicie: komórka żeńska wyrzuca ze swego łona pewne czynniki; jest to eliminacya t. zw. ciałek biegunowych („*globules polaires*"); otrzymuje ona następnie komórkę męzką—czynnik, którego jéj brakowało i który przyciągała: jest to zapładnianie. Poczém komórka się odbudowywa, drogą prawdziwéj asymilacyi, i rozpoczyna nowe życie. Tak samo dzieje się w reprodukcyi bezpłciowéj, za pomocą samopodziału (*bipartition*), pączkowania i t. zw. caryocynezy [1]); zresztą reprodukcya bezpłciowa nie może się odbywać przez czas nieokréślony; po większéj lub mniéjszéj liczbie pokoleń komórki starzeją się i wówczas mogą odmłodniéć za pomocą zjawiska połączenia (*conjugatio*), po którém następuje wymiana i asymilacya. Te zjawiska odmłodzenia przypominają rozmnażanie płciowe. W ten sposób reprodukcya może być rozpatrywana, jako forma asymilacyi i jako dalszy ciąg procesu odżywiania.

Jeżeli od odżywiania przejdziemy do właściwości życiowych jeszcze ogólniejszych, znajdziemy drażliwość, czyli zdolność reagowania na podniety zewnętrzne. Otóż tę drażliwość fizyologia współczesna także sprowadza do przyciągania, jakie istnieje pomiędzy materyą nieożywioną a ożywioną. Prof. Max Verworn [2]) słusznie objaśnia ruchy ameby tylko, jako skutek powinowactwa chemicznego, istniejącego między protoplazmą a tlenem powietrza. To przyciąganie, wywierające się silniéj w pewnych punktach, wywołuje ruch odśrodkowy, czyli tak zwane niby-nóżki ameby —jest to zwykłe zjawisko chemiotropizmu. Chemiczne zaś powinowactwo pomiędzy protoplazmą utlenioną a ciałami wytwarzanemi przez jądro ameby wywołuje ruchy dośrodkowe, czyli kurczenie się, chowanie niby-nóżek. W podobny sposób objaśnia się kurczliwość mięśni gładkich i prążkowanych i wogóle żywéj materyi.

---

[1]) Karyokineza lub käryocyneza — zjawisko morfologiczne, towarzyszące segmentacyi komórek.

[2]) Max Verworn: „*Die Bewegung der lebendigen Substanz*" 1892. Idem: „*Allgemeine Physiologie*", 1895.

Drażliwość (lub wrażliwość, czyli drażliwość świadoma) jest wyrazem powinowactwa, t. j. przyciągania, istniejącego między materyą ożywioną, a nieożywioną lub ożywioną. Następstwem i objawem tego przyciągania są ruchy czynne materyi ożywionéj, jéj kurczliwość. Z drażliwości (czyli zdolności asymilacyjnéj) pierwotnéj niezróżniczkowanéj, pierwoszczy, pochodzą swoją drogą, jako ze źródła wspólnego, wszystkie energie specyficzne organów u istot najbardziéj zróżniczkowanych.

Prawo „energii specyficznéj" zmysłów, odkryte przez Jana Müllera i rozwinięte przez wielu innych badaczy, między innymi przez Heringa, pokazuje nam, iż każda żywa materya ma swoistą energię, przejawiającą się w funkcyi danego organu. Swoistą energią oka jest widzenie, ucha—słyszenie [1]), nerwów—przewodnictwo prądów nerwowych, przednich zwojów mózgu—myśl i t. d. Wszystkie te energie pochodzą z drażliwości tak samo, jak wszystkie organy pochodzą z protoplazmy pierwotnéj. Od kierunku i stopnia zróżniczkowania téj ostatniéj w każdym z organów zależy charakter danéj energii specyficznéj. Ale tak samo, jak drażliwość komórki pierwotnéj dąży tylko do asymilacyi, t. j. odżywiania się i reprodukowania (jak topowyżéj widzieliśmy), tak i wszystkie energie specyficne dążą do tegoż celu, t. j. są przetworzeniem bądź głodu bądź miłości, inaczéj mówiąc są przejawem integracyi i dezintegracyi materyi.

Sród podniet wywołujących drażliwość żywéj materyi, zastanowiliśmy się główne na przyciąganiu pomiędzy protoplazmą a tlenem — ale podniety są nader liczne i mogą być klasyfikowane, jako fizyczne, chemiczne i mechaniczne. Wszystkie jednak wyrażają się zwykle w pewném przyciąganiu lub odpychaniu, wywieraném bądź przez czynniki elektryczne (galwanotropizm), bądź przez światło (heliotropizm), przez czynniki mechaniczne (barotropizm), albo téż chemiczne (chemotropizm).

Drażliwość żywéj materyi jest więc pewném przyciąganiem pomiędzy nią a materyą stanowiącą podnietę. Widzieliśmy na przykładzie Verworna, iż przyciąganie to może być sprowadzoném do akcyi fizyko-chemicznych. Jest to pogląd słuszny, ale jednostronny. Nowsze badania nad materyą ożywioną (Chauveau, Lalaunié, Loeba i in.), o których powyżéj mówiliśmy, pokazują, iż po téj fazie asymilacyi fizyko-chemicznéj rozpoczyna się nowa faza równoznacz-

[1]) Oko i ucho muszą być wzięte z punktu widzenia energetyki, wraz z odnośnemi centrami mózgu.

nych im przekształceń energii już czysto biologicznéj, która jest wytworem tamtéj. Inaczéj mówiąc, przyciąganiu fizyko-chemicznemu odpowiada w drażliwości przyciąganie biologiczne, wyrażające się w poczuciu przyjemności (dodatniéj, lub ujemnéj, czyli nieprzyjemności). Natężenie przyjemności wyraża natężenie przyciągania biologicznego. Przyjemność jest téż samą z drażliwością, inaczéj mówiąc, jest najogólniejszym rysem charakterystycznym życia.

Rzekliśmy wyżéj, iż z drażliwości charakteryzującéj protoplazmę pierwotną wyłoniły się wszystkie energie specyficzne organów, w miarę tego, jak ona się różniczkowała: toż samo powiedzieć można o przyjemności. I oto czemu ona jest najwyższą energią, nadającą impuls wszystkim energiom ciała, oku, które widzi, uchu, które słyszy, ręce, która chwyta, nawet mózgowi, który myśli. I oto czemu człowieka przedstawić sobie można, jako wóz, kierowany przez woźnicę—przyjemność [1]).

Wszystkie inne energie ciała są jéj podległe i dlatego wystarcza mierzyć przyjemność, by mieć wyraz pośredni wszystkich tych energii biologicznych, i odwrotnie. Możnaby zarzucić, iż nie posiadamy dotychczas środków bezpośredniego wymierzania przyjemności—ani téż energii specyficznych, ale mamy za to doskonałe środki pośrednie i te w zupełności wystarczają. Pod tym względem Jevoes [2]) bardzo słusznie powiada: „Nie możemy wymierzać, ani znać siły ciężkości w jéj naturze, istocie, jak nie możemy wymierzać bezpośrednio uczuć, ale jak mierzymy ciężkość według jéj objawów w ruchu wahadła, tak samo możemy wymierzać równość lub nierówność uczuć według rozmaitych postanowień umysłu ludzkiego. Wola jest naszém wahadłem i jéj oscylacye są skrupulatnie zaznaczane w cenie towarów" [3]). Nie mamy wprawdzie jednostki wymiaru przyjemności. Ale jednostka taka potrzebną jest tylko dla wymiaru ilości. Otóż gdy ilości te możemy porównywać bezpo-

---

[1]) Por. „Mechanikę społeczną", „Ateneum", kwiecień 1898 r.

[2]) *„Political Economy"*.

[3]) Jeżeli cena towaru wyraża z jednej strony przyjemność — lub przyciąganie, którą on wywołuje w społeczeństwie w porównaniu z złotem, to z drugiej strony wyraża ona i energie specyficzne, które wydzieliły się i użyte zostały dla wytworzenia tego towaru w porównaniu z energiami, które użyte zostały dla wytworzenia złota. I te energie specyficzne wydzieliły się właśnie pod wpływem tamtej przyjemności. Właściwie mówiąc, jedynym faktem są ceny — i one to służą do wymiaru bądź przyjemności, bądź towarzyszących im energii specyficznych.

średnio, nie potrzebujemy jednostek. „Umysł człowieka jest wagą, która porównywa ilości przyjemności i sędzią najwyższym w téj sprawie. Truizmem jest powiedzenie, iż pośród dwóch przyjemności większa określa czyn, gdyż czyn sam wskazuje, która z przyjemności była większą. Niema przyjemności objektywnych: są one tém, za co umysł je uważa; do tego stopnia, iż nie możemy uczynić wyboru, ani objawić woli, nie wskazując tém samém nadmiaru przyjemności w jakimkolwiek bądź kierunku".

Odsyłamy czytelnika do wykładu naszego ekonomii matematycznéj [1]). Tu zastanowimy się tylko nad zasadniczém jéj twierniem, iż wartość każdego przedmiotu zależy od natężenia przyjemności, którą wzbudza, czyli od natężenia ostatnio zaspokojonéj potrzeby, i wskażemy dlań analogie w świecie przyciągań czysto mechanicznych [2]).

II.

Ogólny wniosek, do którego doszliśmy, jest następujący: życie polega na asymilacyi, czyli przyciąganiu pomiędzy materyą ożywioną i nieożywioną, dążącém do reprodukcyi i trwania — jednostek i gatunków. Przyciąganie to wywiera się za pomocą głodu i miłości, wszystkie objawy duchowe są ich przetworzeniem i częściami składowemi.

Z drugiéj strony najogólniejszym rysem życia, towarzyszącym przyciąganiu jest drażliwość, przyjemność. Z przyjemności, czyli drażliwości protoplazmy pierwotnéj rozwinęły się wszystkie energie specyalne organów jednostek zróżniczkowanych. Dlatego wystarcza mierzyć natężenie przyjemności, by mieć wyraz działania tych energii specyficznych życia. Wszystkie wogóle rzeczy wywierają na nas mniéjsze lub większe przyciąganie, które wyraża się w tém, iż są dla nas mniéj lub więcéj pożądane. W końcu każdy układ społeczny składa się z pewnéj masy osób i rzeczy, śród których odbywa się wzajemne i wszechstronne przyciąganie.

---

1) „Ateneum", grudzień 1897.

2) W naszych „Równaniach równowagi społecznéj" (Ateneum, kwiecień 1898) wskazaliśmy, jak one wyprowadzone być mogą z równań ogólnych ruchu Lagrange'a i to w zupełności wystarcza. Analogie, które w dalszym ciągu przytaczamy, są tylko ilustracyą i niczem więcej.

Jeżeli magnes danych rozmiarów przyciąga pewną masę żelaza, to czyni to z określoną szybkością. Jeżeli masa ta żelaza naraz się zmniejsza, to ona szybciéj do magnesu przyskakuje, jeżeli się zwiększa — to wolniéj. Szybkość ta zmieniać się będzie także wraz z naturą téj masy, jeżeli np. zamiast żelaza podstawimy stal i t. d. W chemii szybkość przyciągań istniejących między różnemi czynnikami zależy téż nietylko od ich masy, ale także od ich właściwości naturalnych (Wurtz). Tak samo w stosunkach ludzkich: gdy udajemy się na obiad, szybkość, z jaką czynić to będziemy, zależy od sutości i smaczności oczekiwanego obiadu t. j. od natężenia żądzy, którą ku niemu czujemy i t. p. Przyjąwszy natężenie żądzy za miarę natężenia przyciągań istniejących między ludźmi i rzeczami, od którego swoją drogą zależy szybkość towarzyszących im ruchów, możemy powiedzieć, iż natężenie żądzy zależy od ilości i jakości osób i rzeczy, śród których przyciągania się wywierają. To natężenie żądzy nazywać będziemy rzadkością, gdyż ta ostatnia zależy i od jakości i od ilości przedmiotów i osób, które wzajemnie na siebie oddziaływają.

Obok pokrewieństwa biologicznego, istniejącego pomiędzy ludźmi, należy także przyjąć istnienie pokrewieństwa chemiczno-biologicznego pomiędzy ludźmi a rzeczami. Przyciąganie między ludźmi zależy od ich natury, od rasy. Rasa *A* i rasa *B* mogą silniéj się przyciągać, szybciéj ku sobie dążyć i mieć większe względem siebie natężenie żądzy, niż rasa *A* i rasa *C*. Istnieją więc współczynniki przyciągań różne dla stosunków pomiędzy różnemi rasami. Ale między dwiema danemi rasami natężenie przyciągań zależy także od ich masy. Jak w przykładzie powyższym magnes tém silniéj przyciągał żelazo, im ono stawało się mniejszém w swéj masie, tak samo jedna płeć tém silniéj przyciągać będzie drugą, im ta ostatnia mniéj posiada przedstawicieli. Toż samo powiedziéć można o przyciąganiu pomiędzy ludźmi a rzeczami: zależy ono nietylko od natury saméj tych ludzi i rzeczy—pod tym względem istnieją różne współczynniki dla przyciągań poszczególnych, istniejących między każdą rasą, a każdą rzeczą [1],

---

[1]) Tak samo w chemii istnieją dla każdej reakcyi współczynniki pokrewieństwa chemicznego. Oto co czytamy pod tym względem u Goldberga i Waagego: „gdy czynniki *A* i *B* łączą się chemicznie w nowy związek *AB*, to on może być uważany, jako wytworzony przez przyciąganie pomiędzy A : B... Przy danej temperaturze siła ta może być uważana za stałą (oznaczamy jej wielkość przez K), którą nazywamy współczynnikiem pokrewieństwa dla danej reakcyi". „Przy zwykłej substytucyi, której forma jest $AB + C = AC + B$, produkcya *AC* wywołana

ale także od ilości stosunkowéj tych ludzi i rzeczy. Im ilość danéj rzeczy jest mniejsza, czyli im większa jéj rzadkość, tém większém się staje natężenie żądzy względem niéj.

Zauważmy, iż niektóry rasy ludzkie lub niektóre rzeczy mogą wzbudzać w nas nie pociąg, lecz i owszem wstręt — to jednak nic nie znaczy. Jak ciepło i zimno nie są rzeczami różnemi, lecz tylko dwoma stanami téj saméj energii, które można oznaczać przez plus i minus, przyjąwszy punkt konwencyonalny za zero, tak samo przyciąganie i odpychanie są dwoma przejawami téj saméj siły, ciążenia powszechnego, można oznaczyć jedno przez plus, drugie przez minus i potém dodawać je do siebie lub odejmować, jako rzeczy jednorodne. W dalszym ciągu wciąż mówić będziemy tylko o przyciąganiu, ale można to roztoczyć i na odpychanie.

Jak magnes przyciąga wolniéj większą masę żelaza, niż małą, tak samo natężenie żądzy ku pewnym ludziom, lub rzeczom wzrasta w nas w miarę tego, jak ilość ich się zmniejsza, i słabnie w miarę tego, jak ilość ta się zwiększa. Natężenie żądzy jest, jak rzekliśmy, tylko subjektywnym wyrazem szybkości ruchu, który mamy wykonać dla zbliżenia się do tych osób lub rzeczy. Im większą się staje powyższa masa żelaza, tém wolniéj magnes przyciągać ją będzie, ruch żelaza się zwalnia w miarę wzrostu jego masy, wreszcie ono pozostaje nieruchomém na miejscu, gdy jego masa staje się nadzwyczaj wielką. Szybkość ruchu staje się równą zeru, gdy masa żelaza przewyższa energię przyciągania. Tak samo, w miarę tego jak ilość danego przedmiotu wzrastu, natężenie naszéj żądzy opada względem niego, a gdy ilość ta przewyższa wszelką potrzebę, natężenie żądzy i szybkość naszego ruchu ku temu przedmiotowi znikają, t. j. stanowią się równe zeru. Powietrze, gdy istnieje w ilości przewyższającéj wszelkie potrzeby, nie wzbudza w nas żadnéj żądzy, nie czynimy żadnego wysiłku dla zdobycia go. Ale niech tylko ilość powietrza — np. w piwnicy, gdzie się znajdujemy—zacznie się zmniejszać, a natężenie naszéj żądzy względem niego rośnie,

---

jest przez przyciąganie pomiędzy *A* : *C*" — większe niż pomiędzy *A* i *B*. I tu więc istnieje pewien współczynnik pokrewieństwa.

Otóż z punktu widzenia ekonomii matematycznej człowiek zamieniający jedno dobro na drugie dokonywa operacyi, która jest analogiczną zwykłej substytucyi chemicznej. Osoba *A* mająca wino *B* przedstawia związek chwilowy formy *AB*, jeżeli zaś zamienia wino *B* na alkohol *C*, to przedstawia nowy związek psychologiczny *AC*, to jest *B* jest wówczas mniej przez *A* przyciągane niż *C*. I tu więc istnieją dla każdej reakcyi współczynniki pokrewieństwa.

i szybko dążyć będziemy do miejsc, gdzie znaléźć go możemy, albo téż pracować będziemy dla jego sprowadzenia. [1]).

Możemy więc ostatecznie przedstawić sobie każdy 'układ społeczny, jako zbiór osób i rzeczy, podległych wzajemnemu i wszechstronnemu ciążeniu. Przyciąganie między ludźmi z jednéj strony, a między ludźmi i rzeczami z drugiéj zależy od ilości i jakości tych ludzi i od ilości i jakości tych rzeczy. Każda zmiana zachodząca w przyciąganiach między kilkoma punktami układu odbija się natychmiast na zmianie wszelkich innych przeciągań, zachodzących w całym układzie. Poglądy nasze na ludzi i rzeczy są tylko wyrazem pewnego systemu przyciągań istniejących pomiędzy tymi ludźmi, a rzeczami. Widzimy zarazem, iż wartość każdego człowieka i każdéj rzeczy nie jest czémś bezwzględném, lecz zależy od całego systemu przyciągań, do którego człowiek ten lub rzecz należą.

Nauka społeczna sprowadza się w ten sposób do badania przyciągań istniejących pomiędzy ludźmi każdego układu z jednéj strony, a pomiędzy ludźmi i rzeczami z drugiéj. Należałoby określić przyciąganie wzajemne mas ożywionych i nieożywionych i warunki, przy których równowaga tych przyciągań się ustanawia, a mielibyśmy objaśnienie wszystkich poglądów, pojęć, smaków i myśli ludzkich. Społeczeństwo jest więc dla nas systemem układów materyalnych, ale każdy tego rodzaju system dąży do równowagi. Należałoby więc badać każdorazową równowagę materyi społecznéj, by mieć objaśnienie wszystkich objawów psychicznych i społecznych. Można przy tém postępować dwojako: bądź mierzyć bez-

---

[1]) Przykład ten doskonale nam uprzytamnia, dlaczego zamiast mierzyć wszelkie energie specyficzne, możemy się zadowolić w mechanice społecznej mierzeniem najogólniejszego ich wyrazu, natężenia przyjemności, czyli potrzeby Prof. Edgeworth słusznie przedstawia człowieka, jako maszynę piekielną, gotową każdej chwili wybuchnąć, pod naciskiem delikatnej sprężynki, którą jest przyjemność. Istotnie żywa materya odznacza się potężną nieraz wybuchowością— materya ta jest zbiornikiem wielkich zapasów energii potencyalnej. Trzeba jednak podniety — przyjemności — by ta energia zamieniła się na energię czynną. Wyładowanie, wyzwolenie to energii odbywa się we wszelkiej pracy mięśniowej lub nerwowej, ale ponieważ ono nie może się odbyć bez uprzedniej podniety w poczuciu przyjemności, więc chwilowo zadowolić się możemy badaniem tej ostatniej, gdyż od niej zależą prace wszelkich energii specyficznych organizmu. Ale oczywista rzecz, iż mierząc za pomocą ceny dóbr materyalnych i niemateryalnych natężenie odpowiadających im potrzeb jednostkowych i społecznych, jak to czyni ekonomia polityczno-matematyczna, mierzymy jednocześnie energie specyficzne, które się wyładowują dzięki działaniu tych podnieceń, potrzeb,—tak właśnie postępować będziemy w dalszym ciągu.

pośrednio przyciągania istniejące między masami, bądź też ilości energii, które przy tém się wydzielają. Obiedwie te metody są także używane przy badaniu równowag chemicznych: Guldberg i Waage mierzą przyciąganie mas, natomiast inni—ilości energii (ciepła), które się wydzielają przy zmianach zachodzących w tych przyciąganiach i które są pośrednią dla nich miarą.

Mechanika społeczna może używać tylko téj ostatniéj metody. Dla tego też przyklady powyższe — gdzie mówiliśmy o przyciąganiu mas społecznych, mają w naszych własnych oczach tylko znaczenie nieścisłéj ilustracyi. Przytoczyliśmy je jedynie dla jaśniejszego wykładu i dla zachowania analogii z postępowaniem Guldberga i Waagego [1]) w chemii, która zdaniem naszém, jest dziedziną najpokrewniejszą w swych procesach z socyologią. Być może, iż mechanika potrafi kiedyś wyprowadzić równowagę społeczną wprost z prawa przyciągania pomiędzy masami ożywionemi i nieożywionemi. Niestety, metoda ta jest obecnie jeszcze na nic nieprzydatna. Szczęściem zamiast mierzyć akcyę mas, możemy mierzyć akcyę energii, co na jedno wychodzi, gdyż każdemu obiegowi materyi odpowiada obieg energii, w danym razie — biologicznéj, gdyż wszelkie inne muszą w niéj znaleźć wyraz, by mieć wartość społeczną. Pozostawiając więc w dalszym ciągu w zupełności na uboczu przyciąganie mas, nad którém tu zastanawialiśmy się tylko ze względów metodycznych. już mówić będziemy tylko o akcyi energii biologicznéj — co w zupełności odpowiada postępowaniu J. Thompsona i Chruszczowa[2]) przy badaniu równowag chemicznych, tylko jeżeli oni mierzą energię chemiczną za pomocą ciepła, które przy reakcyach się wydziela, to my mierzyć będziemy energię biologiczno-społeczną we wszystkich jéj formach, za pomocą energii biologicznéj, która się wyzwala przy produkcyi złota i w nie się wciela. Być może, iż kiedyś i energie biologiczne znajdą swój wyraz w energii termicznéj, ale to—jak to daléj zobaczymy — nie jest tymczasowo koniecznem.

Po wszystkich wyjaśnieniach powyższych zrozumieć możemy, na czém polega równość między ceną rynkową towarów, a kosztami produkcyi, czyli, jak chce Ricardo, pracą niezbędną dla ich wytworzenia. Cena rynkowa zależy od stosunku między popytem, a po-

---

[1]) Guldberg et Waage: „Etudes sur les forces de l'affinité chimique" (1867).

[2]) Dla teoryi równowag chemicznych por. Chroustchoff: „Introduction à l'étude des équilibres chemiques". Paris, 1897.

dażą, które oczywiście kierowane są jedynie poczuciem użyteczności, czyli przyjemności. Przyjemność podniecona na rynku obietnicą zysku wywołuje ruch wszystkich organów ciała, pobudza specyficzne ich energie, które wykonywują wszystkie czynności stanowiące produkcyę. Ale to wyładowanie energii biologicznéj automatycznie zatrzymuje się w chwili, gdy cała przyjemność otrzymana pierwotnie podnietą (np. w zapłacie za towar mający być wyprodukowany, lub w obietnicy zapłaty, w cenie rynkowéj), zostanie zrównoważona wydatkiem energii biologicznych specyficznych wyładowanych w produkcyi. Powiadamy automatycznie, albowiem, jak energetyka biologiczna nam pokazuje, jeżeli podniecenie pobudza organy do działalności, do wyładowania energii, to po niém następuje zwykle reakcya z m ę c z e n i a i bezwładności. Do tego rezultatu prowadzi zwykle każde podrażnienie, wywołujące ruchy żywéj materyi. I zauważyć należy, iż wyczerpanie jest zwykle p r o p o r c y o n a l n e do podniecenia, czyli do przyjemności. Gdy przyczyny wywołujące wyczerpanie, prace wszelkiego rodzaju przeciągają działanie poza granicę ustanowioną przez powyższą proporcyonalność, rozpoczyna się uczucie bólu. W ten sposób materya ożywiona automatycznie dąży do tego, by wydatki energii, w zmęczeniu, nie przekraczały przychodów energii w podnieceniu, w przyjemności. Ta ostatnia gra rolę siły czynnéj, tamto zaś bezwładności. Stąd właśnie pochodzi równowaga, ustanawiająca się zwykle pomiędzy ceną rynkową towaru, zależną od popytu i podaży, a kosztami wytwarzania, czyli wydatkami energii specyficznych.

Oto czemu w cenach dóbr, czy uważać je będziemy wraz z Jevonsem za stosunek przyjemności, czy téż wraz Ricardo za stosunek prac, co w końcu na jedno wychodzi, mamy, właściwie mówiąc, stopy transformacyi energii biologicznéj. Tylko energetyka pozwala nam w ten sposób spoglądać na ceny i widzieć w tych danych liczbowych wskazówki tegoż charakteru, jakie termochemia odnajduje tylko w swych poszukiwaniach nad przekształceniem energii fizycznéj. Ustanowienie stóp przekształceń energii, czyli cen dóbr materyalnych, nie przedstawia trudności [1]). Zastanowimy się

---

[1]) Por. nasz „System ekonomii matematycznej". „Ateneum", grudzień, 1897. Jak z tego wykładu widzieć można, zależność między ceną rynkową a kosztami wytwarzania jest równością tylko w idealnym stanie równowagi. Cena bieżąca jest zawsze zależną i od popytu i podaży i od kosztów wytwarzania (w pieniądzach, lub energii). Jeżeli energię potencyalną układu, zależną od przyciągań materyalnych zachodzących w nim i znajdującą wyraz w poczuciu

więc głównie nad cenami dóbr niemateryalnych. Jak rzekliśmy, opierać się przy tém będziemy na zasadach ekonomii politycznéj czystéj. Punkt jéj wyjścia, iż natężenie przyjemności spada wraz z ilością dobra spożytego, który powyżéj staraliśmy się ilustrować faktami zaczerpniętemi z przyciągania magnetycznego, ma raczéj swe oparcie w dopiéro co wspomnianém prawie następstwa po sobie dwu już wrażeń: podniecenia i zmęczenia. Istotnie, jeżeli o bezpośredniém ciążeniu biologiczném doświadczalnie nic prawie jeszcze nie wiemy — ciążeniu istniejącém niewątpliwie, gdyż tylko ono zapewnia reprodukcyę jednostek i gatunków — to o towarzyszących mu przemianach energii biologicznéj mamy już, dzięki psychofizyce, dość dokładne, doświadczalnie stwierdzone pojęcie. Mamy tu mianowicie na myśli prawo Fechnera.

A mianowicie Weber i Fechner dowiedli doświadczalnie, iż natężenie wrażenia (między innemi przyjemności) wzrasta nie proporcyonalnie do natężenia bodźca, który je wywołuje, lecz wolniéj. Pobudka musi mianowicie rosnąć w swém natężeniu według progresyi geometrycznéj, by wrażenie rosło w postępie arytmetycznym. Delboeuf objaśnia to prawo znaną nam już przyczyną: każda mianowicie pobudka wywołuje skutek podwójny, nietylko wrażenie ale jednocześnie i wyczerpanie, a to ostatnie zmniejsza tamte. Przy następném działaniu pobudki, równém poprzedniemu, uderza ona w inną, że tak powiemy, osobę, o zmniejszonéj wrażliwości [1]). Samo zaś następstwo zmęczenia po wrażeniu jest tylko, jak widzieliśmy zastosowaniem prawa równości akcyi i reakcyi do objawów biologicznych. Stąd należy wyprowadzić zależność pomiędzy ilością dobra spożytego, a natężeniem przyjemności, które spada, w miarę, jak ta ilość rośnie. To Gossen pierwszy w r. 1854 zbudował krzywą wyrażającą tę zależność: zmniejszającéj się przyjemności w miarę jak ilość spożytego dobra się zwiększa. W ten sposób punkt

przyjemności. w popycie i podaży danego towaru nazwiemy V, a energię kinetyczną, wydatkowaną w produkcyi tego towaru T, to pomiędzy T i V a ceną bieżącą towaru istnieje pewna złożona zależność, przypominającą t. zw. funkcyę Lagrange'a $L = T - V$, z którą właśnie operują termochemicy i która i dla mechaniki społecznéj zdobędzie prawdopodobnie pierwszorzędne znaczenie. Tymczasowo jednak niema potrzeby zastanawiać się nad tą stroną kwestyi.

[1]) Delboeuf: Etude psychophysique p. 27 et suiv. Autor ustanawia formułę znużenia czyli wyczerpania w sposób następujący: przedstawiając przez d pobudkę i przez m masę wrażliwości (masse de sensibilité diepromble) otrzymuje:

$$f = K \log. \frac{m}{m - d.}$$

wyjścia ekonomii matematycznéj jest niczém innémi, jak zastosowaniem zasadniczego prawa mechaniki o równości akcyi i reakcyi do energii biologicznéj. Jeżeli więc, wychodząc z działania mas, mogliśmy dać ekonomii politycznéj a pośrednio i mechanice społecznéj tylko ilustracyę hypotetyczną, to wychodząc z obiegu energii, dajemy im podstawę ściśle naukową. Przypomnijmy obecnie, iż według określeń ekonomii matematycznéj dobrem ekonomiczném jest wszelka rzecz i wszelka usługa materyalna lub niemateryalna, istniejąca w ilości nie przewyższającéj potrzeby i pożądana. Pod to określenie dóbr wchodzą oczywiście nietylko wszelkie produkty naturalne i sztuczne, ale oczywiście także wszelkie instytucye społeczne, jak państwo, prawo, moralność, sztuka i t. d., i odpowiadające im stany duchowe. Wszelkie zaś dobra bez wyjątku mają cenę, wyrażalną w złocie i która ustanawia się według praw kierujących równowagą ekonomiczną, o których w swoim czasie obszernie na tém miejscu traktowaliśmy. Większość ekonomistów matematyków, przyznając w zasadzie, iż dobra niemateryalne mają cenę narówni z materyalnemi, zajmowali się jednak przeważnie ostatniemi, a to dla braku danych statystycznych, dotyczących pierwszego rodzaju dóbr. W dalszym ciągu pokażemy, jak tego rodzaju dane pośrednio przynajmniéj zebrane być mogą, tu zaś jeszcze raz powtórzymy uwagę, którą wyraziliśmy już kilkakrotnie: cena, t. j. porównanie ilościowe pewnéj materyi z inną, przyjętą za jednostkę wymiaru, jest tylko wyrazem pewnego ciążenia materyi ożywionéj i nieożywionéj, ponieważ jednak, jak to powyżéj widzieliśmy, wymierzać bezpośrednio ciążenia mas społecznych jeszcze nie umiemy, więc poprzestać musimy, na wymiarze energii, które przy ruchu tych mas się objawiają, t. j. porównywamy bądź użyteczność danego dobra materyalnego lub niemateryalnego dla społeczeństwa z użytecznością dlań złota, bądź téż energie specyficzne (prace), które przy wytworzeniu tych dóbr i złota, pod wpływem podniety, użyteczności podmiotowéj [1]), czyli przyjemności, się wyzwoliły automatycznie z organizmów i w dobra te wcieliły.

---

[1]) Różnica między użytecznością podmiotową i przedmiotową jest zresztą czysto formalna: użyteczność jest zawsze pewnem przyciąganiem wywierającem się bądź między jednostkami lub jednostkami a rzeczami, bądź między grupami społecznemi lub grupami a rzeczami—i trwającem dłuższy lub krótszy czas. Im większą ilość jednostek i rzeczy przyciąganie to obejmuje i im dłuższy czas trwa, tem bardziej nabiera charakteru przedmiotowego, rasowego, przyciągania nierozległe i niedługotrwałe mają charakter podmiotowych przyjemności.

Możemy zaś porównywać dobra niemateryalne, jak męztwo i t. p., z materyalnemi, jak złoto, dlatego, iż z punktu widzenia energetyki charakter materyalny dóbr zanika: przedstawiają one narówni z niemateryalnemi tylko pewną ilość energii biologicznéj, czyli użyteczności. Te uwagi pokazują, w jaki sposób ekonomia czysta wiąże się z mechaniką. Głód i miłość są wyrazem przyciągania istniejącego pomiędzy materyą ożywioną i nieożywioną. Przyjaźń, moralność, prawo, piękno, inteligencya i t. d. wchodzą jako części składowe w głód i miłość, służą za środki reprodukcyi osobniczéj i gatunkowéj i wymagają wydatków energii, które mogą być obliczone.

Przyciąganie materyi ożywionéj i nieożywionéj odbywa się zwykle masowo, z podziałem pracy, w ten sposób wytwarzają się prądy wspólne energii, których kierunku i celu oddzielna jednostka już spostrzedz nie może i któremi ślepo jest porwana. Tak, że niejeden człowiek życie całe poświęca jakiemuś celowi idealnemu, dążąc ku dobru lub sprawiedliwości, i spogląda z pogardą na materyę, a nie wie wcale, iż był tylko punktem masy, masa zaś ta przyciągała materyę w celach swéj reprodukcyi i dla ich dopięcia musi wydawać określoną ilość energii na moralność lub sprawiedliwość, które on wraz z innymi specyalistami reprezentował.

Ponieważ rozpatrujemy jednostkę i społeczeństwo, jako rodzaje baterył, w których odbywa się przemiana sił, to ceny ekonomiczne dóbr materyalnych i niemateryalnych są dla nas tylko stopami przekształcenia różnych energii biologicznych. Jeżeli koń kosztuje 200 fr., to znaczy, iż społeczeństwo musi wydać tyleż swéj energii na hodowlę konia, co na wydobycie z ziemi kawałka złota reprezentującego 200 fr. A jeżeli w niektórych miejscowościach Afryki człowiek sprzedawany jest za 1000 fr., gdy koń np. kosztuje tylko 200, o znaczy, iż tamtejszym społeczeństwom wychowanie człowieka kosztuje 5 razy więcéj wydatków w energii, co wychowanie konia. Kupując konia, płacimy za wszystkie jego właściwości fizyczne i duchowe, za chyżość, zgrabność, wytrzymałość i t. d.

Wszystkie te właściwości mają oczywiście swą cenę. Bo gdyby dany koń stracił naraz jedną ze swych właściwości, odrazu cena jego by spadła. Praktyka plantatorska, szeroko uprawiana w Stanach Zjednoczonych w pierwszéj połowie naszego stulecia i dotychczas — w niektórych miejscowościach Afryki, przekonywa nas o tém samém w zastosowaniu do niewolników. Tam, gdzie niewola prawnie zniesioną została, bezpośrednich danych o wartości „kapitałów osobowych" mieć nie możemy, ale nauka ma sposoby pośre-

dniego jéj obliczania. Walras [1]) bardzo słusznie dowodzi, iż mając dochód roczny człowieka i stopę procentową panującą w danym kraju, z łatwością obliczyć możemy jego wartość, jako kapitału, według formuły:

$P = \frac{p.\,100}{i.}$ (gdzie P jest wartością pieniężną człowieka, p jego dochodem, i stopą procentową).

Kapitały osobiste są najważniejszą częścią bogactwa narodowego; w ich wartość wchodzą oczywiście, jako części składowe, wartości wszystkich cech umysłowych, moralnych i t. d. jednostek i społeczeństw, które przy dostatecznéj ilości danych statystycznych dokładnie obliczone być mogą. Statystyka ta jest nawet zdaniem naszém najważniejszą częścią mechaniki społecznéj stosowanéj. Dotychczas mechanika społeczna znajduje się w fazie mechaniki czystéj, — tylko statystyka cen dóbr materyalnych i niemateryalnych pozwoli nam wprowadzić w tę dziedzinę metody ilościowe numeryczne i da nam prawdziwą naukę społeczną, opartą na mierze. Dotychczasowa socyologia, o ile się opiera na opisach, których tak nadużywano, należy raczéj do literatury naturalistycznéj, w rodzaju romansów Zoli, socyologia zaś biologiczna oparta jest na analogiach i metaforach, które z konieczności żadnych sprawdzianów nie posiadają. Tylko mechanika społeczna może wprowadzić do socyologii metody ilościowe. Materyałów istnieje pod dostatkiem i dziwna rzecz, nikt dotychczas żadnego jeszcze prawie z nich użytku nie uczynił. A w tych właśnie materyałach znajdują się środki pośrednie mierzenia energii biologicznéj i stóp jéj transformacyi z jednego kształtu w drugi. Mając ogólną teoryę mechaniki społecznéj racyonalnéj, operującéj energią biologiczną, wziętą *in abstracto*, dane, o których mowa, pozwolą nam przeniknąć w najbardziéj ukryte tajniki społeczeństwa, mierzyć skalę działania różnych wpływów i przedsięwziąć działalność praktyczną, opartą na podstawach ścisłych, bo na zasadach przekształcenia sił, dokładnie zmierzonych.

Główne punkty téj statystyki, do któréj jaknajrychléj zabrać się należy — są następujące:

---

[1]) Walras: „Elements d'économie politique". O wartości pieniężnej „kapitałów osobowych" por. także Pareto: „Cours d'économie pelitique" vol. I. Zauważmy nareszcie, iż znakomity statystyk niemiecki, Engel, na zasadzie nader skrzętnie zebranych i wiarogodnych danych oblicza cenę średnią mężczyzny i kobiety w różnych zawodach

1) Mając dokładną statystykę zarobków i dochodów, obliczyć należy metodą wskazaną wartość kapitałów osobowych. Na wytworzenie tych kapitałów społeczeństwo łoży wszelkie wydatki, ekonomiczne, prawne, polityczne, estetyczne, umysłowe i t. d. Hodowca koni w cenie tych ostatnich musi otrzymać zwrot wszelkich wydatków łożonych bądź na pokarm, zabudowania, ich czyszczenie i wogóle pracę koło nich, tak i na ich wychowanie, wyćwiczenie i obdarzenie wszelkiemi właściwościami, które konie danéj rasy posiadać powinny i które ze zwykłym nakładem wydatków wytworzyć można. Niektóre z tych wydatków są długoterminowe i służą dla wyhodowania całego szeregu pokoleń, przyczém każde zwraca w swéj cenie część odnośną zużycia kapitałów i narzędzi rzeczowych, tak np. zabudowania mogące trwać dziesiątki lat i t. p., inne wydatki są jednorazowe i w cenie każdego pokolenia naraz zwrócone zostają [1].

Zupełnie tak samo w społeczeństwie: wszelkie dobra materyalne, służące do jednokrotnego (towary) lub wielokrotnego użytku (kapitały właściwe: fabryki, maszyny i t. d.) wchodzą tylko jako części składowe w koszta wytwarzania rasy i w jéj cenie zwrócone być muszą bądź przy każdém pokoleniu, bądź w całym szeregu pokoleń. (Tu widzimy mimochodem, że dobra materyalne samodzielnego znaczenia nie posiadają i że wartość ich zależy od stosunku, w jakim się znajdują względem energii biologicznéj rasy. Nie należy więc ich stawiać narówni z kapitałami osobowemi, ale w stosunku kosztów wytwarzania względem nich).

Toż samo oczywiście powiedziane być może o wszelkich dobrach niematerыalnych, i one mają ceny, które zwrócić się muszą jednorazowo lub w szeregu pokoleń w cenie kapitałów osobowych. Jeżeli człowiek, jako całość, ma cenę ekonomiczną, wymierzalną złotem, to i poszczególne jego przymioty, męztwo, szlachetność, uczci-

---

[1]) Ten przykład doskonale wyjaśnia całość naszych poglądów na rozwój społeczny: rasa jest jedynem źródłem (potencyałem) energii społecznej, która przybiera częściowo formy instytucyi, stanów świadomości, prac i bogactw materyalnych — wszystkie one dążą jednak wciąż do odtworzenia jednostek i ras i mogą być rozpatrywane jako koszta ich wytwarzania, długo lub krótko-terminowe. Wartość (subjektywna i objektywna) wszystkich tych bogactw materyalnych i niematerыalnych zależy od stopnia, w jakim przyczyniają się do odtworzenia jednostek i ras. Naturalnie obok tego najogólniejszego poglądu na potencyał społeczny, nic nie przeszkadza, byśmy dla powodów czysto logicznych wprowadzali podział na energię potencyalną i kinetyczną w specyalnych dziedzinach. Tak każdy kapitał nagromadzony może być rozpatrywany, jako potencyał. Do kwestyi téj jeszcze powrócimy

wość, nie mówiąc już o właściwościach umysłowych, — co jest z praktyki oczywiste, — mają także cenę wymierzalną. Jeżeli całe społeczeństwo, jako zbiór kapitałów osobowych, ma cenę, to i wszystkie jego instytucye, służące do wytworzenia wszystkich właściwości, wychowaniem, ukształceniem i t. d. także oczywiście mają ceny.

Wiemy już jak określać cenę kapitałów osobowych, co się zaś tyczy tych części składowych, których suma cen musi być równą wartości tamtych, to dla ich określenia mamy dane następujące:

2) naprzód statystykę cen dóbr materyalnych, już ułożoną w sposób dość dokładny,

3) następnie statystykę cen dóbr niemateryalnych, którą otrzymać można wychodząc z danych i zasad następujących:

a) należy obliczyć ile kosztuje średnio wychowanie człowieka w każdym z zawodów, muzykanta, malarza, szewca, medyka i t. d. Danych pod tym względem napewno nie zbraknie. Wychowanie może być rozpatrywane, jako jedna z form produkcyi kapitałów osobowych, które w ten sposób doprowadzone zostają do zupełnéj gotowości. Można w ten sposób zbadać nietylko, ile kosztuje ogólne wychowanie człowieka, ale także jaki koszt w ogólnéj sumie wydatków zajmują różne ćwiczenia, przyzwyczajenia i nauki odrębne. Składając w ten sposób sumy wydawane przez społeczeństwo na nauki, zawody, sztuki i obyczaje, w wychowaniu prywatném, dodając do tego wydatki łożone w odnośnych gałęziach produkcyi, (książki, instrumenty etc.), a także wydawane przez państwo i notowane w budżetach, możemy otrzymać dokładne pojęcie o rozmiarach energii łożonych przez społeczeństwo na zaspokojenie potrzeb duchowych. Jak rzekliśmy, Engel oblicza wartość średnią człowieka. Bliższa statystyka zawodowa, prowadzona w sposób powyżéj wskazany, pozwoli obliczyć, jaką część w téj wartości ogólnéj człowieka zajmuje jego moralność, jego ukształcenie ogólne, fachowe i nawet odrębne właściwości i cechy. Można bardzo dobrze już postawić sobie kwestyę, ile kosztuje społeczeństwo wytworzenie uczciwego człowieka wogóle, lub fachowca danego zawodu. [1]). Wprawdzie nie z każdego dziecka można zrobić wychowaniem uczciwego człowieka, ale także nie z każdego jajka można wywieść kurę. W jednym i drugim wypadku istnieją straty konieczne i nie do uni-

---

[1]) Statystyka ubezpieczeń życiowych udzieli pod tym względem nader ważnych materyałów.

knienia straty, które zresztą, ponieważ chodzi tu o masy, wchodzą, jak zwykle, w koszt średni produkcyi egzemplarzy udatnych.

Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż w ten sposób można otrzymać średnie ceny, równe kosztom wytwarzania różnych osób, a przynajmniéj klas, i różnych, ich właściwości, duchowyc , moralnych, umysłowych, estetycznych i t. d. Wprawdzie nie może tu być mowy o jednostajności tych cen — nie może być mowy o jednakowéj wartości pieniężnéj wszystkich medyków, chociażby dla tego, że jedni zarabiają bardzo wiele, drudzy bardzo mało, ale wszystkie te wahania krążą koło pewnéj średniéj, która się ustanawia w taksie medycznéj, przyjętéj przez państwo, tam gdzie ona istnieje, w zależności naturalnie od warunków popytu i podaży. Istnieje więc także i średnia wartość każdego zawodowca, pomimo wahań indywidualnych, często dość znacznych. Ale toż samo ma miejsce z wszelkiemi innemi produktami. Cena kapeluszy może się wahać np. w granicach pomiędzy 2 fr. i 20 fr., ale, oczywista rzecz, istnieje pewna cena średnia. np. 15 fr., która pomnożona przez ogólną ilość kapeluszy wyprodukowanych, niezależnie od ich gatunku, daje sumę równą téj, jaką otrzymujemy, wychodząc z realnych cen wszystkich gatunków istotnie wyprodukowanych, cen pomnożonych przez ilość egzemplarzy każdego gatunku. Taką samą cenę średnią, wyrażoną w złocie, możemy otrzymać nietylko dla każdego dobra materyalnego i dla każdego zawodowca, ale i dla każdego dobra niemateryalnego, usługi i właściwości duchowych. A czémże te ceny średnie są inném, jak nie stopami przekształcenia energii? Takie tabele cen ściśle zebranych i skontrolowanych pokazywać będą, jaką ilość energii biologicznéj społeczeństwo musi zużywać i przekształcać w różnych kierunkach, by otrzymywać odnośne dobra, czyli objawy zewnętrzne wspólnego wszystkich podścieliska, t. j. energi biologicznéj. Społeczeństwo może, przy zachowaniu naturalnie niezbędnych warunków, przekształcać jedno dobro na drugie, w stosunku wskazanym przez ceny. Złoto służy tylko za miarę tych przekształceń, które dotyczą energii biologicznéj. Złoto jest właśnie miarą energii biologiczno-społecznéj, jedyną dokładną, jaką dotychczas posiadamy. Proszę zauważyć, iż ono jéj nie tworzy, ani nie stanowi, lecz tylko służy do jéj wymiaru [1]). Tabele cen czyli

---

[1]) Jeżeli złotem możemy, w celach naukowych, wymierzać właściwości niematerыalne człowieka, np. męztwo, to bynajmniej z tego nie wynika, by można było te właściwości za pomocą złota zawsze wytwarzać: tak łokieć służy do wymiaru jedwabiu, ale łokcia drewnianego nikt jedwabiu nie zrobi.

stóp przekształceń energii biologicznéj zrobią z mechaniki społecznéj naukę ścisłą i ilościową. Oprócz danych wyżéj wskazanych, które są najważniejsze, można korzystać z mnóstwa innych, które dadzą cenne wskazówki i pozwolą pośrednio kontrolować ceny powyższemi metodami znalezione. A mianowicie:

b) wszelkie instytucye społeczne są to kapitały niemateryalne, których wartość społeczna mierzy się wartością pieniężną energii wydawanych na ich utrzymanie. Takiemi kapitałami są np. instytucye prawne. Energie wydawane na utrzymanie tych kapitałów mierzą się po części karami pieniężnemi i po części pensyami sędziów i wogóle administracyi prawnéj, których społeczeństwo opłaca dlatego, iż są użyteczni, i w miarę téj użyteczności, która swoją drogą zależy od energii specyficznych, rozwijanych przez odnośne organy w ogólnéj ekonomii społecznéj [1]), po części wartością pieniężną strat poniesionych przez poszkodowanych, po części wartością pieniężną czasu odsiedzianego przez przestępców w więzieniu i kosztami utrzymania więzień i t. d. Kapitały prawne społeczeństwo od wieków tworzy i nagromadza, i one każdéj chwili muszą być użyteczne, bo co nie jest użyteczne, to zanika. A użyteczność każdego organu mierzy się w warunkach normalnych ilością energii, które społeczeństwo wydaje na jego utrzymanie bez względu na jego przeszłość [2]).

W tém właśnie zawiera się słabość biologicznéj szkoły w socyologii, iż nazbyt wiele przypisuje wagi dziejom ewolucyjnym, opisowo pojętym, każdego organu, gdy w mechanice przeszłość nie ma takiego znaczenia [2]) i należy raczéj zwrócić się do energii rozwijanéj w chwili obecnéj przez dany organ w porównaniu z innemi organami. A pod tym względem tylko dane statystyczne powyżéj wskazane mogą nam stanowić grunt naukowy trwały. Ważnych wskazówek w kwestyi wartości kapitałów prawnych mogą dostarczyć kary pieniężne (grzywny). Istotnie społeczeństwo wydaje na utrzymanie pewnego dobra niemateryalnego, prawa, uznanego za użyteczne, pewną sumę. Przestępca narusza to dobro i płacąc karę, w wypadkach gdy to jest wymaganém, zwraca odszkodowanie, ja-

---

[1]) Do tego należy dodać wartość pieniężną osób wygnanych i straconych, wartość strat poniesionych przez osoby wychodzące z więzienia przez wykolejenie i utratę położenia i szacunku i t. d. i t. d. Nie sposób nam wyliczyć wszystkich pozycyi prawnych, które poddane być mogą przybliżonéj ocenie pieniężnej.

[2]) W myśl prawa, iż energia układu jest niezależną od przemian, przez które układ przechodził, zanim doszedł do danéj swéj postaci.

kie w danym wypadku, stosownie do stopnia naruszenia istniejącego dobra prawnego przypada i jakie przez praktykę oznaczoném zostało za równoznaczne z niém. Wprawdzie nie wszystkie przestępstwa mogą być opłacone karą pieniężną, ale te kary, co przez kodeks są uznane, mogą służyć za wskazówkę dla oceny pieniężnéj pozostałych przestępstw [1]); jeżeli przekształcenie energii prawnéj na ekonomiczną w pewnym punkcie się nie odbywa w danéj chwili, to nie dowód, iż nie może się ono wogóle odbywać, — zwłaszcza iż wiele przestępstw, dla których obecnie okup nie istnieje, w przeszłych kodeksach miały swą cenę i ceny te mogą także służyć za pośrednią wskazówkę dla wymiaru obecnych dóbr niemateryalnych prawnych.

Tak samo moralność jest pewném dobrem niemateryalném pierwszorzędnéj wagi, które ocenione być może według wartości pieniężnéj energii wydawanych przez społeczeństwo na utrzymanie odnośnych instytucyi, organów i osób. Jak powyżéj przy instytucyach prawnych, należy i tu miéć na oku ilość pieniędzy, otrzymywanych przez osoby znajdujące się na ich straży, i odszkodowania społeczne za ich naruszenie. Cenne wskazówki pod tym względem mamy w odszkodowaniach za straty moralne, wyrządzone innym (w t. zw. szkodach i straconych korzyściach), np. czyjéjś sławie, dobremu imieniu [2]) i t. p. Tak np. w Anglii i niektórych innych pań-

---

[1]) Jak statystyka oblicza wartość pieniężną człowieka w Europie (jakkolwiek nikt faktycznie ludzi nie kupuje), tak samo może ona obliczyć wartość pieniężną przestępstw, za które w kodeksie okupu niema. Zresztą, wszak kodeksy już obliczają wartość różnych okaleczeń, poniesionych przez robotników w fabrykach. Tego rodzaju obliczenia mogą być roztoczone na wszelkie poszkodowania materyalne i niemateryalne w dziedzinie prawnej, dla oznaczenia, jaką część energii społecznej ta ostatnia absorbuje

[2]) Imię, reputacya, zupełnie jak firma znana, jest dobrem niemateryalnem, na którego wytworzenie łożyć należy pewną sumę energii, osobniczej i społecznej. Naruszyciel tych dóbr musi zwrócić ich równoważnik pieniężny. Jeżeli zaś kara polega na więzieniu, to cena pieniężna czasu odsiedzianego przez wszystkich naruszycieli moralności w więzieniu, cena obliczana na zasadzie ich zwykłych zarobków — pozwala obliczyć wraz z innemi danemi wartość społeczną instytucyi moralnych. Tu, jak i przy instytucyach prawnych, należy więc brać pod uwagę 1) wartość pieniężną, na jaką jest obliczona strata poszkodowanego, 2) karę pieniężną, opłaconą przez krzywdziciela, bądź równoważnik pieniężny czasu spędzonego przezeń w więzieniu lub na wygnaniu i wartości strat poniesionych przez niego samego w utracie dobrego imienia, co odbije się potem na jego interesach, 3) koszta utrzymania instytucyi moralnych, prawnych, administracyi, więzień i t. d.

stwach strona zrywająca obietnicę zawarcia małżeństwa musi odszkodować stronę przeciwną.

Nadzwyczajnéj wagi w téj dziedzinie nabiéra kwestya — prostytucyi, bo jeżeli z jednéj strony możemy na zasadzie danych statystyki obliczyć w przybliżeniu, ile wydatków poniosło społeczeństwo na wykształcenie wstydliwości, to w cenach opłacanych za prostytucyę mamy sprawdzian tych wydatków. A ważną szczególnie ta dziedzina jest dlatego, iż przy wszelkich innych dobrach niemateryalnych ścisłe zastosowanie praw ekonomicznych, opartych na wolnéj konkurencyi, jest nadzwyczaj trudném, i ceny tu istniejące w formie kar i odszkodowań mają często charakter cen monopolowych, gdy tymczasem w prostytucyi mamy do czynienia z regularnym rynkiem, uznanym przez większość państw, gdzie jest popyt i podaż wstydu i gdzie ogólna mechanika praw ekonomicznych oczywiście działa. Nie wypada z tego, byśmy mieli uznawać prostytucyę, i owszem, należy ją zwalczać. Sądzimy jednak, iż tak samo, jak ona służy za pole badań dla hygienistów lub fizyologów, powinna ona stanowić przedmiot badań objektywnych dla socyologów. Nadzwyczajną także doniosłość dla mechaniki społecznéj, przy obliczeniu energii moralnéj narodów, miałyby ceny głosów wyborczych, wydatki przy wszelkich sprawach zabronionych i podejrzanych, dane o przekupstwach urzędników i sędziów i t. d. Bo jak z jednéj strony mierzymy energię moralną lub prawną narodu pensyami regularnemi urzędników, tak pośrednio na oku ma wskazówki do jéj wymierzania we wszelkich naruszeniach prawa. A wszystkie te kwestye już szczęściem się skrystalizowały w cyfrach i dają materyał do ścisłych obliczań.

Wszystkie te fakty z takiém samém prawem mogą być analizowane przez naukę, bez względu na to, czy są użyteczne, czy szkodliwe, jak chemia analizuje obok pokarmów trucizny — i dodajmy, iż powinny być analizowane w celach moralnych: jako materyał do etyki naukowéj.

Tu także należą posagi, alimenty, ceny zastępstwa w służbie wojskowéj i t. d. — we wszystkich tych wypadkach mamy naruszenie jakiegoś dobra niemateryalnego, moralnego, i odszkodowanie pieniężne, które pozwala wnosić o sile działania odnośnéj energii. Tu także oczywiście należy opinia publiczna, na któréj wyrobienie wydaje się odpowiednia ilość energii, wziętość wyrobiona (medyka, adwokata), klientela (kupca) firma (*raison sociale*) — wszystko to sprzedaje się i kupuje narówni z dobrami materyalnemi i daje wskazówki doskonałe w cenach.

Przy obliczeniu wartości dóbr niemateryalnych należy korzystać oprócz danych z gospodarstwa prywatnego jeszcze z danych z gospodarstwa publicznego, zaznaczonych w budżetach, na wojnę, politykę, prawo, moralność i t. d. i t. d. Tylko dodając według odnośnych rubryk wydatki prywatne i wydatki państwowe na moralność, prawo, estetykę i t. d., otrzymany ścisły wyraz odnośnych energii społecznych [1]).

Streszczając wywód powyższy, powiemy, iż wszystko, co jest pożyteczne, a raczéj pożądane, i istnieje w ilości nie przewyższającéj potrzeby, jest dobrém, i że dobra mogą być materyalne lub nie materyalne, co nie stanowi żadnéj różnicy, gdyż w obydwu wypadkach mamy do czynienia tylko z stanami duchowemi, t. j. z energią biologiczną. Wartość wszelkich dóbr bez wyjątku zależy od ich użyteczności i ilości, inaczéj mówiąc, od natężenia ostatnio zaspokojonéj względem danego dobra potrzeby jednostkowéj, lub społecznéj. Dobra służące raz tylko do użytku są właściwemi dobrami, te, co służą wielokrotnie są kapitałami. Każdorazowe zużycie kapitału materyalnego lub niemateryalnego jest jego usługą. Dobra materyalne, usługi niemateryalne i kapitały obudwu rodzajów mogą być bądź bezpośrednio spożywane przez swych posiadaczy, bądź téż ulegać wymianie. Wymiana odbywa się na zasadzie proporcyonalności usług ostatnio zaspokojonych do cen.

Nie wszystkie dobra materyalne i niemateryalne podlegają wymianie bądź dla tego 1) iż posiadacze ich mają je w ilości nie przewyższającéj ich potrzeby w porównaniu z innemi potrzebami, bądź téż dlatego, iż 2) doświadczenie pokazało, iż użyteczność społeczna wymaga, by pewne dobra nie ulegały wymianie, i wówczas prawo lub opinia publiczna stawia swe *veto* ich sprzedaży. W tym ostatnim wypadku znajduje się wiele dóbr materyalnych, jak lekarstw, trucizn i t. p., których sprzedaż staje się możliwą tylko za specyalném zezwoleniem władz odnośnych, jak lekarzy, i większość dóbr niemateryalnych, jak honor, cnota, godność osobista, które znowu, gdy chodzi o szczęście społeczne, mogą być zawieszone w swym charakterze dóbr niewymienialnych i zdobyć charakter towaru: gdy chodzi np. o szpiegostwo, społeczeństwa uprawniają podkup,

---

[1]) Czem jest prawo lub moralność w istocie swéj, to należy do psychologii, etyki i filozofii prawa, a poczęści i do socyologii opisowéj. Mechanikę społeczną interesuje głównie, z jakim wysiłkiem energii społeczeństwo może odnosne instytucye wytwarzać normalnie.

korrupcyę, kupno i sprzedaż cudzych honorów, cnót i sumień. W pierwszym wypadku znajdują się dobra, które są sprzedawane lub nie (t. j. odnośna energia biologiczna podlega tramformacyi lub nie), zależnie od tego, czy odpowiadająca im potrzeba jest silniéj lub słabiéj zaspokojona od innych potrzeb, tak podupadła szlachta sprzedaje swe stosunki, wpływy, renomę zbogaconym porweniuszom, czego bogata szlachta może jeszcze nie czynić.

Są jednak niewątpliwie dobra niemateryalne, które — należy to przyznać dla „honoru ludzkości“ — u pewnych stanów, klas lub osób nie podlegają sprzedaży. Ale i w takim razie mamy do czynienia z kapitałami potężnemi energii biologicznéj, nagromadzonemi od wieków, których żadne inne dobra istniejące przemódz nie mogą. Ale i w takim razie widzimy w tych dobrach tylko energie wymierzalne społecznie. Otóż miarą wszelkich dóbr, wymienialnych czy niewymienialnych, materyalnych czy duchowych, mogą być pieniądze, o ile dobra te nie są unikatami i o ile przy normalnéj kulturze społecznéj z odpowiednim nakładem wydatków mogły dawniéj lub mogą być wytwarzane. Dobra duchowe niesprzedawalne są po największéj części kapitałami energii biologicznéj nagromadzonemi w jednostkach z wielkim nakładem wydatków, i których społeczeństwo nie ma interesu pozbywać się za mniejszą sumę, zwłaszcza gdy nie ma możności reprodukować tych dóbr z łatwością. Gdzie jednak to może miéć miejsce, tam występują kary, odszkodowania, które wraz z statystyką cen wychowania i hodowli dóbr niemateryalnych pozwalają nam odtworzyć w przybliżeniu ceny samychże kapitałów niemateryalnych.

Tak niewola wszędzie prawie jest już zakazaną i realnie człowiek nie podlega kupnu sprzedaży, to jednak nie przeszkadza, by ekonomia polityczna nie wymierzała wartości człowieka właśnie w złocie. A jeżeli wartość społeczna człowieka całego tak jest wymierzoną, to témbardziéj różnych właściwości człowieka i mas ludzkich, czyli wartość dóbr duchowych. Z tego nie wypada jednak, by dobra te musiały faktycznie podlegać wymianie.

Energia biologiczna jest centralną dźwignią wszystkich ruchów w społeczeństwie, ona to nadaje impuls ruchowi pieniędzy — ale ponieważ nie mamy żadnego innego środka mierzenia tego impulsu, więc mierzymy go pośrednio za pomocą tego ruchu pieniędzy. Kładziemy na ten punkt nacisk, by raz na zawsze się uwolnić od wszelkich nieporozumień i zarzutów nieuzasadnionych. Chodzi nam tylko o możność obliczenia wartości społecznéj wszystkich dóbr za pomocą wspólnéj jednostki miary. Widzieliśmy, na zasadzie jakich

wskazówek można to uczynić. Metoda, któréj w ten sposób używamy dla oznaczenia cen, t. j. równoważników ekonomicznych, dla wszelkich dóbr materyalnych lub niemateryalnych (t. j. dla wszelkich rodzajów energii biologicznéj), wychodząc z ogólnych równań ruchu Lagrange'a [1]), w zupełności przypomina, jak już rzekliśmy, metodę J. Thompsona i innych badaczy dla oznaczenia za pomocą metod czysto dynamicznych równoważników termicznych energii chemicznéj. Należy jednak przyznać, iż wahania cen ekonomicznych każdego dobra materyalnego i niemateryalnego są daleko znaczniejsze, niż wahania równoważników termicznych dla energii chemicznéj. Porównywając jednak dane otrzymane przez różnych badaczów dla oznaczenia energii, np. dysocyacyi jodu, widzimy, iż istnieją dość znaczne wahania — zależne od różnych warunków otoczenia, w których eksperymenty są robione — należy więc kontentować się pewną średnią, która daje nam równoważnik w przybliżeniu i pozwala abstrahować od zmiennych warunków eksperymentacyi.

W większym jeszcze stopniu można toż samo powiedzieć o równoważnikach przekształceń każdego dobra (czyli odpowiadającéj mu energii biologicznéj, np. politycznéj, jurydycznéj, umysłowéj, estetycznéj i t. d.) na energię ekonomiczną. Ceny każdego dobra są zmienne, ale w pewnych granicach — i zawsze, jak już poprzednio widzieliśmy, można określić dla danego miejsca i czasu pewną średnią, koło któréj wahania się odbywają. Wahania te są wprawdzie daleko znaczniejsze, niż powyższych równoważników termicz-

---

[1]) Por. nasze „Równania równowagi społecznéj". Ateneum, kwiecień 1898.

Zauważmy, iż równaniom tym można dać jeszcze inną formę, wyrażającą zależność między energią kinetyczną T a potencyalną V. A mianowicie równaniom Lagrange'a można, jak wiadomo, nadać formę następującą:
$\frac{d}{dt} \cdot \frac{dT}{\frac{dq}{dt}} - \frac{dT}{dq} = - \frac{dV}{dq}$ gdzie q jest rzutem geometrycznym, albo zmienną uogólnioną jakąkolwiek, w naszym wypadku niechaj nią będzie ilość dobra, które ma być wytworzone i na które istnieje pewien popyt i podaż w ciągu czasu t. Mamy więc także $\frac{d}{dt} \cdot \frac{dT}{\frac{dq}{dt}} = \frac{dT}{dq} - \frac{dV}{dq}$ albo też $\frac{dT}{\frac{dq}{dt}} = \frac{d}{dt} \cdot \frac{d(T-V)}{dq}$.

Nazwijmy różnicę $T - V$ przez L (funkcya Lagrange'a).

Wprowadzając tę nową funkcyę do naszych równań i zwracając uwagę na to, iż $\frac{d(T-V)}{\frac{dq}{dt}} = \frac{dT}{\frac{dq}{dt}}$ otrzymujemy: $\frac{d}{dt} \cdot \frac{dL}{\frac{dq}{dt}} - \frac{dL}{dq} = 0$. O możebném zastosowaniu funkcyi L do układów społecznych i o jéj znaczeniu pisaliśmy wyżéj.

nych, ale tylko dlatego, iż w socyologii o eksperymentacyi nakształt chemicznéj jeszcze mowy być nie może, i że musimy się zadawalać empiryczném spostrzeganiem przekształceń, odbywających się w warunkach jaknajbardziéj zmiennych. Praktycznie jednak nie mamy żadnéj potrzeby określania równoważników ekonomicznych czystych różnych rodzajów energii biologicznéj: być może nawet, iż kiedyś określone będą równoważniki termiczne, albo dynamiczne (w kilogramometrach) różnych dóbr materyalnych i niematerialnych, nie sądzimy jednak, by takie określenia mogły się na cokolwiek przydać w praktyce. Téj ostatniéj wystarczają w zupełności dane empiryczne o cenach dóbr materyalnych i niematerialnych i przeciętne, które z nich wyprowadzane być mogą; chociażby nawet średnie te z biegiem czasu ulegały zmianom, to nie posiada żadnéj wagi praktycznéj, gdyż regularnie funkcyonujące biura statystyczne wciąż wprowadzać mogą zmiany odnośne w tablicach cen.

Teoretycznie zaś wszystkie te wahania, zależne od zmian zachodzących w ogólnych warunkach równowagi społecznéj, bynajmniéj nie zmieniają zasady, iż mamy tu do czynienia tylko z przekształceniami energii biologicznéj. A jakież olbrzymie światło zasada ta rzuca na wszystkie stosunki społeczne! Jakże ona pozwala nam traktować wszystkie te stosunki w sposób realistyczny, wolny od wszelkich złudzeń powierzchownych. Każde zjawisko społeczne ma zawsze pewien równoważnik ekonomiczny, bądź dany bezpośrednio, bądź téż możliwy pośrednio do obliczenia na zasadzie metod powyżéj wskazanych. I dlatego wznosząc się po nad objawy zewnętrzne, nic nie mówiące i które wysuwają zwykle najnieznaczniejsze rzeczy na plan pierwszy, mechanika społeczna sięga we wszystkiém tylko do jednego wspólnego równoważnika, do ceny ekonomicznéj, która wskazuje nam odrazu, jakich wysiłków, ile energii dane zjawisko wymaga na swe wytworzenie, i od tego zależy wartość i doniosłość społeczna każdego objawu. Tylko na tym gruncie może się odbywać klasyfikacya naukowa tych objawów i całych ich grup pokrewnych, — gdyż mamy w ten sposób normy, które nam wskazują, z jakim wysiłkiem jeden lub drugi objaw, jedna lub druga grupa objawów może być wywołana do życia.

Ceny za przestępstwa, o których mamy tak obfite dane w prawodawstwie pierwotném, są tyleż stopami przekształcenia energii biologicznéj, jak np. równoważniki dysocyacyi jodu lub chloru — chemicznéj, lub chemicznéj energii na elektryczną w bateryi. A jeżeli obecnie zabójstwa już pieniędzmi wykupić nie można, to jest to objaw takiegoż rodzaju, jak ten, gdy dla przerwanego prądu energia

chemiczna w danym stosie nie zamienia się już na elektryczną. To jednak nie dowód, iż to nie miałoby miejsca, gdyby prąd napowrót nawiązano, a także by nie można było pośrednio obliczyć stopy odnośnego przekształcenia energii, jeżeli bezpośrednio tego uczynić nie można. Tak samo ocena społeczna dzieł sztuki odbywa się w złocie. Jest to jeszcze jeden dowód, iż wszystko w społeczeństwie zależy od energii biologicznéj i od łatwości, z jaką ona się zamienia z jednéj formy na drugą, t. j. od rzadkości. Cena pieniężna pewnego dzieła jest w danéj chwili i w danych okolicznościach wskazówką łatwości, z jaką tę formę energii z innych wytworzyć można. Z czasem, ze zmianą warunków (rasy, otoczenia — zupełnie jak w stosie stopy przekształcenia się zmieniają ze zmianą natury bateryi, materyałów chemicznych i t. d.) łatwość ta zmienić się może, a wraz z nią i cena społeczna.

Jednostka lub grupa społeczna może także oceniać zjawiska społeczne nietylko z punktu widzenia ekonomicznego, lecz z moralnego, prawnego i t. d. Ale rozpatrywanie tego rodzaju przekształcenia energii, odbywającego się w rzeczywistości, może mieć znaczenie tylko filozoficzne i teoretyczne. Dla praktycznego wymiaru energii społecznéj i różnych form jéj przekształcenia ceny średnie w złocie różnych dóbr materyalnych i niemateryalnych w zupełności wystarczają. Nie otrzymamy w ten sposób stóp absolutnie pewnych i stałych, ale tylko takie, które dla praktycznych potrzeb w zupełności wystarczają, t. j. odpowiedź, ile w przybliżeniu kosztuje wytworzenie tego lub owego zjawiska.

Po wszystkich powyższych wyjaśnieniach widzimy, iż właściwy stosunek energetyki biologicznéj do energetyki społecznéj jest następujący.

Energetyka biologiczna uczy nas, iż życie jest przetwarzaniem energii chemicznéj pokarmów na energię życiową we wszystkich jéj objawach i że ta ostatnia, będąc w zasadzie różną od tamtéj, budzi się i objawia tylko o tyle, o ile ona (ener. chem. pokarmów) jéj na to pozwala. Istnieje więc zależność i równoważność, jakkolwiek nie identyczność tych dwu rodzajów energii. Każdy fakt życiowy jest przekształceniem energii biologicznéj, odbywającém się we wszystkich kierunkach, ekonomicznym, prawnym, jurydycznym, estetycznym i t. d., i temu odpowiadają wrażenia nasze, uczucia, sądy i czyny. Praktycznie jednak — jak to wnet zobaczymy — wszystkim tym objawom odpowiadają pewne ilości pokarmów i energii chemicznéj w nich zawartéj. Gdyby jednak nawet udało się energetyce biologicznéj określić równoważniki termiczne różnych objawów życiowych, toby nie na wiele się nam przydało, gdyż

w socyologii chodzi nam nie o doniosłość absolutną, w ogólnéj ekonomii przyrody objawów życiowych, lecz o ich doniosłość czysto społeczną, w pewnéj równowadze społecznéj, o ich wartość, czyli cenę. Otóż ponieważ pokarmy są źródłem wszelkich objawów duchowych, a pokarmy mogą być oceniane w swéj wartości społecznéj pieniędzmi, więc i objawy duchowe i wogóle społeczne mogą być tąż samą miarą mierzone. Widzimy więc, iż forma zewnętrzna, a nawet treść różnych objawów społecznych, moralnych, estetycznych i t. d., do któréj socyologia opisowa taką olbrzymią przywiązuje wagę, nie mają dla mechaniki społecznéj żadnego prawie znaczenia. Tę ostatnią głównie obchodzi cena, czyli koszta wytwarzania każdego objawu, gdyż od tego zależy ich rola społeczna [1]).

Byłoby także pożyteczném mieć równoważniki termiczne lub wogóle dynamiczne energii życiowych, — one wyznaczałyby nam granice maksymalne i minimalne wahań, którym stopy realne przemiany energii ulegają, i mogłyby poniekąd służyć za sprawdzian dla cen średnich, empirycznie wyprowadzonych. Niestety, energetyka biologiczna znajduje się jeszcze w stanie tak początkowym, iż na to źródło wiadomości liczebnych nie można się jeszcze oglądać. Zresztą wiadomości te miałyby charakter tak daleki od konkretnéj rzeczywistości społecznéj, iż bezpośredniego znaczenia miećby nie mogły. Na wszelki jednak wypadek przytaczamy tu nieco danych o stanie studyów obecnych w téj sprawie.

Widzieliśmy na początku niniéjszéj pracy, iż energie życiowe mają swoje źródło w energii potencyalnéj, nagromadzonéj w organach i tkankach organizmu, czerpanéj swoją drogą z pokarmów, a także, iż formą ostateczną, jaką energia życiowa przybiera, jest ciepło. Ciepło może być rozpatrywane, jako odpadek, *excretum* z punktu widzenia energii organizmu, również jak mocznik, kwas węglany i woda są odpadkami, wydzielinami, z punktu widzenia jego materyi. Błędném więc jest twierdzenie, jakoby ciepło zamieniało się w organizmie na energię życiową, — ciepło na nic w nim się nie zamienia — ono wprost się rozprasza. Z tego jednak nie wypada, by ono było bezużyteczném dla życia. jest ono nawet niezbędném, ale

[1]) Inne nauki, jak psychologia, antropologia, prawo, etyka etc., powinny się zajmować zbadaniem szczegółowém istoty i charakteru tych objawów, dla mechaniki społecznéj są one tém, czém są, splotami nadzwyczaj złożonemi, w których interesuje nas głównie jedna strona: w jakim stosunku ilościowym sploty zamieniają się jedne na drugie. Rozmaitość objawów zewnętrznych zależy tylko od rozmaitości w tym stosunku, czyli w stopach przekształcenia energii społecznéj. Znajomość tych stop jest najważniejszą częścią socyologii.

nie jako źródło energii życiowéj, lub chemicznéj, lecz jako warunek ich powstania. Przy reakcyach chemicznych temperatura stanowi tylko warunek niezbędny dla przejawu sił działających. Zupełnie toż samo dzieje się przy reakcyach odbywających się w organizmie. Ciepło gra więc rolę podwójną w organizmie: tworzy warunek niezbędny dla odbywających się w nim reakcyi i z drugiéj strony jest odpadkiem, pomocą ostatnią rozkładową energii życiowéj [1]).

Energetyka pozwala nam pojąć, czego organizm wymaga od pokarmu—nietylko materyi, która odnawia wciąż części organizmu zużyte, ale i energii. Pokarm przynosi z sobą energię w dwóch postaciach: jest źródłem przeważnie energii chemicznéj, a dodatkowo i termicznéj. Pierwsza tylko może się zamienić, u zwierząt, na energię życiową, druga służy do podwyższenia temperatury wewnętrznéj organizmu: jest to ciepło życiowe.

Sama energia życiowa także zamienia się na ciepło, ale nie wyłącznie: ten ostatni wypadek miałby miejsce tylko u zwierząt żyjących nieruchomo, nakształt niedźwiedzia zimą. U innych energia życiowa zamienia się na pracę mechaniczną, np. przy podnoszeniu ciężarów, lub wykonywaniu rzemiosł ręcznych, albo téż na energię nerwową (elektryczną), gdy nerwy, mózg lub organ elektryczny (jak u niektórych ryb) wprawione zostają w ruch (myśli, wrażenia, uczucia, wola etc.).

Otóż jeżeli tok energii, który krąży w zwierzęciu, wychodzi zeń nierozdzielny, w postaci ciepła, to miara tego ostatniego jest zarazem miarą energii życiowéj, któréj źródło początkowe zawiera się w pokarmach. Jeżeli tok ów rozdziela się na dwa, trzy, lub cztery prądy: termiczny, mechaniczny, mięśniowy lub nerwowy, należy mierzyć każdy z nich i dodać ich wartości. W pierwszym wypadku używa się wprost kalorymetru z lodu: tak Lavoisier i Laplace umieszczali morską świnkę w kawale lodu i znaleźli, iż roztopiła 341 gr. lodu w ciągu 10 godzin, t. j. wydzieliła 27 kaloryi. Obecnie używane są w tym celu kalorymetry powietrzne, albo téż kąpiele.

Można téż postępować inaczéj jeszcze. Zamiast chwytać tok energii przy jego wyjściu z organizmu w formie ciepła, można go pochwycić przy wstąpieniu w formie potencyalnéj energii chemicznéj. Wymiary robione są tu także w kaloryach, opierając się na zasadach termochemii, utrwalonych głównie dzięki pracom Berthelota.

---

[1]) Chauveau: *La valeur énergétique des aliments* (*Académie des sciences*) 1897. Dastre: *L'aliment au point de vue énergétique*. *Revue de deux mondes* 1898.

Przy pomocy tych metod fizyologia ułożyła niektóre bilanse energii dla istot żywych, umieszczonych w różnych warunkach, narówni z bilansami materyi. Ciało bowiem przedstawia w każdym z swych punktów szereg nieprzerwany rozkładów i odbudowań, do których materyały czerpane są z zewnątrz drogą odżywiania i wyrzucane na zewnątrz w wydzielinach. To przejście bezustanne materyi otaczającéj po przez organizm stanowi karmienie i stanowi istotę życia. Krążeniu materyi odpowiada jednak krążenie energii—tamto może się odbywać tylko dzięki temu.

Wychodząc z organizmu, energia zaczerpnięta z pokarmów może się rozdzielić na kilka gałęzi odrębnych, na energię termiczną, mięśniową, nerwową, na pracę mechaniczną, niezależne jedne od drugich, ale pochodzące z pnia wspólnego, przyczém dodając te energie cząstkowe, otrzymujemy sumę przedstawiającą ogólną energię, znajdującą się w ruchu i zaczerpniętą z pokarmów. Oczywista rzecz, iż każdemu objawowi życia nerwowego, myślom, uczuciom i czynom, odpowiada pewna część energii, zaczerpniętéj z pokarmów, ale jaka mianowicie — na to wątpić należy, czy kiedykolwiek otrzymamy odpowiedź dokładną. Dotychczas badano kwestye poszczególne, ale z gruba.

Energia chemiczna, którą jednostka wagi pokarmu jest zdolna złożyć w organizmie i którą oblicza się według zasad termochemii i za pomocą tablic numerycznych Berthelota, Rubnera i Stohlmana, stanowi potencyał odżywczy (*pot. alimentaire*) pokarmu, jego wartość energetyczną, czyli władzę dynamogeniczną. Wyraża się ona w jednostkach ciepła, w kaloryach, które dana substancya jest w stanie udzielić organizmowi. Liczba odnośna wyraża więc jednocześnie siłę termogeniczną możebną danéj substancyi. Ponieważ ta energia ma się zamienić na energie życiowe (t. j. na pracę lub energię fizyologiczną), to siła dynamogeniczna lub termogeniczna pokarmu wyraża zarazem jego wartość biogenetyczną.

Dwie ilości wagi pokarmów rozmaitych, dla których te wartości liczebne są równe, nazywają się ciężarami isodynamogenicznemi, isobiogenetycznemi, lub isoenergetycznemi, są równoważne z punktu widzenia ich wartości odżywczéj (pokarmowéj).

Pokarm dostarcza ciepła organizmowi dlatego, iż w nim się rozkłada. Chemia biologiczna pokazuje, iż rozkład ten, w jakikolwiekbądź sposób się odbywa, zawsze dochodzi do tych samych materyi składowych i do téj saméj ilości ciepła. Punkt wyjścia i punkt przybycia pozostają też same, jakkolwiek droga między niemi zawarta może

być najrozmaitsza, np. 1 gr. tłuszczu dostarcza zawsze téjże saméj ilości ciepła, 9.4 kaloryi, i da w stanie ostatecznym zawsze kwas węglany i wodę, ale przejście od tłuszczu do tych ostatnich substancyi może się odbywać w sposób najrozmaitszy — inaczéj mówiąc, cykle ewolucyi pokarmowych mogą być nader liczne. Cykle te są równoznaczne z punktu widzenia energii termicznéj, ale czyż toż samo może być powiedziane z punktu widzenia energii życiowéj?

Weźmy wypadek najzwyklejszy. Pokarm przechodzi od stanu początkowego do stanu ostatecznego, wcieliwszy się naprzód w tkanki i wziąwszy naprzód udział w funkcyach życiowych; potencyał pokarmowy zamienia się na energię wolną dopiéro po przejściu stanu pośredniego energii życiowéj. Jest to typ normalny ewolucyi pokarmowéj. Pokarm w tym wypadku odegrał rolę bio-termogeniczną.

Ale mogą téż być typy nieregularne téj ewolucyi, gdy pokarm przechodzi odrazu od stanu początkowego do ostatecznego, nie wcieliwszy się uprzednio w komórki żyjące organizmu, nie przeszedłszy przez fazę energii życiowéj; pozostaje on we krwi i w cieczach krążących, w nich podlega dezintegracyi molekularnéj i wydziela tęż samą ilość ciepła. Energia chemiczna zamienia się tu odrazu na cieplną — pokarm taki jest czystym termogenem (np. alkohol—według niektórych fizyologów). Tego rodzaju substancye nie są, z punku widzenia energetyki, właściwemi pokarmami, albowiem ich energia potencyalna nie zamienia się na żadną energię życiową, ale przechodzi odrazu w ciepło. Inne pokarmy udzielają organizmowi energii życiowéj, dlatego rozkładają się i wychodzą zeń w formie uproszczonéj. Tak np. tłuszcze, posiadające budowę molekularną skomplikowaną, wychodzą z organizmu w formie kwasu węglanego i wody — toż samo wodany węgla (*hydrates de carbone*) i cukier. Substancye te schodzą na niższy stopień komplikacyi podczas przejścia przez organizm i dlatego porzucają, w tym spadku, energię chemiczną, którą zawierały w stanie potencyału. Termochemia pozwala wyprowadzić z porównania stanu początkowego i ostatecznego wartość energii ustąpionéj organizmowi; ta wartość energetyczna, dynamogeniczna lub termogeniczna daje więc miarę zdolności odżywczéj pokarmu. Tak 1 gr. tłuszczu udziela organizmowi ilość energii życiowéj, równoważną 9.4 kaloryom; wartość energetyczna wodanów węgla = 4.2 kal., a związków białka (albuminoidów) 4.8 kal. Zauważmy, iż alkohol udziela więcéj ciepła, niż niektóre powyższe substancye: 1 gr. alkoholu z punktu widzenia energii termicznéj wart jest tyleż, co 1 gr. 66 cukru, co 1 gr. 44 albuminu i co

0 gr. 73 tłuszczu. Ilości te są isodynamiczne. Ale, jak już wspomnieliśmy, alkohol daje odrazu ciepło, nie przeszedłszy poprzednio przez fazę energii życiowéj. Istotnie doświadczenia von Noordena pokazały, że jeżeli na miejsce wodanów węgla udzielać będziemy organizmowi ilości isodynamicznych alkoholu, zwierzę traci na wadze, substancye azotowe, wchodzące w jego skład rozkładają się, i organizm chyli się do upadku.

Ale oprócz energii pokarm przynosi jeszcze materyę niezbędną dla odnawiania organizmów. Pokarmy mają więc własności bądź dynamogeniczne, bądź plastyczne, bądź obydwa ich rodzaje. Ten ostatni charakter mają głównie albuminoidy (substancye proteiczne, azotowe). Albuminoidy wystarczają dla podtrzymania życia, gdyż organizm może fabrykować tłuszcze i wodany węgla na koszt pokarmów azotowych i zamieniać te substancye jedne na drugie. Same jednak pokarmy proteiczne nie mogłyby wystarczyć, gdyż należałoby spożywać olbrzymią masę mięsa (3 kilo dziennie), by odpowiedzieć wszystkim potrzebom organizmu. Zwykłe pokarmy zawierają więc substancye trzech rodzajów — przyczém albumin dostarcza materyałów plastycznych, a dwa inne rodzaje — energii życiowéj.

Podaliśmy tu krótkie wiadomości o wymierzaniu pośredniém energii biologicznéj, bądź za pomocą energii, która ją wyprzedza, czyli chemicznéj, bądź téż za pomocą téj, która po niéj następuje, czyli cieplnéj. Oczywista rzecz, iż wymiary te dla mechaniki społecznéj jeszcze tymczasowo na nic są nieprzydatne, a zresztą posiada ona sposoby wymiaru bezpośrednie, które tymczasowo w zupełności wystarczają A mianowicie, pamiętać należy, iż pomiędzy fazą początkową energii chemicznéj pokarmów, spożytych przez organizm, a fazą ostateczną energii cieplnéj, wydzielanéj przez organizm, znajduje się faza pośrednia energii biologicznéj, która ilościowo jest równą tamtym, jakkolwiek jakościowo od nich jest odmienną. Otóż poprzestajemy tymczasem na wymierzaniu energii biologicznéj, za pomocą niéjże saméj, czyli za pomocą energii biologicznéj, zawartéj w złocie. T. j. porównywamy bądź użyteczność społeczną (czyli ogólną formę energii biologiczno-społecznéj) danego dobra materyalnego lub niemateryalnego z użytecznością złota dla społeczeństwa, bądź téż energie specyficzne społeczeństwa (oddzielnych jego organów, czyli aparatów—ich prace), które dla wytworzenia tych dóbr i złota, pod wpływem podniety t. j. użyteczności społecznéj, użyte zostały (inaczéj mówiąc: automatycznie się wydzieliły i w dobra te i w złoto się wcieliły). Możemy zaś, jak już wspominaliśmy poró-

wnywać dobra niemateryalne z materyalnemi, jak złoto, dlatego, że z punktu widzenia energetyki charakter materyalny dóbr zanika, gdyż przedstawiają one narówni z niemateryalnemi tylko pewną ilość użyteczności, czyli energii biologiczno-społecznéj. Złoto jest więc ogólnym równoważnikiem społecznym, wcieleniem czystéj, bezosobowéj energii społeczno-biologicznéj. Jest ono zarazem powszechnym przekształcicielem: większość dóbr społecznych materyalnych i niemateryalnych może przy odpowiednim nakładzie wydatków być wytworzona. Należy jednak zauważyć, iż są dobra materyalne (antyki, rzadkie dzieła sztuki i t. d.) i niemateryalne (arcydzieła, czyny bohaterskie i t. d.), które przy największym nakładzie wydatków wytworzone być nie mogą. Nie przestają one jednak pomimo to być wymierzalnemi, tylko dla ich wymiaru należy poczekać na dalsze postępy energetyki biologicznéj.

Dr. Leon Winiarski.

Prywat-Docent Uniwersytetu Genewskiego.



Władysław Reymont

(Komedyantka, Fermenty, Ziemia obiecana, Szkice i obrazki).

W roku przeszłym powitała i krytyka i publiczność w autorze „Fermentów" talent niepospolity — wielki. Już „*Pielgrzymka do Częstochowy*" zwróciła dawniéj uwagę na niego, ale ukazanie się dwóch powieści (a raczéj jednéj w dwóch częściach) *Komedyantki* i *Fermentów* stało się wypadkiem literackim. — Dyskutowano o nich wiele, a dowodzi to żywotności i oryginalności autora, gdy w tym stopniu pobudza do myślenia, — pisano jeszcze więcéj. Zdawałoby się więc zbyteczném wracać do rozbioru rzeczy, którą znamy wszyscy, a jednak, chcąc mówić o ostatniéj pracy Reymonta, o *Ziemi obiecanéj*, muszę wrócić do tych, które ją poprzedziły, dla porównania i śledzenia drogi, którą przebiega jego talent.

Wszystkich uderzyła odrazu w „Komedyantce" i „Fermentach" łatwość przyobleczenia w ciało postaci, powstałych w wyobraźni, głęboka miłość i odczucie natury, przeniknięcie się nią, wchłanianie jéj w siebie, zlanie się z nią — a potém tworzenie jéj obrazów pełnych, skończenie pięknych. Zdolność ta malarska jest tak wybitną, że gdziekolwiek można było rzucić obraz i nastrój, powstawało małe arcydzieło.

Psychologia kobiecéj postaci, około któréj obraca się całość obu tych utworów, (Janiny) jest uchwyconą i przeprowadzoną bardzo świetnie.

Samodzielność jéj duszy, bunt przeciw konwencyonalizmowi i drogom utartym, któremi zwykle się toczy życie kobiéty, tęsknota za czémś nieznaném, nowém, uwielbienie dla sztuki, nieznajomość życia pociągają ją do teatru. Z wniknięciem głębokiém w taką bujną a niekompletną, nieharmonijną naturę przedstawione są dzieje jéj teatralnéj tułaczki. Zderzenie się jéj marzeń z rzeczywistością, historya jéj marnego, małego, pospolitego upadku mają w sobie prawdę tragiczną. Dotychczas nawet ma ona całą naszą sympatyę, traci ją jednak (Część druga — Fermenty), gdy odnaleziona przez ojca w strasznéin położeniu, prawie umierająca po zażyciu trucizny, odratowana od śmierci oniemal cudem, wraca pod dach rodzicielski i tu rozwija bezgraniczny egoizm swego charakteru i zupełny brak poczuć moralnych. Ojciec, pół-waryat, kochający ją namiętnie, nie wzbudza w niéj litości ani chęci zaopiekowania się nim, ale—wstręt, życie monotonne w zapadłym kącie wywołuje w niéj napowrót nudę i niesmak; o nic zaczepić nie może serca i życia, bo uchyla się od wszelkiéj pracy, czy dla drugich czy nad sobą.

Bunt i pogarda przepełniają jéj serce, oburzenie nią wstrząsa z powodu, że mały światek prowincyonalny nie może jéj darować ucieczki z domu, przepędzenia kilku miesięcy w ogródkowym teatrze i romansu z aktorem, o którym wiadomość się rozniosła.

Ona sama przed sobą nic téż nie może postawić na swe usprawiedliwienie, bo nie wielka miłość, ani żaden demomiczny wpływ człowieka, któremu się oddała, popchnęły ją do złego, ale słabość dość podrzędnego gatunku dla pospolitego „pierwszego lepszego" chłopaka spotkanego na drodze życia i okoliczności: wspólność aktorskiego życia, brak opieki, osamotnienie. Taką rzecz można zrozumiéć, ale niepodobna przechodzić nad nią, jako nad mało znaczącym epizodem, do porządku dziennego.

A jednak Janina jest tak dalece pozbawioną zmysłu moralnego, że decyduje się wyjść za mąż za szalenie w niéj rozkochanego człowieka, nie powiedziawszy mu nic o téj przeszłości. Nie kocha go i uważa się za ofiarę i chce zostać jego żoną, „bo nie ma nic innego do roboty".

I pozwala, żeby jéj narzeczony dowiedział się o wszystkiém z ust trzecich, żeby przeszedł wszystkie męki piekła i nakoniec żeby zwalczony miłością błagał, aby „mimo wszystko" wyszła za niego. Po ślubie, ponieważ jéj samodzielna natura nie może wyrzec się „własnéj indywidualności", korzysta z bezprzykładnego zaparcia się męża, który jéj zostawia swobodę, i tak w podróży poślubnéj, jak

i cały rok po powrocie do kraju, trzyma go zdala od siebie, w udręczeniu niezaspokojonéj namiętności.

Mieszkając razem z rodzicami męża, mało ma pola do zajęcia samodzielnego stanowiska i rozwinięcia jakiéjś czynności, dającéj ujście niezużytkowanéj energii młodości. Jak dawniéj, błąka się po polach i lasach, czytuje poezye i męczy się bezcelowością swego życia. Poznaje wtedy niepospolitego a bardzo oryginalnego człowieka, który od razu wywiera na nią wpływ niezwalczony. Obiedwie te natury burzliwe, nieokiełznane, świetne na pozór, a niezrównoważone i słabe w sobie, muszą się przyciągać z fatalistyczną siłą.

Rozłączają się jednak nagle przez wolę czy... kaprys autora, prosty przypadek uchronił cnotę Janiny i dał nieoczekiwane zakończenie powieści.

Gdy w najwyższém rozstrojeniu nerwów oczekiwała człowieka, ku któremu rwała się jéj dusza i serce, a jednocześnie pragnęła jeszcze walczyć przeciw despotyzmowi jego miłości, wszedł Andrzej (mąż)—i rzuciwszy się w jego objęcia, poszukała w nich obrony przeciwko saméj sobie.

Tamten—przyszedł zapóźno. Wyjechał, nie pokazał się więcéj, a poczucie macierzyństwa dało młodéj kobiecie tak dawno upragniony i długo szukany cel życia. — Ostatecznie więc tak bardzo w obydwóch powieściach ośmieszane utarte drogi i „filisterskie życie" staje się udziałem Janiny.

Cała jednak psychologia téj kobiety, prowadzona drobiazgowo i konsekwentnie, upoważnia czytelnika do przypuszczania, że obecna równowaga jéj duszy, jéj przejęcie się obowiązkami, ocenienie głębokiego uczucia męża — wszystko to polega na przypadku i że gdyby kusiciel napowrót się zjawił, prysnęłyby te wszystkie tamy, nałożone na rwący strumień namiętnych uczuć.

Gdyby autor choć kilkoma zdaniami zaznaczył w trakcie akcyi swoje krytyczne stanowisko wobec Janiny, gdybyśmy przeciwnie nie odnosili ciągle wrażenia, że on ją obdarza swém uznaniem — byłoby to znakomite studyum istoty z aspiracyami wyższemi, a niejasnym umysłem, wznoszącéj skrzydła do lotu, a paraliżowanéj przez brak woli i rozumnéj inicyatywy, natury bogatéj a słabéj, idącéj za fantazyą, goniącéj miraże i tak zapatrzonéj w siebie, że przez to jest niezdolną do odczuwania cierpień innych ludzi i do przejęcia się jakąś szerszą, nieosobistą ideą.

Tak, jak jest — pozostanie to zawsze studyum panny, wychowanéj w zakątku, która naprawdę nic nie umie, nic nie widziała, zgłodniała jest wrażeń, szerszego świata — życia i któréj wszystko

imponuje, co nosi etykietę nowości, ekscentryczności i zerwania z szablonem — a przytém studyum córki histeryczki i hypokondryka, z natury już przez fatalizm krwi ciążący nad nią skazanéj na straszne duchowe rozterki, bunty, wybuchy i zerwanie harmonii w duszy, w umyśle i w życiu.

Przy końcu wykurzyły się te wszystkie fermenty i nastała cisza. Tylko, że nie możemy się połapać, czy autor z nas nie żartuje czasami, i nie wiemy, czy to jest cisza pięknego dnia letniego, czy téż cisza obezwładnienia i martwoty po przejściu takiéj burzy, która wszystko łamie.

Pozostaje więc wrażenie naiwnéj przewrotności głównéj postaci i niejasność, niepewność co do intencyi autora. Ta niepewność męczy i temu autorowi, pełnemu życia, wybornéj charakterystyki osób, realizmu połączonego z poetycznością, cudownych krajobrazów—nadaje jakąś cechę chaosu, niekompletności i zmusza do postawienia w końcu wielkiego znaku zapytania, na który napróżno czekamy odpowiedzi.

Od wydania téj powieści do ukazania się „*Ziemi obiecanéj*" musiała zajść jakaś ewolucya w duszy p. Reymonta, albo jest to tylko większe zapanowanie nad techniką, wyższy stopień rozwoju artystycznego, który pozwala autorowi być jasnym bez pedanteryi i wypowiedzieć swą filozofię życiową, nie kładąc jéj czytelnikowi w głowę, jakby nauczyciel mało pojętnemu uczniowi.

Teatrem a jednocześnie przedmiotem i jak dawniéj mówiono bohaterem „Ziemi obiecanéj" jest miast Łódź, ogromne centrum fabryczne, rozrosłe nagle, potwornie, po amerykańsku na piaskach ziemi łęczyckiéj. Wszystkie żywioły tego dziwnego konglomeratu trzech narodowości wprowadzone tu w ruch, ze sto najmniéj osób działa i co dziwniejsza, nie rysuje się konturowo, jakby można sądzić, ale odcina się z plastyką typów na tle życia gorączkowego, gonitwy za pieniędzmi, zgrzytu maszyn, tępych uderzeń kielni mularskich przy budowie nowo-powstających pałaców, łuny pożarów, będących dobrze opłacającym się szwindlem — na tle cierpienia mas robotniczych, tych bezwiednych, bezwłasnowolnych kółek, wprawiających pracą swoją w ruch całą tę jedną, kolosalną fabrykę — miasto.—Wszystkie klasy, wszystkie sfery mają swych przedstawicieli w téj galeryi typów: jastrzębie—fabrykanci, sępy — bankierzy, szlachta zbankrutowana we wszystkich swych odmianach, szukająca na bruku oparcia i chléba, kobiety wschodniego pochodzenia, otoczone zbytkiém, o wytwornéj kulturze, a pierwotnych instynktach, Niemki niezgrabne w sztywnych jedwabiach, pokrytych fartuchem,

i Polki wyrafinowane, jak pani Trawińska, wspaniałe i dumne, jak Wysocka, albo proste, szczere, duchowo wyrobione, jak Anka. A obok tych warstw wyższych, cały podkład ludowy: chłopi, baby, spracowani robotnicy, dochodzący do względnego dobrobytu i nędzarze, a wszyscy przemawiający własnym językiem, ruszający się po swojemu, wszyscy tacy, jak w naturze, ani bezwzględnie źli, ani bezwzględnie dobrzy, ale skomplikowani w swéj prostocie, chodzący po ziemi, ludzie z krwi i kości—tętniący życiem.

W téj setce najrozmaitszych osobistości, które przed oczyma naszemi przesuwa kinematograf autora z błyskawiczną prędkością, niema ani jednéj postaci niejasnéj, zamazanéj, ani jednéj figury papierowéj—wszystkie żyją, stoją, wyrażając się technicznie.

A stoją tak pewnie i dobrze, i tak chcielibyśmy im się przyjrzéć lepiéj i nacieszyć niektóremi z nich, że mimowolny żal nas bierze do autora za tę szybkość, z jaką każe im ustępować miejsca innym, coraz nowym. Oni działają, kochają się, kłócą, intrygują przeciw sobie, pracują i bawią się, urządzają podstępne pogorzele i krachy; jedni szachrują lub gonią za złotem, drudzy jęczą w ogłupiającym kieracie roboty mechanicznéj i przytłaczającém brzemieniu nędzy—a inni znów, zapatrzeni w promienny, altruistyczny ideał, wytężają wszystkie siły, aby go urzeczywistnić na ziemi.

Kręcą się, wirują, kłębią, a ten ich nieustanny ruch wytwarza życie pełne, gorączkowe wielkiego, przemysłowego miasta, wyrastającego na potworną istotę, niemal osobę — na symbol. Jak u Zoli, siła tkwiąca w ruchu, w rzeczach, w przedmiotach staje się duszą i ciałem; siła ta porywa jednostki ludzkie i zmusza je do kręcenia się w swojéj orbicie, ludzie stają się maszynami, a maszyny nabierają indywidualnego życia, fabryki zmieniają się w zbiorniki sił, tętniących i pulsujących ruchem—miasto jakby w myślącą istotę. Ku téj istocie potwornéj zwracają się oczy i ręce wszystkich, którzy pragną złota, pieniędzy, szybkiego zbogacenia się — użycia, i tych ambitnych, którzy potrzebują ujścia dla swéj energii, już raz pchniętéj w tym kierunku. Ku téj istocie wyciąga się z przekleństwem ściśnięta w pięść dłoń nędzarza, ginącego przez nią, w prześlicznym, wzruszającym, poetycznie odczutym ustępie o umierającym na powolną gangrenę robotniku, któremu nogi odjęto.

Oto jak autor określa tę zbiorową istotę przy końcu swéj powieści:

„Z okien gabinetu widać było ogromny ciemny rozlew miasta śpiącego, gdzie niegdzie tylko wznosiły się wyspy fabryk, pracujących w nocy, których głuchy huk, podobny do dalekiego szumu

lasów przynosi wiatr. Miasto spało — przyczaiło się w cieniach i przywarło do ziemi, jak polip, wszystkiemi znaczkami fabryk, a dalekie, dokoła miasta porozrzucane elektryczne słońca błękitnawemi źrenicami patrzyły w noc, stróżowały śpiącego molocha, jak stado żórawi o skrzydłach olbrzymich. Wszystkiemi drogami, z równie odległych, z zapadłych wiosek, ze stolic i miasteczek, z pod strzech i pałaców, z wyżyn i rynsztoków, ciągnęli ludzie nieskończoną procesyą do téj ziemi obiecanéj. Przychodzili użyźniać ją krwią swoją, przynosili jéj siły, młodość, zdrowie, wolność swoją, nadzieje i nędzę, mózgi i pracę, wiarę i marzenie. Dla tego polipa pustoszały wsie, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swych skarbów, wysychały rzeki, rodzili się ludzie, a on wszystko ssał w siebie i w swoich potężnych szczękach miażdżył i przeżuwał ludzi i rzeczy, niebo i ziemię i dawał wzamian nielicznéj garstce miliony bezużyteczne, a całéj rzeszy głód, wysiłek i zbydlęcenie".

Te słowa są pewnego rodzaju wyznaniem wiary autora.

Nie jest on bynajmniéj olśniony wielkim przemysłem i nagłym jego wzrostem w naszym kraju i to nietylko dlatego, że ten przemysł pozostaje prawie wyłącznie w rękach obcych, nie — on wogóle ma wstręt do tego olbrzymiego ruchu kapitałów, do téj centralizacyi, tworzącéj milionerów zatrudniających tłumy ludu roboczego, nie mogącego wyjść przy swéj ciężkiéj, mechanicznéj pracy maszynowéj ze stanu wiecznéj biedy i ciemnoty—to téż w żywéj akcyi swego utworu zdaje się wołać słowami sympatycznego dziwaka Myszkowskiego: „nie marnujcie życia na robienie pieniędzy — nie róbcie z siebie bydląt pociągowych—nie stawajcie się maszynami — bo na początku była pieśń i na końcu będzie pieśń, a nie podręcznik do przędzenia „wełny czesankowéj".

Dość pesymistycznie zapatruje się autor na usiłowania swojskiego żywiołu do opanowania przemysłu łódzkiego, ujęcia go w swoje ręce, zwrócenia na inne tory i wyparowania tandetnéj produkcyi. Idea ta ma w powieści trzech przedstawicieli: pierwszy Borowiecki pada w walce konkurencyjnéj, a ratując się posagiem córki niemieckiego fabrykanta, przechodzi do porządku dziennego nad marzeniami swemi reprezentowania narodowo-społecznych aspiracyi, jeżeli je miał kiedykolwiek, co mi się wydaje bardzo wątpliwém. Drugi, Trawiński, zbankrutowałby dawno, gdyby go nie podtrzymywały pieniądze z ziemi, z ojcowskiego majątku. Trzeci tylko, Kurowski, trzyma się dość niezależnie, pomimo wszelkich intryg i nienawiści, a to dzięki żelaznemu charakterowi, rozumowi niezwykłemu i wy-

rzeczeniu się dla pracy wszelkiego osobistego szczęścia. Jego działalność stanowi jakiś mały zaczątek, zawiązek zaledwie nowego a lepszego stanu rzeczy, który może kiedyś przyjdzie, ale do niego bardzo jeszcze daleko, bo jak mówi nasz wróg, Kessler: „Ani jedna, ani dziesięć fabryk nie stworzy przemysłu waszym — musicie sobie wyrobić naprzód pewną kulturę przemysłową, zanim wasze usiłowania przestaną budzić śmiech".

Ażeby ogromna liczba postaci wprowadzonych do powieści nie rozkruszała jéj na poszczególne nowele, na osobne epizody, do czego autor ma wielką skłonność — potrzebna jest oś, około któréj one wszystkie kręcą się i przesuwają. Stał się nią Karol Borowiecki — charakter skomplikowany, ambitny, zdolny, egoistyczny — przytém jednocześnie szlachcic i człowiek nowych czasów.

Jest chemikiem „kolorystą" w jednéj z największych fabryk, Bucholtza, bierze dziesięć tysięcy rubli rocznéj pensyi, a inni przedsiębiorcy licytują się o niego między sobą i ofiarują mu znacznie więcéj.

Mógłby poprzestać na tém i ożenić się ze swą narzeczoną, ale chęć wydostania się na wyżyny życia, obracania milionami, popycha go do założenia własnéj fabryki i konkurowania z żydami. Czy mu w téj walce przewodniczą jakie narodowo-społeczne ideały? W każdym razie bardzo słabo i nie one to kierują jego życiem, a tém mniéj nie one zmuszają do ratowania swéj sytuacyi finansowéj posagiem bogatéj panny.

Nie jest to człowiek „zasad", „idei" — ale *Lodzermensch*, pragnący iść naprzód, rozpychać się łokciami, gnieść innych, aby nie być zgnieconym i wydobyć się na szczyt drabiny społecznéj. Od innych współzawodników różni się tylko poczuciem honoru szlacheckiego i zrozumieniem uczciwości kupieckiéj, którą uważa za podstawę handlu, i jeżeli podejmuje ciężką wojnę konkurencyjną z tandetą, to dlatego, że trwałość produkcyi jest dla niego koniecznością w prawidłowym i na dłuższą metę obliczonym rozwoju przemysłu.

Ma téż we krwi pewne instynkty szlachetne, które przez prawo atawizmu odziedziczył po przodkach, nie są one dość silne, aby przeciwważyć w duszy jego egoizm, chęć użycia i chęć władzy, ale nie pozwalają mu być szczęśliwym, gdy zapierając się ich, stanął u swego celu i zawładnął milionami.

Borowiecki nie jest zdolny do prawdziwéj, ożywczéj i podnoszącéj duszę miłości, nie kocha swéj narzeczonéj: zaręczył się z nią przez względy familijne, bo jest ona jego krewną i wychowanicą jego rodziców, potrzebował przytém na razie jéj niewielkiego posagu, ale

uczucie stępił i zszarzał na miłostkach z wytwornemi żydówkami Łodzi, nawet zaręczywszy się, zawiązał z piękną Lucy nowy romans, który go bardzo absorbuje. Lubi on Ankę, odczuwa do pewnego stopnia jéj wdzięk, ale nie może docenić jéj wartości, ani poddać się jéj wpływowi. Ambicya i używanie zmysłowe wysuszyły mu serce.

Anka to jedna z najpiękniejszych postaci, jakie w ostatnich czasach stworzyła powieść polska.

Podobna do Maryni Połanieckiéj, góruje nad nią przez swą większą samodzielność i zdolność inicyatwy. Naturalna, bez najmniejszéj pozy spełnia rzeczy trudne, jakby się to samo przez się rozumiało, pełna godności kobiecéj, zamyka się w sobie i powoli chłodnie w swém uczuciu dla narzeczonego, widząc, że nie jest przez niego kochaną i że go nie może szanować, mężna w nieszczęściu, energiczna i serdeczna, a przytém inteligentna, ma głowę i serce otwarte dla wszystkich rzeczy dobrych, które „nowe czasy” przynoszą, odpycha wszyskie złe, nie zgadzające się z jéj filozofią życia. Równie jest czynna i naturalna, gdy zarządza wiejskim dworem, jak gdy późniéj w Łodzi pielęgnuje sparaliżowanego ojca Karola i pokaleczonych robotników, równie pełna wdzięku w artystycznych salonach pani Trawińskiéj, jak w swojéj ochronce, a zawsze odważnie stojąca przy prawdzie, czy wtedy gdy broni inteligentniejszych żydówek przed napaściami stronniczemi pani Wysockiéj, czy gdy przeciwstawia zasady miłosierdzia chrześciańskiego cynicznym sarkazmom Karola.

Zerwanie między temi dwiema istotami przychodzi samo z siebie, jako naturalna konsekwencya wszystkich poprzednich czynów i uczuć Karola. Na gruzach spalonéj fabryki rozmyśla on nad swém położeniem i widzi, że asekuracya zaledwie wystarczy na zapłacenie długów i posagu Anki.

Ojciec umiera w czasie pożaru nagle, z przelęknienia, a z nim pęka ostatnia nić, która łączyła narzeczonych. Karol żeni się z milionową Müllerówną i przy swych zdolnościach staje się wkrótce jednym z największych potentatów finansowych.

Posiadł władzę, jaką dają wielkie pieniądze, ale szczęścia nie znalazł, stał się niewolnikiem fabryki, włożył sobie obrożę na szyję, praca nadmierna podkopała jego zdrowie, miliony nie mogły mu nawet zapewnić używania, to téż smutek pada mu jak rdza na duszę i przegryza ją powoli.

Spotkawszy w parę lat po swym ślubie Ankę w otoczeniu dzieci z ochronki, którą założyła—piękną zawsze, pogodną i znajdu-

jącą zadowolenie w spełnianiu dobrego, woła: „Przegrałem szczęście własne!... zmarnowałem je.... trzeba mi teraz myśléć o szczęściu drugich”!

I te miliony, które uważał oniemal za bezużyteczne, bo nie dawały mu żadnego zadowolenia, wydały mu się dźwignią społeczną i wielką siłą, za pomocą któréj można po świecie „przejść”, dobrze czyniąc.

Czy „Ziemia obiecana jest powieścią tendencyjną? Chyba — nie, choć wiele osób chce ją sądzić z tego stanowiska; — możeby nią była, gdyby autor chciał przyodziać swego Borowieckiego „wiedziony ideą po wierzchu pływającą w szaty wielkiego działacza społecznego”, jak mu to przypisuje jeden z krytyków („Prawda” nr. 8), gdyby mu narzucił „posłannictwo na placówce opanowanéj przez obce żywioły”, a w usta włożył „szumne, fajerwerkowe, ale tanie frazesy”; ale téj myśli i chęci trudno się u p. Reymonta z dobrą wiarą dopatrzyć. Borowiecki w swéj psychologii odrazu niema najmniejszych warunków na reprezentanta czegośkolwiek w sferze ideałów, kierunków i pojęć. „Frazesy”, które wygłasza, redukują się do kilku zdań o wyższości dobréj produkcyi nad tandetą, o koniecznéj potrzebie uczciwości w przemyśle, która jest zresztą dobrze zrozumianym interesem „solidnéj” firmy; jest on od początku do końca egoistą i karyerowiczem, w którym jednak tkwią pierwiastki jego rasy i pochodzenia.

I dlatego nie jest „psychologicznie chybiony”, jakimby zapewne był, gdyby chciał stać się apostołem idei; ale pozostanie ciekawém studyum młodego człowieka „nowych czasów”, opętanego ambicyą, materyalizmem i pychą, a rozbijającego się o resztki uczuć i pojęć wyższych, drzemiących na samém dnie duszy; typem istoty złożonéj, dążącéj z drapieżnym egoizmem do zapewnienia sobie tego, co uważa za szczęście, i poznającéj w końcu, że cel, za którym goniła, jest złudzeniem i że w jéj głębi pod grubym podkładem instynktów istnieje coś niezbadanego, co jéj nie pozwala zadowolnić się zwierzęcą lub roślinną egzystencyą. Gdyby autor chciał posłuchać wyżéj wymienionego krytyka, to jest „zbadać gruntownie technikę robienia pieniędzy, odtworzyć całokształt stosunków ekonomicznych i innych i rzucić na to wszystko olbrzymią smugę światła historyczno-socyologicznego” — byłby musiał postacie traktowane pobieżnie (Bucholtz, Mendelson) wysunąć na plan pierwszy, Kurowskiego, który jest tylko szkicem, profilem najmniéj jasną z tych wszystkich licznych postaci — uczynić bohaterem i reprezentantem

idei, a Borowieckiego zupełnie usunąć lub zredukować do figury epizodycznéj.

Mielišbymy wtedy *un homme à idée* i zapasy przemysłu rodzimego z obcoplemiennym i „zapuszczanie sondy w tajemnice zbrodni niekaranéj" i — powieść społeczno-tendencyjną. „Ziemia obiecana" tém wszystkiém nie jest, być nawet nie chce i... niewielka stąd „szkoda"! dla jéj wartości artystycznéj. Powieści społecznych mamy wiele i ciągle powstają nowe, dzieł sztuki w tym rodzaju znacznie mniej, a obrazów artystycznych mniejszych, lub większych zbiorowisk ludzkich nie mamy wcale.

„Ziemia obiecana" chce być takim obrazem Łodzi—jedyna jéj tendencya, szczera, nie naciągana, z myśli autora płynąca, jest jego niekłamana chęć wyrażenia bezpośrednio swego wstrętu i pogardy dla materyalizmu i filisterswa, a pośrednio, dla wielkiego przemysłu fabrycznego, zabijającego mały, domowy, i gromadzącego miliony w ręku niewielu kapitalistów-wyzyskiwaczy. Czy ten sąd jest sprawiedliwy, czy przemysł i ruch, który on wytwarza, oprócz tych stron czarnych i ujemnych, nie ma téż i dodatnich, o to możnaby polemizować z autorem, to już wszakże inne pytanie — które zostawiamy bez odpowiedzi, bo nie należy ono do krytyki artystyczno-literackiéj.

Odzywają się głosy, że obraz Łodzi „nie jest prawdziwy", szczególniéj dają się z tém słyszeć osoby zamieszkujące owo miasto, albo dobrze je znające.

Zdaje się jednak, że zdania te opierają się na mylném pojęciu dróg, jakie chodzi każdy prawdziwy artysta.

On nie fotografuje, ale tworzy; z danych istniejących w naturze, bierze wszystko, co stanowi cechę wyróżniającą jedno indywiduum od wszystkich innych, co mu nadaje fizyognomię duchową, — stwarza portret—podnosi osobnika do typu.

„Ziemia obiecana" nie jest fotografią Łodzi, ale portretem artystycznie pojętym wielkiego miasta przemysłowego, wyrosłego w krótkim czasie na polskim gruncie przez działanie obcych żywiołów. Żaden Bucholtz ani Grosglük nie jest rysowany z natury, ale utworzony z różnych cech i rysów, stanowiących charakter pysznego, egoistycznego i okrutnego dorobkiewicza, albo drapieżnego a małostkowego szalbierza. Nikt nie może pokazać palcem na któregokolwiek ze swych łódzkich znajomych i mieć złą uciechę odnalezienia go w powieści.

Wszystkie jednakże typy te są psychologicznie prawdziwe i artystycznie szczere: nie potrzebują szczudeł tendencyi ani pie-

przyku aktualności i paszkwilu, bo trzymają się o własnéj sile mocą swéj wewnętrznéj prawdy. A o manekinach, o lalkach wypchanych, które widzi inny znów krytyk (w „Gazecie Polskiéj"), mowy być nie może. Wiele postaci Reymonta w téj powieści i w innych jest przeciągniętych, przetonowanych, zarywających na karykatury, tak grubo są podkréślone ich cechy szczególne, ale wszystkie żyją, może nawet żyją zbyt bujnie, zbyt jaskrawo, zbyt hałaśliwie, i niema między niemi ani jednéj figury papierowéj.

Nawet Kurowski, choć tak na ostatni plan wsunięty, i tajemniczością otoczony i tak rzucający paradoksami, że zaledwie wśród nich możemy się domyślać jego prawdziwéj duszy—nie jest ani blady, ani nieprawdziwy, ani niemożebny w życiu — tylko za pobieżnie traktowany—nie nudzi, ale drażni jak zagadka.

Reymont daje nam nietylko „obraz" Łodzi ale historyę chwili, odbicie tego czasu przejściowego, gdy się cały kraj przeobraża, gdy przychodzą „nowe czasy", które jeszcze nie ustaliły się i nie skrystalizowały. Przeobrażenie zaczęte—ale nie skończone—płynny ten prąd nie zdążył jeszcze stężeć w nową formę życia. Wielka własność rozpada się na małą, lud emigruje masami do miast fabrycznych, albo gdzieś na daleki zachód za robotą—jest to jakgdyby *exodus* nowy, wytwarzający chaos i zamęt we wszystkich stosunkach. Stany i warstwy dotychczas przodujące ustępują miejsca warstwom nowym, wyłaniającym się z pokładu ludowego i pchającym się w górę, dokąd przynoszą energię i siły świeże; tamci zaś dawniéj uprzywilejowani rozlewają się w szaréj masie „średniego stanu" i znów wnoszą do niego cechy długiéj kultury towarzyskiéj i szlachetność tradycyi rodzinnych. Wszystkie cechy téj szlachetności umiał autor odczuć, wydobyć i uwypuklić, nie zamykając wszakże oczu na wady téj warstwy społecznej, która chyli się ku zachodowi, spychana powoli przez nowych przybyszów. Są tu i prześliczne typy szlacheckie, jak stary Borowiecki, i długi szereg bezradnych niedołęgów, jak Jaskólski. Wyborne również pod względem charakterystyki są typy dorobkiewiczów: Wilczka i Karczmarskiego-Karczmark.

Pewne zabarwienie pozorną tendencyjnością nadaje „Ziemi obiecanéj" nadzwyczaj jjaskrawy i realistyczny sposób przedstawiania Niemców i Żydów. Jeszcze pomiędzy Niemcami mamy całą familię poczciwych Baumów i drugą dobrodusznych choć pospolitych Müllerów—ale rasa semicka zawiera tu wszystkie typy pijawek, wyzyskiwaczy cynicznych i bezwzględnych szachrajów tak ordynaryjnych jak cywilizowanych. Wszystkie defilują przed nami, a na tle głębszém ich wad społecznych rozkładają się i prezentują w świetle jasnego

słońca drobniejsze wady ich charakteru: próżność, pyszałkowatość i płaskość.

Kobiéty z téj rasy, pomimo większéj od mężczyzn kultury umysłowéj, nie wyrabiają się w „Ziemi obiecanéj" na żadne wyższe natury; w ogólności są bajecznie próżne, pławiące się w zbytku, strojące się w szych cywilizacyi, w różne pseudo-artystyczne zamiłowania, w komunały filantropijne (Endelmanowa); niektóre za młodu czarują zmysłową poezyą wschodu, aby z czasem zmienić się z pięknego motyla w zwyczajną poczwarkę pospolitéj żydówki (Lucy). Nawet Mela, najszlachetniejsza z nich, pełna najlepszych aspiracyi, poświęcająca się, aby nie krępować ukochanego, ukazuje się w końcu (na ślubie Borowieckiego), jako żona cynicznego lodzermana, przemieniona w kokietkę, używającą zdawkowéj inteligencyi dla flirtu i tryumfów salonowych. W przeklętém mieście, skazaném przez Jehowę na zagładę deszczem ognistym, było czworo sprawiedliwych, czyżby się ani jeden nie znalazł wśród semitów Łodzi?

Na to odpowiada autor, ukazując bladą twarz Blumenfelda, artysty zabłąkanego w kantorze bankierskim, którego dusza przebywa w świecie tonów, zapominając o brzęku liczonych pieniędzy i o całéj nędzy moralnéj otoczenia—i... oryginalną sylwetkę starego Halperna, maniaka, żyjącego fanatyczną miłością rodzinnego miasta, cieszącego się naiwnie z wzrostu i bogactw Łodzi, bez względu na własną, osobistą biedę.

Pomimo téj sadzy malarskiéj, któréj Reymont nie żałuje Żydom, pomimo potępienia nawet najlepszéj z ich cór, powieść jego nie wywiesza sztandaru antisemickiego — i nie pragnie rozwiązać kwestyi żydowskiéj ani żadnéj innéj. Nie daje społecznego programu, bo nie ogarnia swą obserwacyą całego kraju, ani nie uogólnia swoich spostrzeżeń; przeciwnie, specyalizuje je; zacieśnia do jednego miasta.

Autor wyszedł na ulice fabrycznego polipa i obserwuje jego rozrost nagły i tę gorączkę, która ogarnęła cisnących się do niego ze wszystkich stron ludzi, ten szał, w którym się kręcą, ten taniec św. Wita, który tańczą naokoło posągu nowożytnego Molocha. Daléj, obserwuje i przedstawia, jak ta religia rubla rozkłada powoli wszystkie inne pierwiastki i wiary w sercach i jak się rozwija, jak się objawia na podstawie różnic rasowych.

W téj dusznéj i strasznéj atmosferze nietylko wyrastają różne potworne okazy ludzkości, ale i taki Borowiecki zatraca szlachetniejsze pierwiastki swéj natury, i młode dziewczyny żydowskie, które na warszawskich pensyach zaczerpnęły ożywczego powietrza

i poczuły w sobie duszę — więdną, marnują się, łamią w tym piecu rozżarzonym, ziejącym ogniem gorączki złota i nizkich namiętności.

Na zabarwienie „Ziemi obiecanéj" wpłynęły dwie rzeczy: założenie, jakie sobie autor postawił, uważania mrowiska ludzkiego, jako żyjącéj istoty, i... własny jego temperament artystyczny. Z założenia wypływa kreślenie wszystkich typów z myślą zwróconą na tę fikcyjną w rzeczywistości, a dla autora naprawdę istniejącą zbiorową osobę—i to nas zmusza mimowolnie myśléć tutaj o Zoli i jego potworach—rzeczach, miażdżących ludzkie mrowie, czy to będzie kopalnia węgla, czy handel centralizacyjny, czy siła uosobiona w lokomotywie, czy wielki symbol wojny. I francuski pisarz i polski wyolbrzymiają zarówno potęgą swéj wyobraźni te różne siły poruszające pewne zbiorowisko ludzi — tylko metoda ich tworzenia jest odmienną: tamten gromadzi mnóstwo natłoczonych szczegółów i opisów bardzo obszernych — ten zdejmuje szybkie sylwetki za pomocą aparatu migawkowego i tworzy szereg oddzielnych fotografii, zlewających się w pamięci czytelnika w jeden wielki, ogólny obraz. Rysując swe poszczególne szkice, pamięta ciągle o tle, jakiém jest dla niego Łódź, i to Łódź pojęta jako uosobienie materyalizmu i brutalnych apetytów — ztąd téż te figury, które gdzieindziéj wydałyby się szarżowane i raziły karykaturalnością—tu w społeczeństwie, pozbawioném prawdziwéj kultury — wśród lodzermenschów, przechodzących nagle od barbarzyństwa i biedy do wielkich bogactw—wydają się na swojém miejscu i prawie naturalne.

Co do temperamentu artystycznego, pamiętać musimy, że talent Reymonta jest przedewszystkiém plastyczny i kolorystyczny — malarski. Nie polega on na zdolności odtwarzania szczególnych stanów psychicznych w oderwaniu od świata rzeczywistego, na ujmowaniu „nagiéj" duszy.

Nie,—on ją przedstawia ubraną we wszystkie przyzwyczajenia, wierzenia, nawet przesądy, które na nią włożyły rasa, położenie towarzyskie i środowisko. Zapatrzony w te wszystkie szczegóły, chwytając zjawiska, pragnąc z możliwą dokładnością ująć i oddać prawdę życia, maluje ją z jaskrawością krzyczącą. Jaskrawość ta może się czytelnikowi wydać naciąganiem do formuły z góry ułożonéj tendencyi, a dla artysty jest tylko jednym ze środków do osiągnięcia wyrazu—nadania obrazowi szczególnéj fizyognomii—indywidualności.

On tak widzi—a to co widzi, z całą szczerością oddaje, nie dlatego, aby stworzone przez niego typy służyły do popierania jakiéjś

tezy—ale że oczom jego wyobraźni tak a nie inaczéj się przedstawiają.

Używa metody impresyonistycznéj mieszania barw na oku widza; trzeba jednak, aby widz patrzył na obraz w właściwém oświetleniu i z właściwego punktu oddalenia.

Tego rodzaju wyrazistość, będąc tylko środkiem artystycznym, a nie narzuconą i krępującą tendencyjnością, nie może się nazywać nadużyciem sztuki dla osiągnięcia doraźnych korzyści utylitarnych.

Jeżeli sztuka ma mieć za cel dążenie do uchwycenia i przedstawienia prawdy, tak jak ona odbija się i załamuje w indywidualności artysty—a na tę definicyę jéj przeznaczeń zgadzają się wszyscy nowsi pisarze,—to musimy uwzględnić jaknajszerzéj indywidualne zapatrywania i wierzenia artysty, musimy uwzględnić jego sposób patrzenia i na duszę ludzką i na wszystkie zjawiska świata zewnętrznego.

I najciekawszą rzeczą dla psychologa jest to dokopywanie się po przez wszystkie objawy sztuki, przez barwy, linie, tony, przez dźwięki i rytmy poezyi, przez obrazy, sceny i postacie powieści, do samego dna — do saméj treści — to jest do subjektywizmu twórcy.

Ze wszystkiego, co nas otacza w naturze i w życiu, najwspanialszém i najwięcéj interesującém zjawiskiem jest dusza ludzka, a ze wszystkich dusz — przedewszystkiém skomplikowana dusza artysty. Niechże jéj będzie wolno całkowicie się wypowiedzieć. I jeżeli ciasnotą wydawać się może zamykanie mu ust w imię dobra powszechnego, w imię moralności i podstawowych urządzeń społecznych—to czyż nie będzie ciasnotą odbieranie mu prawa głosu wtedy, gdy jego widzenie rzeczy zgadza się z odwiecznemi prawami etyki, albo porusza w sercach jakieś znane struny, albo przypadkiem nasunąć może myśli popychające ludzi z błędnych ścieżek na prostą drogę?

Wiele takich myśli wypromienia się z różnych powikłań powieściowych „Ziemi obiecanéj”, a jeżeli nie jest ona oddaną na wyłączną posługę tendencyi, to przepływa ją jednak idea, będąca jakoby emanacyą duszy autora. Szczęścia mało na tym świecie, właściwie niema go wcale; jeżeli jednak gdzie szukać go można, to nie w zadowoleniu ambicyi, nie w używaniu zmysłowém, nie w potędze i rozkazywaniu tysiącom, ani w przerzucaniu milionami, ale w równowadze ducha, w spokoju sumienia, w spełnianiu czynów szlachetnych i użytecznych, w poświęceniu się dla idei wyższych ogólno-

ludzkich — a po za tém w rodzinie, w tradycyi domowéj, zresztą... w miłości — choć ta ostatnia jest bardzo rzadką i... nietrwałą.

Idea ta, jak mgławica napojona światłem, unosi się nad realizmem tego utworu, przenika go i sprawia, że powieść nasza, pomimo obrazów nie ustępujących pod względem jaskrawości żadnym naturalistycznym romansom francuskim (orgia u Kesslera), pomimo języka niekrępującego się niczém, często brutalnego, pomimo trywialności niektórych scen (widok oranżeryi po ślubie Karola), jest dodatnią w swéj filozofii — ma podkład moralny. Moralność to nie filisterska ani banalna, ale sięgająca do głębokich posad etyki. Tchnienie poezyi owiewa całość; poezya jest w opisach natury, w odczuciu melancholii deszczowych dni i mglistych poranków, w radosném przebudzeniu wiosny, w pełni żaru i światła gorących dni letnich, jest w pogodzie i sile duszy Anki, w rezygnacyi polskiego ludu roboczego.

Przy tylu danych i warunkach wymaganych od arcydzieła, nie jest niém jednak „Ziemia obiecana"; talent autora, jego bogactwo, jego indywidualizm, chęć odmalowania wszystkiego i wszystkich rozsadza ramy powieści. Obraz to, któremu brak perspektywy, pierwszych i dalszych planów; natłoczenie osób, typów, charakterów zbyt wielkie, akcya tak błyskawicznie szybka, że czytelnikowi brak oddechu i pragnąłby jakiegoś zawieszenia, odpoczynku, uwagi jakiéjś psychologicznéj, będącéj dla akcyi powieściowéj tém, czém są przecinki i średniki w zdaniu.

Zbytek tych analiz i uwag wygląda na bakalarstwo i nudzi, ale obejść się zupełnie bez nich niepodobna, nie chcąc wpaść w gorączkowość i zamęt. Epizodów, osób i scen stanowczo jest zawiele, choć same w sobie są wszystkie piękne, lub prawdziwe, i nie można się dziwić, że żal je było poświęcać dla doskonałości budowy powieściowéj. Wszystkie te wady płyną z nadmiaru siły twórczéj, z fantazyi bujnéj, z obserwacyi realistycznéj i z bezpośredniego odczucia ruchu i pulsu życia. Twórczość ta nie jest zrównoważona, opanowana wymaganiami architektonicznemi.

Powieściopisarz musi być jednocześnie malarzem i budowniczym — w p. Reymoncie przedewszystkiém czujemy malarza.

Najjaśniéj świeci ten talent, najswobodniéj rozwija się w noweli; nieskrępowany myślą przewodnią ani osnową powieści, wypowiada się całkowiciéj i wszechstronniéj. Już sam wybór tematów tych małych powiastek jest znamienny i pozwala subjektywizmowi autora przezierać przez charakterystykę rzeczy i ludzi. Chodzi tu głównie o ujęcie nastroju chwili, a w tém jest Reymont iście niezró-

wnany. To też uważam, że krytyka zajmowała się zbyt mało tomem wydanym w 1897 roku, pod ogólnym tytułem: „Spotkanie (Szkice i obrazki)". Nie wszystkie z tych obrazków są równéj wartości, pisane są w różnych czasach i z różném natężeniem natchnienia, są jednak między niemi rzeczy pierwszorzędne i sprawiające wrażenie niezatarte.

Do takich należy zaraz najpierwszy: „Spotkanie". Co za nastrój! jak natura sharmonizowała się z tragedyą ludzką, rozgrywającą się na tych kilku kartkach... Mąż i kochanek idą za trumną otrutéj kobiety, trzymając się pod rękę—za nimi spotykają się szydercze spojrzenia, odzywają stłumione szepty, a nad nimi i w koło nich „szara, spokojna jesień, przejmująca posępnością, pełna spokoju śmierci i rozkładu, coś jakby hekatomba całéj przyrody tka już powoli zimę".

Potém ci dwaj ludzie zostają sami sami, we dwóch w domu śmierci posępnym, opustoszałym, zimnym jak grób, a pełnym wspomnień minionego szczęścia. Straszna to noc: jakie napięcie uczuć—jaka groza — na jaką siłę woli musi zdobywać się ten młody człowiek, aby nie zdradzić swego własnego, okropnego cierpienia przed mężem, nie mającym najlżejszych podejrzeń!

W końcu ten ostatni, wyczerpany kilkodniowém naprężeniem nerwów, zasypia, a sprawca samobójstwa młodéj kobiety oddycha, rad, że nie potrzebuje kryć przed wszystkimi okropnéj rany serca, że może nareszcie odłożyć maskę obojętnéj powagi, którą od dwudziestu czterech godzin zbroił się przeciw badawczym, złośliwym, kłującym oczom ciekawych i przeciw milczącéj wymowie ufnych oczu przyjaciela... Godziny upływają... cicho... nagle z drugiego pokoju odzywa się głos dwuletniéj dziewczynki: „Mamusiu! chcę do mamusi!" W nieszczęśliwym poczucie ojcostwa budzi się po raz pierwszy z siłą żywiołową — już jest przy dziecku — klęczy przy łóżeczku, okrywa zdziwioną maleńką namiętnemi pocałunkami: „Powiedz tata, Zosiu!..." „Tata!" krzyczy dziecko, wydzierając mu się i wyciągając rączki ku drzwiom.

We drzwiach stoi straszna postać człowieka, z włosem zjeżonym przerażeniem, zgrozą, z błyskawicami w oczach.

Te błyski nienawiści ustąpią wkrótce wyrazowi szału, obłąkania, a powietrze rozedrze krzyk: „Precz! złodzieju! morderco"!

Wysokiéj wartości artystycznéj jest także druga powiastka „Oko w oko": historya przełomowéj chwili w życiu młodego człowieka, przeżytego, znudzonego, wyczerpanego wewnętrznie, czującego, że nic nie ma dla niego wartości i że trzeba mu umrzeć.

Chce więc... odejść dobrowolnie, mimo że matka pragnęłaby mu życie zrobić rajem, mimo że wszystkie zewnętrzne warunki układają mu się szczęśliwie, mimo że wyciągają się doń ramiona młodéj i zakochanéj narzeczonéj. Jego własne serce niezdolne kochać, stwardniało, zmęczyło się i nie ma wiary w miłość i w kobiétę. I oto, gdy błąka się wśród lasu z rewolwerem w ręku, szukając drzewa, pod którém położy się, aby skończyć, ogarnia go potężne życie natury, budzącéj się ze snu zimowego pierwszemi drgnieniami wiosny... i człowiek czuje się „spętanym i rozszarpanym między ciepło, ziemię i drzewa"... i żyje życiem przyrody, pada na mchy, tuli się do ziemi — matki, obejmuje ją — płacze — i czuje, „że wstanie ztąd i odejdzie innym, mocnym na życie i bóle, jak ta ziemia, która mu po raz drugi życie dała". I wstaje, jakkolwiek przejęty smutkiem dusz, przenikających wszystkie głębie, ale pełen nieznanéj dotąd tęsknoty, zdolności kochania wszystkiego i pobłażania wszystkiemu.

Oprócz tych psychologicznych i nastrojowych obrazków są w „Szkicach" wyborne studya chłopskie, bardzo realistyczne, nie idealizujące ludu, ale odzwierciadlające jego duszę, jego sposób myślenia, biedę, często wzruszającą rezygnacyę wobec nieszczęścia i śmierci, czasem znów przerażającą dzikość uczuć i chciwość ziemi i grosza.

Naturalizm, posunięty do ostatnich granic w obrazku „Śmierć", przypomina i „Ziemię" Zoli, i różne nowele ludowe Mapassanta, gdzie zwierze ludzkie ukazuje się bez żadnéj obsłonki cywilizacyjnéj.

„Tomasz Baran" odznacza się wielką prawdą życiową i liryzmem bez sentymentalności. „Zawierucha" jest obrazem śmierci dwojga dzieci z zimna, w śniegu, artystycznie wykończonym, budzącym jednak silne wspomnienia Sienkiewiczowskiego Jamioła. Nadzwyczaj żywo odczutém i ze znawstwem opisaném jest życie aktorów prowincyonalnych w noweli „Franek". Najmniéj prawdziwym, realnym wydaje mi się obrazek „Suka".

Szczegóły są archaiczne—z życia dawniejszych dworów wiejskich z przed lat najmniéj trzydziestu zaczerpnięte. Dziś można wprawdzie spotkać dziedziczki ograniczone i złośnice, ale jeżeli trzymają one do dziesięcioletnich córeczek nauczycielki za 180 rubli rocznéj pensyi i są tak ordynaryjne, że traktują owe wychowawczynie jak sługi, a dzieci swe biją rzemienną dyscypliną, to należą wtedy do tych, co mieszkając w dworku słomą krytym, na folwarku kilkowłókowym, zamęczając się biedą i pracą,—nie posiadają pięknych dworów z pokrojem pałaców, otoczonych obszernym parkiem. Dziś

wszystko, nawet wieś, nawet odległa prowincya przyjęła nowe formy życia; wszystko złagodniało, a zarazem zbanalizowało się, nie zostawiając miejsca na wybryki ordynaryjnéj zamaszystości i despotycznéj fantazyi dawnych czasów. Głupota i egoizm niemniéj są brutalne w głębi swéj istoty, maskują się jednak same przed sobą i nie występują w dawnéj naiwnéj jaskrawości.

Tom „Szkiców i obrazków" zakończony kilkoma kartkami z podróży, wiązką „wrażeń włoskich" z 1895 r. Tutaj, jak zawsze u Reymonta, największe „wrażenie" sprawia na autorze, a z nim na czytelniku, pejzaż: słońce kładące się zielonemi plamami na zieleni drzew, mieniące się w tęczach wód i rozjaśniające żółtawość matową starych marmurów—jedném słowem natura—a obok natury nastrój, płynący z dawnych wspomnień.

Dziwnie jednak, że na téj ziemi klasycznéj nie piękne i wesołe bogi powstają z zapomnienia, ale ascetyczne postacie świętych, z ekstazą mistyczną w oczach i nimbem na skroni. Pielgrzymi duch wieje z tych kartek, jakieś umyślne szukanie czy natrafianie przypadkiem na miejsca cudami płynące, opromienione legendą i uświęcone pobożnością maluczkich. Oto kościół św. Antoniego w Padwie, domek Matki Najświętszéj w Loretto, Assyż, katakumby, odpust św. Januarego w Neapolu... a wszędzie głębokie odczucie religii tłumów, zbiorowego uniesienia, które kiedyś wywoływało ruchy mas tak potężne, jak wojny krzyżowe, a dziś zgina kolana tysięcy ludzi ogarniętych, zahypnotyzowanych pragnieniem cudu. I znów tu, jak wszędzie, gdzie Reymont może zagrać na duszy harmonią barw, wprowadzić ruch i życie tłumu, odznaczyć z tego tłumu pojedyńcze wyraziste postacie ludzkie i owiać całość nieuchwytnym a głębokim nastrojem, powstają obrazy żywe i piękne, odczute przez rdzennie artystyczną naturę i odmalowane z nadzwyczajną szczerością. Nadaje to owym „Wrażeniom" cechę poezyi i oryginalności, odróżniającą je od wielu podróży włoskich, przeciążonych estetyką i historyą.

A teraz co wnosi talent Reymonta nowego do naszéj literatury?... Wprowadza szczerze i świadomie naturalizm — ten sam naturalizm, który znając u Francuzów w jego wielkich przedstawicielach, zacząwszy od Balzac'a, a skończywszy na Zoli, Daudet'cie i Maupassant'cie, odpychaliśmy ze wstrętem i strachem od naszych penatów domowych. Usiłowania pani Zapolskiéj, aby go nam narzucić, nietylko musiały spełznąć na niczém, ale pogłębić odrazę do tego kierunku, ponieważ brała go ona przeważnie od strony płaskiéj i brudnéj i nie umiała wyjść z niewolniczego naśladownictwa swych

mistrzów. Reymont daje nietylko brutalność scen i bezwzględność wyrażeń, ale i potężną poezyę, przenikającą, a czasem rozsadzającą dzieła Zoli, i ogromną, bezgraniczną miłość natury Maupassant'a, daje nie przez wyrozumowany zamiar, ale przez popęd intuicyjny—bo je ma w duszy. Nigdy nie jest szczerszym jak wtedy, gdy przypada do piersi matki-ziemi i jéj sokami ożywczemi, jéj bogactwem i pragnieniem życia leczy własny pesymizm, przenikając do głębi.

Melancholia omracza duszę, ze wszystkich stron wyłaniają się mary zwątpień, człowiek zstępuje do dantyjskiego piekła cierpień ludzkości, widzi mękę bez końca, bez nadziei i napróżno szuka ratunku, buduje systemy nowe, stawia rusztowania i fundamenty pod nową budowę — wszystkie rozsypują się jak domki z kart w ręku dziecka—a oczy wpatrzone w ciemność napróżno oczekują świtu... i we własném królestwie osobistego losu żadnéj gwiazdy dojrzéć nie może—jedne nie zajaśniały wcale, drugie zagasły, nuda tylko rozpościera się zwycięzko i znużenie śmiertelne ogarnia. Ale — oto oczy odwracają się od tajników duszy na świat zewnętrzny, i słońce gra blaskami w każdéj kropli rosy, w każdéj barwie kwiatu, wiosenne tchnienie wiatru rozszerza płuca, tysiączne szmery przenikają powietrze, zlewając się w jedną wielką symfonię, radość instynktowa, żywiołowa przenika istotę ludzką, pozwala jéj pić w całéj pełni uciechę święta natury, odczuwać rozkosz chwili, żyć chwilą — rozumiéć, że mimo kataklizmów osobistych i ogólnych, mimo rozczarowań i rozpaczy, życie jest wielkiém dobrem — bo jest życiem. To stopienie się z naturą, obcowanie z nią i radość z jéj odczuwania daje nam poetyczny naturalizm Reymonta.

Wchłania on zresztą w siebie prądy późniejsze, nowoczesne: walka jednostki o szczęście osobiste, walka indywidualizmu z prawami społecznemi i ducha niespokojnego z pętami obowiązków i konwencyonalnéj etyki, słowem wszelkie bunty i szarpania Ibsenowskie znajdują w nim oddźwięk. Z naszym nowym modernizmem symbolicznym, którego świetnym przedstawicielem jest Stanisław Przybyszewski, ma Reymont wspólne nadzwyczaj silne poczucie nastroju i tęsknoty przenikającéj wszechświat, ma również wspólne pojęcia o istocie i zadaniach szktuki i niektóre właściwości modernistyczne stylowo-językowe.

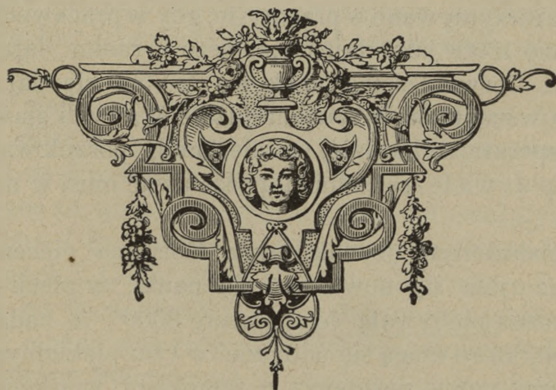
Różni się jednak zasadniczo w tém, że gdy najnowszy kierunek zwraca się wyłącznie w głąb człowieka, patrzy jedynie w duszę, w oderwaniu od świata i natury, i usiłuje z niéj wyprowadzić pierwiastki nowe, zaledwie przeczuwane a niezbadane dotąd, —Reymont bierze człowieka tak, jak on mu się przedstawia w związku z na-

turą, w jéj ramach, na tle stosunków otoczenia, czasu i miejsca. Bogactwo i różnorodność zjawisk świata zewnętrznego zbyt uderza i zapładnia jego wyobraźnię, aby je mógł odrzucać, i sprowadzać swą sztukę do najprostszéj formuły badań fizyologiczno-psychologicznych; chwyta z rozkoszą barwy, linie, światła i cienie i maluje je szeroko, z rozmachem.

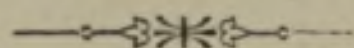
Ponieważ jest to talent młody, który się ciągle kształci, wyrabia i rozwija, trudno oznaczyć kres jego działalności, ani przepowiedzieć, czy zatrzyma się w dzisiejszych granicach swéj działalności, czy téż złamie je, przekroczy i zmieni drogę.

W każdym razie, w tym czy w owym kierunku, pójdzie naprzód, coraz wyżéj — a to, co już pozostawił po za sobą, przedstawia dorobek artystyczny niepospolity, pełen siły, poezyi i oryginalności.

Marya Krzymuska.



CHEMIA PRZY WYSOKICH TEMPERATURACH.



Temperatura 1700°—1800° była do niedawna najwyższém gorącem, które otrzymywano w przemyśle, gdy w pracowniach chemicznych uważano 1600° jako najznaczniejsze i rzadko dające się stosować gorąco. Doświadczenia naukowe trudno się dają przeprowadzać w tych warunkach, albowiem dużo ciekawych zjawisk odbywa się przy temperaturze bardziéj podniesionéj; poszukiwania są więc ograniczone, a wiele zagadnień pozostawać musi w mrokach tajemnicy.

Z wynalezionym jednak przez Moissana piecem elektrycznym [1]) rozpoczyna się nowa era dla nauki, w piecu tym bowiem otrzymać można niebywałą temperaturę 3500°, a badanie zjawisk chemicznych, które mogą się odbywać w tym piekielnym żarze, stanowi przedmiot nowy, nieznany, o szerokiém znaczeniu dla całéj nauki przyrodniczéj, ważne rzucający światło na wiele kwestyi geologicznych, odnoszących się do sposobu, w jaki powstały różne pokłady, skały i minerały. Nie mniéj znaczne są usługi, które wynalazki Moissana oddają przemysłowi.

Przyjrzyjmy się bliżéj wspaniałym badaniom Moissana, zobaczmy jak się przed nim otwarły wrota do krain jeszcze nieeks-

---

[1]) Henri Moissan. *Le four electrique.* Paris, 1897.

ploatowanych, jak ze wszech stron wychyliły się doń tematy i zjawiska nieznane do owego czasu dlatego, że nauka nie miała do nich odpowiedniego klucza,—nie znała mianowicie sposobu wytworzenia gorąca, przy którém zjawiska te powstają. Moissan, rzec można, w przeciągu krótkiego czasu stworzył nową gałęź chemii, którą nazwał „chemią wysokich temperatur,” — dając tém wymowny przykład, że jeśli berło chemii organicznéj należy oddać w dzisiejszych czasach Niemcom, to Francuzi dzierżą pierwszeństwo w chemii mineralnéj.

Piec elektryczny Moissana jest zastosowany do badań naukowych; wprawdzie przed nim kilku uczonych próbowało zastosować łuk Volty do otrzymania silnego gorąca, lecz przyrządy te były obmyślane dla przemysłu i przeto wielkie, ciężkie, mało podatne do skomplikowanych i bezustannych prób naukowych; dopiéro w rękach Moissana piec elektryczny został odpowiednio udoskonalony, a rezultaty naukowe otrzymane za jego pomocą zadziwiły i poruszyły świat naukowy.

Piec elektryczny Moissana nie ma na celu wytwarzać tanim kosztem jaknajwiększą ilość substancyi, co ważne miałoby znaczenie dla przemysłu,—uczonemu francuskiemu chodziło przedewszystkiém o to, aby jaknajwiększą siłę elektryczną zamknąć w jaknajmniejszym obrębie i przez to otrzymać temperaturę możebnie najwyższą.

Pierwszy piec elektryczny Moissana zbudowany był z wapna niegaszonego: składał się poprostu z dwóch cegieł wapiennych, położonych jedna na drugiéj; w dolnéj, na środku, wydrążono małe zagłębienie, służące za tygiel do przyjmowania ciał, mających podledz silnemu ogrzaniu, i do którego doprowadzone są elektrody z dwóch stron przeciwnych. Cegła górna służy za nakrywkę. Pod tą pokrywą, grubą na 3 centymetry, iskra elektryczna przelatuje przez dziesięć minut; można wówczas cegłę ową spokojnie podnieść ręką, temperatura bowiem zewnętrznéj jéj powierzchni nie uległa zmianie, gdy na wewnętrznéj wapno zostało roztopione i wytwarza światło o blasku tak silném, że oko nie jest w stanie znieść tego oślepiającego promieniowania. Niewielka zatém warstwa wapna powstrzymuje emisyę wielkiego gorąca, gdyż wapno jest bardzo złym przewodnikiem ciepła, i w danym wypadku znakomicie ochrania wnętrze pieca od strat cieplika przez promieniowanie.

W niektórych razach Moissan używał pieca zbudowanego z węglanu wapnia, gdyż ciało to przedstawia opór jeszcze znaczniejszy na działanie gorąca, trudniéj się od niego topi, a przytém łatwo

dostać go można w większych odłamach, zdatnych do obrobienia.

Mamy więc w piecu Moissana przyrząd prosty i praktyczny; posłużył on przedewszystkiém do przetopienia i skrystalizowania rozmaitych tlenków metalicznych, znanych do owego czasu jako niezmiernie oporne na działanie gorąca. Takiém ciałem jest wapno niegaszone, Moissan doprowadził je jednak do stanu płynnego: w piecu elektrycznym wapno wre i dystyluje się jak woda, stygnąc zaś, ścina się w piękne kryształy białe. W podobny sposób zachowują się tlenki barytu, strontu i magnezu, ten ostatni wymaga jednak do przetopienia się temperatury najwyższéj. Glinka, czyli tlenek glinu, dostarczyła pięknych i ciekawych doświadczeń; Moissan poddawał ją wpływowi gorąca, umieściwszy w tygielku, zrobionym z węgla, a to dlatego, że wytworzyłaby związki z materyałem pieca; po przetopieniu, glinka krzepnie i wytwarza kryształy bezbarwne, jeśli jednak zmieszamy ją z niewielką ilością tlennika chromowego, wówczas kryształki przybieraję śliczny kolor czerwony, mamy sztuczne rubiny. Nie są to wprawdzie kryształy pięknie ukształtowane, krystalizacya odbywa się tu za prędko, za raptownie: a wiadomo, że wielkie kryształy, prawidłowo uformowane, wytwarzają się jedynie przy powolném i stopniowém zastyganiu. Niemniéj jednak szybkość, z jaką się dają fabrykować rubiny, nie przewyższająca 10—15 minut, jest ważną zaletą, i kto wié, czy przy ulepszeniach nie da się otrzymać tą drogą ładniejszych okazów.

Moissan nie prowadził daléj tych doświadczeń, gdyż ziomkowie jego Frémy i Verneuil na mocy innéj metody doszli do otrzymania pięknych kryształów rubinu i wiele lat poświęcili téj syntezie.

Jeśli glinkę poddamy działaniu łuku Volty przez czas trochę dłuższy, wówczas następuje tak szybkie parowanie roztopionéj masy, że zdjąwszy pokrywę pieca, spostrzegamy ze zdumieniem, że nic w nim nie ma: glinka zupełnie się ulotniła.

W dalszym ciągu przyszła koléj na tlenki żelaza, dwutlenek manganu, zwany pospolicie braunsteinem, tlenki niklu i kobaltu — wszystkie topniały w piecu elektrycznym, a stygnąc, ścinały się w kryształy rozmaicie zabarwione: tlenek niklu jest zielony, — kobaltu różowy, — a tlennik żelaza traci częściowo swój tlen i przechodzi w odmianę zwaną tlenkiem magnetycznym. Sole podlegają wszystkie rozkładowi w temperaturze pieca elektrycznego; rozkład ten zasadza się często na tém, że substancya złożona rozpada się na ciała od siebie prostsze, które jednak nie są pierwiastkami, gdy

w innych razach rozszczepia się na swoje najprostsze składniki, czyli elementy. Nawet najbardziéj trwałe substancye mineralne, jak krzemian magnezu, którego odmiana znana jest powszechnie pod nazwą azbestu, ulegają rozkładającemu wpływowi gorąca.

Najwytrzymalsze metale można przetopić w tym piekielnym żarze, można je doprowadzić do wrzenia i dystylacyi; a więc miedź ulatnia się z niezmierną szybkością; srebro, łatwiéj topliwe, wre i dystyluje się tak, jakby nie było metalem; żelazo, uran, cyna, złoto, mangan, platyna nawet przemieniają się w płyny szybko parujące.

Pierwiastki niemetaliczne przedstawiają nie mniéj ciekawe zjawiska: krzem topnieje i wre z szalona prędkością, bor rozpalony do czerwonegu żaru otacza się zieloną aureolą i znika, czyli ulatnia bez uprzedniego przetopienia się, węgiel zaś bezkształtny przemienia się w krystaliczny grafit.

Wreszcie związki takie, jak krzemionka lub piasek (dwutlenek krzemu), topnieją, wrą i dystylują się ze zdumiewającą łatwością,— jedném słowem, ciała proste i związki najtrwalsze podlegają przetopieniu w temperaturze dostarczonéj przez piec elektryczny, a nawet przybierają postać gazową,—dość, że znikają, i jeśli przedłużymy cokolwiek doświadczenie, to tygielek możemy zastać pusty.

*

* *

Węgiel jest ze wszystkich ciał prostych pierwiastkiem przedstawiającym najwięcéj odmian; rozmaitość ta zwróciła oddawna uwagę badaczów, témbardziéj że odmiany węgla, weźmy naprzykład węgiel kamienny, grafit, dyament, sadzę, węgiel kostny, lub drzewny, koks i t. p., są bardzo różne pod względem swych własności. Utarło się już oddawna porównywać twardość, przezroczystość i blask dyamentu z miękkością i czernią grafitu lub sadzy, — krystaliczną postać grafitu lub dyamentu z bezkształtnością brył węgla kamiennego i t. p. Wiadomo, jak ważną rolę węgiel odgrywa w przyrodzie: jest to pierwiastek będący podstawą całego świata żyjącego, bez niego nie ukształtuje się najprostsza komórka, zarówno jak i najbardziéj złożona, a chemia ciał organicznych jest w gruncie rzeczy tylko chemią związków węgla; nic téż dziwnego, że związki te badano, zgłębiając ich skład mocą analizy, lub przeciwnie starano się odtworzyć syntetycznie, próbując, czy nie uda się sprostać przyrodzie i otrzymać w pracowni naukowéj te substancye, które

powstają wewnątrz ciał żywych. Rezultaty otrzymano świetne, chemię związków węgla doprowadzono w naszém stuleciu do wielkiéj doskonałości, postawiono ją na wyżynie imponującéj, z któréj tryumfalnie spogląda na inne nauki, na ludzkość, — na samą nawet przyrodę. Rzecz jednak szczególna, samym węglem, będącym podstawą téj pięknéj gałęzi wiedzy, zajmowano się stosunkowo bardzo niewiele: poświęcano mu skąpą garstkę doświadczeń, nie poznano nawet głębiéj jego własności. Dopiéro Moissan, któremu chodziło głównie o otrzymanie sztucznych dyamentów przez odpowiednie skrystalizowanie się zwyczajnego węgla, zajął się gruntownie rozpatrzeniem własności wszelkich odmiau tego pierwiastku: chciał przedewszystkiém poznać o ile można najdokładniéj materyał, co mu miał służyć do wytworzenia kryształów najpiękniejszych i najbardziéj, cenionych. To téż znakomity ten uczony postawił wysoko naszą znajomość odmian węgla, duże przez to kładąc zasługi dla nauki.

Gdy Lavoisier wykazał, że dyament jest węglem krystalicznym, wówczas ze wszech stron próbowano szczęścia w sztucznéin odtworzeniu tego kryształu. Nikt jednak nie uznał za stosowne obznajmić się dokładnie z samym pierwiastkiem, Moissan zaś przystąpił do dzieła z olbrzymim zapasem wiadomości nowych, zdobytych samodzielnie. Przedewszystkiém doszedł on do przekonania, że jeśli mu się uda węgiel skrystalizować w postaci dyamentu, to kryształy te będą bardzo drobne, podobnie jak otrzymane przez Daubréego sztuczne okazy kryształu górnego wyglądają licho wobec naturalnych, a poszukiwania Frémyego dostarczyły mu dopiéro po bardzo długich i mozolnych próbach rubinów obdarzonych odpowiednim blaskiem i zabarwieniem, przedewszystkiém zaś cokolwiek znaczniejszą objętością. Mikroskop dużą był pomocą w tych studyach.

Niezmiernie ważną kwestyą jest poznanie mineralnego środowiska, wśród którego dyament spotyka się w przyrodzie, i substancyi, która mu służy za rozpuszczalnik przy krystalizowaniu się: w tym celu należy zbadać niewielką ilość obcych materyi, spotykanych zazwyczaj w kryształach. Już Dumas twierdził, że analiza popiołów, pozostających po spaleniu dyamentu, niezmiernie ważne może tu oddać usługi, wskazując na substancye, wśród których utworzyły się kryształy dyamentu drogą naturalną. Dyamenty przezroczyste, bezbarwne, zawierają tak niezmiernie drobną ilość zanieczyszczeń, że Moissan zwrócić się musiał do okazów bardziéj mętnych lub zabarwionych. Badania te wykazały stałą obecność

żelaza w kryształach dyamentu: metal ten stanowi prawie całkowitą wagę popiołów, które zostają po spaleniu dyamentu w tlenie. Na przylądku Dobréj Nadziei ziemia jest często przemieszana z dość znaczną ilością dyamentów, Moissan badał tę ziemię pod względem analitycznym i dostrzegł obok większych okazów mnóstwo drobnych kryształków dyamentu, widzialnych tylko pod mikroskopem, przezroczystych lub czarnych, przymięszanych z drobnemi kryształami grafitu. Piaski dyamentodajne w Brazylii przedstawiają to samo zjawisko, znajdujemy więc w nich stale obok większych kryształów dużo proszku dyamentowego i grafitu. Wreszcie analiza różnych meteorytów wykazała, że zawierają drobne dyamenty przezroczyste, żółte lub czarne, a także grafit, wykazując tém, że węgiel nie jest obcym innym planetom.

Stała obecność żelaza w dyamencie, a także w glebie, piaskach lub skałach, zawierających drogocenny ten kryształ, nie wyda się nam tak niezmiernie dziwną, jeśli weźmiemy pod uwagę ten fakt pierwszorzędnego znaczenia, że żelazo wrące doskonale rozpuszcza w sobie węgiel, szczególnie przy wysokiéj temperaturze pieca elektrycznego. Żelazo, stygnąc, wydziela z siebie węgiel w postaci krystalicznéj grafitu, a kryształy są tém piękniejsze i bardziéj błyszczące, im większego użyjemy gorąca: to téż grafit spotykamy stale obok dyamentu w przyrodzie. Są zresztą i inne metale, jak srebro, glin, chrom, mangan, nikiel, kobalt, uran, wapień, stront, baryt, platyna,—wypuszczające w stanie wrzenia znaczne ilości węgla, a węgiel ów przy ochładzaniu przechodzi stale w postać grafitu, wytwarzając piękne nieraz kryształy.

Niemniéj ważném i ciekawém jest zjawisko, dające się dostrzedz przy działaniu podniesionéj temperatury na rozmaite odmiany węgla: wszystkie bez wyjątku, zarówno dyament jak sadza lub węgiel drzewny, wszystkie przemieniają się na grafit, — ten zaś, ogrzany w piecu elektrycznym do możliwie wysokiego gorąca, paruje, ulatnia się, przybiera postać gazu. Ciała stałe przechodzą zazwyczaj pod wpływem gorąca w stan ciekły, a przy wzrastającéj ciepłocie, przybierają postać gazów; arsen, bor i węgiel są tu wyjątkami, pod zwykłém bowiem ciśnieniem nie udało się Moissanowi przetopić węgla: pierwiastek ten, nie przechodząc przez stan pośredni, przemienia się odrazu na ciało lotne; można go wówczas dystylować, a oziębiwszy parę węglową, otrzymać go napowrót w postaci stałéj grafitu. Pod silném jednak ciśnieniem węgiel podlega pewnemu rozmiękczeniu, a Moissan przypuszcza, że przy pomocy ciśnień jeszcze znaczniejszych pierwiastek ten da się otrzymać w postaci

płynnéj. Niezależnie więc od tego, czy użyjemy roztopione metale, takie jak żelazo, w celu rozpuszczenia węgla i wydzielenia go następnie z téj masy w postaci stałéj, — lub téż czy parę węglową ochłodzimy i otrzymamy w kryształach, niezależnie więc od sposobu użytego przy krystalizacyi, węgiel ścina się, wytwarzając zawsze grafit.

Niezrażony tém niepowodzeniem, Moissan rozpoczął nowe badania, aby się przekonać, jakie nieznane mu dotychczas czynniki zachodzą przy krystalizowaniu się dyamentu w przyrodzie, widocznie bowiem wysoka temperatura i roztopione żelazo nie wystarczają do ukształtowania się tego kryształu; przyszło mu wówczas na myśl, że takim ważnym czynnikiem może być ciśnienie, gdyż znane mu były doświadczenia Troosta i Hautefeuilla, wykazujące, że pod wpływem silnego bardzo ciśnienia fosfor czerwony bezkształtny można doprowadzić do krystalizacyi, a studyując pewien meteoryt, zawierający drobne dyamenty, doszedł do przekonania, że utworzyć się musiały w łonie masy żelazistéj pod silném bardzo ciśnieniem. Zaczął więc usilnie zgłębiać warunki i wpływy geologiczne, wśród których tworzy się dyament w przyrodzie, zaczął badać pokłady i rozpatrywać przyczyny naturalne, które złożyły się na powstanie drogocennego tego klejnotu. Wkrótce doszedł do przekonania, że ciało to pochodzi z głębin ziemi, powstać musiało pod silném bardzo ciśnieniem i w bardzo podniesionéj temperaturze, — kryształy musiały być zapewne z siłą wyrzucone w górę i zmieszane z innemi minerałami: dlatego téż dyamenty nie są nigdy przyrosłe do jakiéj skały, wdrążone w jaki minerał, lecz rozrzucone pojedyńczo, lub słabo zlepione z okruchami innych materyi.

W kopalniach dyamentów widzimy często skały granitowe, które w mniemaniu wszystkich geologów powstały pod ciśnieniem i pochodzą z warstw głębokich. Niektóre dyamenty porysowane są w charakterystyczny sposób, rysy te powstały zapewne, powiada Daubrée, przez wzajemne tarcie jednych kryształów o drugie podczas wędrówki dyamentów z pokładów głębszych do bardziéj powierzchownych. Zdarza się wreszcie, że piękny okaz dyamentu, wydobyty z ziemi, po niejakim czasie pęka lub rozpada się na okruchy, — zjawisko to jest jakby objawem braku równowagi fizycznéj, pochodzącéj z wysokich ciśnień, które prawdopodobnie działały w chwili wytwarzania się kryształu. Z tém wszystkiém, kryształy dyamentu są nieraz bardzo pięknie ukształtowane, tak jakby powstały wśród masy płynnéj, i patrząc na nie, zapytujemy, jakim był rozpuszczalnik użyty przez przyrodę?

Opierając się na własnościach węgla i na licznych doświadczeniach, można twierdzić, że metale roztopione najlepiéj rozpuszczają węgiel, a z pomiędzy nich palmę pierwszeństwa oddać musimy żelazu. Jeśli więc przy ciśnieniu normalném węgiel wydziela się z łona masy żelazistéj w postaci grafitu, to dyamenty muszą powstawać z niéj pod silném ciśnieniem.

Moissan zmienił więc bieg swych doświadczeń, dołączając do wysokiéj temperatury znaczne bardzo ciśnienie. Postępował mianowicie w ten sposób: tygielek napełniony surowcem, przesyconym węglem, ogrzewał w piecu elektrycznym tak, że cała masa stawała się jednolitym płynem, poczém rozgrzany tygiel oziębiał raptownie włożeniem go do zimnéj wody; wówczas masa zewnętrznie oziębiona krzepła na powierzchni, gdy wewnątrz jeszcze rozgrzana pozostawała płynną. Tym sposobem wywiązywało się w wnętrzu płynném bardzo silne ciśnienie, gdyż żelazo rozszerza się stygnąc, tak jak woda. W tych warunkach, wewnątrz stopu żelaznego, obok niewielkiéj ilości grafitu, tworzą się dyamenty. Są one małe — jedne czarne, drugie przezroczyste, lecz przedstawiają wszystkie cechy fizyczne i chemiczne dyamentu naturalnego. Pierwsze kryształy otrzymane sposobem syntetycznym były tak drobne, że można je było rozpoznać jedynie pod mikroskopem, — późniéj, ulepszając wciąż swą metodę, Moissan otrzymał dyamenty większe, o $^4/_{10}$ milimetra średnicy.

W ostatnich czasach Frank wpadł na myśl, że dyamenty mogą się znajdować w zwykłych odmianach żelaza, dostarczanych przez przemysł. Żelazo bowiem zawiera w sobie zawsze mniejszy lub większy procent węgla, dotychczas jednak znajdywano tylko grafit. Po długich poszukiwaniach Frank odosobnił ze stali proszek w którym znajdowały się mikroskopijne kryształy dyamentu. Stal kuta i walcowana zawiera zawsze pokruszone dyamenty, w téj zaś, która nie uległa tym zabiegom, kryształy występują zupełnie wyraźnie w postaci ośmiościanów. Im wyższą była temperatura przy przetopieniu żelaza, tém więcéj znajdujemy w niém dyamentów — nawet w produktach wielkiego pieca znajdują się te drogocenne kryształy.

Ulepszając wciąż swą metodę, Moissan zdoła prawdopodobnie otrzymać okazy o większych wymiarach. „wątpliwém jest jednak, powiada ten uczony, abyśmy mogli urabiać bardzo wielkie dyamenty, gdyż zastanowiwszy się nad ogromem sił, których używa przyroda podczas podobnéj krystalizacyi, te, któremi rozporządza nauka, wydają się bardzo marne”. Niemniéj jednak, choć prak-

tycznie nie dająca się dziś jeszcze wyzyskać synteza dyamentu, jest jedném z piękniejszych zagadnień, które chemia lat ostatnich rozwiązała pomyślnie pod względem naukowym.

*

* *

Wysoka temperatura pieca elektrycznego dozwoliła Moissanowi wykonać niektóre zjawiska, które uznawano do jego czasu za niemożebne do otrzymania.

Krzemionka, czyli piasek, o któréj miano przekonanie, że niczém nie da się pozbawić tlenu, czyli odtlenić, zmięszana z węglem i ogrzana do odpowiedniéj temperatury w piecu elektrycznym, ulega rozkładowi, gdyż węgiel zabiera jéj tlen, wytwarzając gazowy kwas węglany, w tygielku zaś pozostaje czysty krzem w postaci pierwiastku. W podobny sposób zachowuje się wapno niegaszone i glinka: para glinki, łącząc się z parą węgla, wydziela kwas węglany, a glin metaliczny osadza się w stanie czystym. Przemysł glinowy utworzony we Francyi przez Henryka Sainte Claire Deville'a w 1854 r. przybiera w naszych czasach potężne rozmiary; odkąd metal ten daje się otrzymać przez rozkład glinki, dzięki silnym prądom indukcyjnym, fabrykacya jego stała się łatwą i praktyczną, a cena niezmiernie spadła i jeszcze się zapewne obniży z powodu szybkiego rozwoju téj gałęzi przemysłu.

Znakomite własności tego lekkiego metalu pozwalają stosować go do przeróżnych użytków, tembardziéj że i aliaże glinowe obdarzone są bardzo dodatniemi cechami. Jednakże glin otrzymany drogą elektryczną nie jest nigdy zupełnie czysty, zawiera najczęściéj przeróżne domieszki obce, jak żelazo, krzemionkę, a nawet sód, węgiel i azot; metalurgowie wiedzą dobrze, do jakiego stopnia drobne te naleciałości zmieniają własności metalu. Tém należy tłómaczyć często dające się dostrzedz zjawisko, polegające na tém, że niektóre przedmioty glinowe doskonale odpowiadają swemu przeznaczeniu, gdy inne o składzie cokolwiek odmiennym zawiodły pokładane w nich nadzieje. Moissan pierwszy zwrócił uwagę na te zanieczyszczenia glinu, tak ujemnie wpływające na własności chemiczne i fizyczne metalu, i pragnąc złemu zaradzić, obmyślił nową metodę otrzymywania aliaży glinowych, dzięki któréj metale pozbawione są wszelkich domieszek obcych i dającą możność wytwarzania wielu nowych połączeń.

Chrom jest metalem coraz to więcéj znajdującym zastosowań w przemyśle, otrzymanie go jednak w stanie czystym było szalenie trudne, nie można go było wprost przyrządzić w ilości znaczniejszéj, nic więc dziwnego, że kosztowny ten metal nie był dostatecznie wyzyskany w praktyce. Skoro jednak spostrzeżono, jak cudowne własności nadaje stali, wówczas zaczęto przyrządzać aliaż żelaza z chromem, który okazał się jednak mocno zanieczyszczony węglem. Moissan podał sposób otrzymywania większych ilości stali chromowanéj i zbadał dokładnie własności chromu; pod wpływem wysokiéj temperatury pieca elektrycznego, chrom przedstawia się w postaci płynu błyszczącego i srebrzystego, przypominającego rtęć, a to pn ieje jeszcze trudniéj od platyny.

Tlenki manganu odtleniać można w piecu elektrycznym w przeciągu kilku minut, a zjawisko odbywa się tak pomyślnie, że daje się stosować do fabrycznego przyrządzania manganu metalicznego w przemyśle. Molibden, uważany przez długi czas, jako nietopliwy, daje się otrzymywać według téj metody w ilości dwóch kilogramów na godzinę; uran, vanad o którym Roscoë powiadał niedawno, że należy do ciał dających się przetopić najtrudniéj, wolfram,—wszystkie te pierwiastki Moissan otrzymał w znacznéj ilości (gdyż na kilogramy), w stanie niezmiernie czystym, zbadał ich cechy, poznał surowce i stopy, które ciała te wytwarzają, zanotował ciekawą własność uranu chętnego łączenia się z azotem, zaznaczył, że wolfram zbliża się bardziéj do ciał prostych niemetalicznych. Tę ostatnią cechę dzieli z nim tytan, pierwiastek mało znany aż do czasu, gdy Moissan wyprodukował znaczną jego ilość i poddał go szeregowi doświadczeń. Tytan posiada ciekawą własność chętnego łączenia się z azotem, gdyż pali się nawet w atmosferze tego gazu, a przytém jest ciałem najtrudniéj topliwém z pomiędzy tych wszystkich, które znane są nauce,—wobec niego chrom, wanad i molibden są metalami topiącemi się z niezmierną łatwością.

W ostatnich wreszcie czasach Moissan zdawał sprawę przed akademią paryską o cechach wapnia metalicznego. Pierwiastek ten odznacza się własnością rzadką i cenną, polegającą na łatwém łączeniu się z azotem; jeśli kawałeczek czystego wapnia zamkniemy pod dzwonem napełnionym azotem, to zauważymy, że pod wpływem ogrzewania srebrzysty ten metal zmienia barwę, żółcieje, brunatnieje, przybiéra kolor coraz to ciemniejszy, jednocześnie zaś ubywa azotu,—przy temperaturze zaś czerwonego żaru wapień zapala się gwałtownie i wypala wszystek azot. Powstaje tym sposobem nowy związek, nazwany przez swego wynalazcę azotkiem wapnia, a któ-

remu rokuje świetną przyszłość. Ciało to bowiem, oblane wodą, rozkłada się z obfitém wydzieleniem amoniaku: tym sposobem azot atmosferyczny przerabiamy na nawóz pierwszorzędne mający znaczenie przy uprawie—amoniak bowiem jest związkiem wielce poszukiwanym przez rolników.

Moissan próbował również łączyć krzem, bor i węgiel z metalami i związki tym sposobem otrzymane nazwał krzemkami, borkami i węglikami. Krzemki są nieraz obdarzone szaloną twardością, krzemek tytanu na przykład, lub niemetaliczny krzemek boru przewyższają pod tym względem dyament--a połączenie boru i węgla daje substancyę o twardości tak znacznéj, że nietylko rysować, ale z łatwością można nią szlifować dyamenty. To téż dyament, od najdawniejszych czasów trzymający pierwszeństwo w skali twardości wszelkich minerałów, musi dziś ustąpić miejsca tym sztucznym wytworom, otrzymanym dzięki szalonemu gorącu.

Najciekawsze jednakże i najwięcéj znajdujące zastosowań są węgliki. Do czasów Moissona związki te znano bardzo powierzchownie: wiadomém było wprawdzie oddawna, że niektóre metale w stanie roztopienia rozpuszczają w sobie węgiel,—węgliki otrzymywane jednak w owym czasie zawierały niewielką ilość węgla, czemu się zresztą nie należy dziwić, gdyż prawdziwe węgliki skrystalizowane powstają przy bardzo wysokiéj temperaturze. Piec elektryczny dozwolił Moissanowi przyrządzić i przestudyować cały szereg tych nowych związków, które okazały się bardzo doniosłe, jedne z powodu swych zastosowań w przemyśle, drugie stały się ważnym argumentem w rozklasyfikowaniu ciał prostych, inne wreszcie dostarczyły ciekawych danych dla geologii. Prostota składu chemicznego tych ciał ma duże znaczenie teoretyczne: „chemia w wysokich temperaturach jest bardzo prostą", powiada Moissan, pod wpływem bowiem silnego gorąca powstaje zawsze jeden tylko związek i to najprostszy jaki być może, odpowiadający wyrachowaniom teoretycznym i stwierdzający je bardzo wybitnie.

Najbardziéj znanym z tych związków jest węglik wapnia: jeśli mieszaninę wapna i węgla poddamy działaniu gorąca 3000°, wówczas wapno topi się, staje się płynném jak woda, przyczém węgiel łączy się z wapniem, tworząc krystaliczny węglik, a gazowy kwas węglany obficie się wydziela. Najważniejszą własnością tego ciała jest działanie jego na wodę, i oblany wodą węglik wapnia rozkłada się, wydzielając czysty acetylen, który jest gazem bardzo ważnym i wybitne stanowisko zajmuje dziś, jako środek oświetla-

jący. Acetylen wyrabiają dziś fabrycznie na wielką skalę dzięki téj metodzie i spożytkowywują go do oświetlania gmachów i ulic.

Węglik litynu zachowuje się pod wpływem wody zupełnie tak samo, a zatém wydziela acetylen czysty, gdy inne węgliki dają początek innym gazom: węglik glinu daje czysty metan czyli gaz błotny, węglik manganu wytwarza mieszaninę wodoru i gazu błotnego, gdy węgliki ceru, lantanu, toru i uranu dają mieszaninę rozmaitych gazów, składających się tak jak acetylen i gaz błotny z węgla i wodoru i przeto zwanych węglowodorami, przyczém powstają także węglowodory płynne i stałe.

Działanie wody na węgliki jest zjawiskiem duże mającém znaczenie w geologii. Przypuszczamy, że w pierwszych okresach geologicznych węgiel rozlany dziś w świecie organicznym istniał w postaci węglików. Wielka obfitość wapna i związków wapiennych, rozrzucona na powierzchni skorupy ziemskiéj zarówno jak i w warstwach najgłębszych, w formacyach nowszych i w najdawniejszych, łatwość, z jaką węglik wapnia rozkłada się pod wpływem wody — dają do myślenia, że metal ten ważną miał rolę w kształtowaniu się naszego globu. Gdy zważymy przytém, że węglik wapnia podlega działaniu powietrza, że rozgrzany do czerwonego żaru wydziela kwas węglany, wówczas przychodzi na myśl, że kwas węglany rozlany w powietrzu powstać musiał tą drogą, a zatém z węgla stałego związanego z wapniem.

Węgliki innych metali nie mniéj ważne miały zapewne znaczenie w tych odległych epokach: z ciał mineralnych, jakiemi są węgliki, przez proste oblanie wodą, powstają przy zwykłéj temperaturze związki organiczne, albowiem węglowodory, które się wydzielają w postaci gazowéj, płynnéj lub stałéj, są ciałami zaliczonemi w poczet ciał organicznych. Otóż nafta jest niczém innem tylko mieszaniną węglowodorów płynnych. Jakim sposobem oléj skalny, czyli nafta, powstaje w głębi ziemi? istnieją w tym względzie liczne hypotezy. Jedni z Englertem na czele utrzymują, że pierwotnym materyałem, z którego powstała nafta, są organizmy zwierzęce, gdy profesor Radziszewski utrzymuje, że oléj skalny jest rezultatem fermentacyi gnilnéj roślin. Humbold, Lapparent i inni przypuszczają, że powstanie nafty związane jest z procesami wulkanicznemi. Berthelot zaś, Mendelejew i Moissan utrzymują, że oléj skalny wytwarza się dzięki przemianom czysto chemicznym, wskutek działania pary wodnéj na roztopione jądro ziemi, bogate w metale, zawierające znaczną ilość rozpuszczonego węgla. Istnienie węglików dających

się rozkładać przez wodę, wydzielając mieszaninę ciał, z których złożoną jest nafta, rzuca nowy pogląd na teorye powstawania nafty.

Teorya ta nieobala jednak innych hypotez. Moissan twierdzi, że w wielu zapewne okolicach nafta powstaje drogą fermentacyi ciał organicznych, gdy w innych natura gruntu wskazuje na współudział w téj sprawie wulkanów, a wydobyta z głębokości 1200 metrów nafta pochodzi prawdopodobnie z rozkładu węglików metalicznych.

W pierwszych epokach geologicznych cała prawie ilość węgla w przyrodzie złożoną była pod postacią węglików, skoro jednak woda wzięła udział w historyi ziemi, wówczas powstały węglowodory, a późniéj dopiéro pod wpływem tlenu z powietrza wytworzył się kwas węglany czyli dwutlenek węgla.

Moissan twierdzi nawet, że niektóre wybuchy wulkaniczne powstają zapewne w skutek działania wody na węgliki zawarte w głębi ziemi, przyczém wydzielanie się gazów może być bardzo gwałtowne i burzliwe—wszyscy zresztą geologowie wiedzą o tém, że ostatnią oznaką działalności wulkanu jest wyrzucanie gazów węglowych, począwszy od węglowodorów, skończywszy na kwasie węglanym.

Wytworzone zatém przez uczonego francuskiego węgliki metaliczne znajdować się muszą w wielkiéj obfitości w głębi ziemi, miały one bardzo wybitną rolę w historyi tworzenia się pokładów, a i teraz biorą udział w wielu zjawiskach wulkanicznych. Związki te, powstające przy temperaturach niezmiernie wysokich, znoszące najpotężniejsze gorąco, istnieją zapewne na innych planetach. Piec elektryczny dobrze więc ilustruje tę odległą epokę, gdy ziemia była bryłą ognistą i gdy kręcąc się w przestworzu, rozlewała dokoła ciepło i światło.

Dr. Zofia Joteyko-Rudnicka.



W obozie rzekomych rozbitków.

„Prawda“, książka zbiorowa dla uczczenia dwudziestopięcioletniej działalności Aleksandra Świętochowskiego (1870—1895). Lwów, nakładem księgarni Altenberga; Petersburg, u K. Grendyszyńskiego, 1899.

„Kto z nas nie pamięta owych czasów, gdy w siódmym i ósmym dziesiątku lat zdążającego ku schyłkowi stulecia zaczęły do nas z Zachodu przenikać odgłosy wielkich teoryi przyrodniczych i filozoficznych i gdy młoda szkoła tak zwanych pozytywistów wystąpiła do śmiałéj i zaciętéj walki ze skostniałemi ideami szkoły staréj? — W tym wielkim boju duchowym odegrał jedną z pierwszorzędnych ról Aleksander Świętochowski... Wielkie idee filozoficzno-biologiczne, — pisma Darwina, Häckla, Huxley'a, Vogta, Büchnera i wielu innych myślicieli gorączkowo niemal były czytywane przez szerokie warstwy wykształconego naszego ogółu. Nowe idee wywoływały walki i burze, prasa konserwatywna obawiała się popularyzować teoryi transformizmu, młoda i postępowa szeroko ją rozpowszechniała, a Świętochowski, redaktor kilku z kolei najbardziéj poczytnych czasopism, występował zawsze jako gorący zwolennik teoryi ewolucyi, a raczéj, nie będąc sam przyrodnikiem, jako szermierz tych wszystkich kierunków w filozofii, które pod wpływem teoryi descendencyi powstały i na całości wiedzy potężnie zaważyły... Odwaga w wypowiadaniu prawdy, jasny i niezwykle trzeźwy umysł, niewzruszona stałość

przekonań i niezrównany talent pisarski złożyły się na to, że publicysta ten stał się w swoim czasie niejako przywódcą owego ruchu umysłowego w Warszawie“...

Tak się o znaczeniu dziennikarsko-naukowéj pracy Aleksandra Świętochowskiego wyraża prof. dr. Józef Nusbaum w książce zbiorowéj, wydanéj na pamiątkę dwudziestopięcioletniéj działalności twórcy „Nieśmiertelnych dusz”, „Aspazyi”, „Niewinnych“, Pięknéj”, „Duchów“. Lubo sama książka, z natury wydawnictw tego rodzaju, ma charakter przygodny, encyklopedyczny i niemal albumowy, a prace składające się na jéj zawartość, obok wielce urozmaiconéj treści i wagi, od drobnych, ulotnych aforyzmów i wierszyków do rozległych i specyalnych rozpraw, nie są ożywione jednym i tym samym duchem, to jednak górująca wśród nich postać jubilata i przewaga autorów bliżéj z nim spowinowaconych myślą, dążnością lub wspólnie przebytemi kolejami życia i propagandy, nadają całości pewien odrębny wyraz, pewien koloryt znamienny, pozwalający dość dokładnie sądzić o kierunku i rozmiarach owego ruchu umysłowego, jaki „wczorajsi młodzi” wywołali wśród społeczeństwa i w piśmiennictwie polskiém ostatniéj doby.

Jubilat niewiele zajął miejsca w ofiarowaném mu zbiorowém dziele. Gruby foliał o 522 stronicach wielkiéj, na *in quarto* zakrawającéj ósemki, obejmującéj ośmdziesiąt ośm traktatów i traktacików, utworów i utworków, wygląda z tego powodu jak parlament angielski, w którym osobistość naczelna odgrywa zaledwie rolę *speakera*,—owego sławnego „wielkiego mówcy”, co to swą wielkość zasadza na tém właśnie, iż nic zgoła nie mówi. Nieodzowny w podobnych upominkach portret na wstępie, dedykacya od pisarzów polskich, króciutki życiorys, szczegółowa bibliografia pism Świętochowskiego, sporządzona przez Stefana Dębego—oto już i wszystko prawie. W gąszczu zgromadzonych luki nie są zbyt widoczne. nie rzucają się na razie w oczy. W szeregach dawnéj opozycyi zachowawczéj, na krańcu niemal prawego środka, samotnie zasiadł Adam Pług z prześliczną smętną porafrazą sentencyi Hioba (VIII, 1) „bojowaniem jest żywot człowieka na ziemi”; w niejakiém od niego oddaleniu Stanisław Krzemiński, stały zawsze wróg wyłączności pozytywistycznéj tak w życiu jak i literaturze, nie przestał powtarzać groźnéj swéj przestrogi, „że najtrzeźwiejsi bodaj czy nie najczęściéj przypominają pijanych, — upijamy się samą trzeźwością“... Wszakże nieobecność gorliwszych niegdyś przeciwników hasła „wiedza to potęga” znacznie mniéj dziwi, niźli abstynencya o wiele liczniejszych przed laty onego zwolenników. Bądź co bądź, ci, co się

zgłosili, stanowią większość pokaźną, a uszykowali się w tak zwartą i ścisłą kolumnę alfabetyczną, że na pierwszy rzut oka niepodobna oprzéć się złudzeniu całości i jednorodności. Oczywiście, jednorodności téj, — pożądanéj być może w naszych warunkach, nikomu szukać nie radzimy. Nie znaleźlibyśmy jéj nawet zapewne w ciągu piśmienniczego zawodu samego Świętochowskiego, o którym przecież Marya Konopnicka w pięknym swym wierszu utrzymuje, iż zawsze był sobą. „Zawszem widziała łódkę twoją drobną po wielkiém morzu płynącą osobno, a tak spokojną, jakbyś wśród ogromu wód oceanu — czuł się w własnym domu... Za tobą były bezpieczne zatoki, tyś w burze płynął przez wiry i mroki i w nawałnicę, gromami co dyszy, niosłeś coś z własnéj pogody i ciszy... Wiem, tyś jest żeglarz, co w kruchéj łupinie zysków nie spławia, po zyski nie płynie... Wiem, tyś jest żeglarz, co w drodze nie liczy ani strat swoich, ni swoich zdobyczy, — bo nie dla siebie płynie i zdaleka — na drugim brzegu — zapłaty nie czeka"... W zwięzłéj notatce życiorysowéj bezimienny biograf powtarza to samo, z pewném jednak delikatném zaznaczeniem różnicowego odcienia, któryby zaznaczyć i uwydatnić należało, jako bynajmniéj jubilatowi nie uwłaczający, — przeciwnie, zaszczytny dla niego. Urodzony d. 28 stycznia 1849 r. w historycznym Stoczku na Podlasiu, z ojca Feliksa i matki Michaliny ze Skupiewskich, Świętochowski pobierał nauki naprzód w Siedlcach, następnie w Lublinie; wydział filologiczny skończył w Warszawie, w czerwcu 1870, w rok po przemienieniu Szkoły Głównéj na Uniwersytet z wykładem rosyjskim. Niebawem poświęcił się pracy literackiéj, zrazu w połączeniu z nauczycielską, potém wyłącznie i w bardzo krótkim przeciągu czasu „ciętością słowa, świetnością oryginalnego stylu, nieznurzonym zapałem w szerzeniu idei postępowych wyrobił sobie wybitne stanowisko jako publicysta..." Oceniając ów ruch pamiętny, „stanowiący nowy okres w naszym rozwoju i literackim i społecznym", biograf mniema, iż każdy bezstronny przyzna, że dzielniejszego, wytrwalszego, bardziéj utalentowanego, niż Świętochowski, szermierza obóz postępowy nie miał i że „dla otrząśnięcia umysłów z apatyi potrzeba było tak ostrego i namiętnego słowa"... Pozyskiwał niém Świętochowski entuzyastycznych wielbicieli, ale też „robił sobie i wrogów zaciętych". Od r. 1881 skupił swą działalność w założonym przez siebie tygodniku „Prawda". Tu zdobył sobie niezależność; tu w feljetonach p. t. *Liberum veto* „protestuje przeciwko wszelkiemu fałszowi, brakowi godności indywidualnéj i narodowéj i wogóle przeciwko różnorodnym chorobliwym objawom umysłów niedojrzałych lub

przejrzałych, które równowagi ducha utrzymać nie umieją"; tu wreszcie skwapliwością w dopomaganiu uczciwym i szlachetnym przedsięwzięciom na polu pracy społecznéj „przejednywa dawniejszych wrogów swoich, zdolnych odczuć i zrozumiéć przeciwnika"...

To przejednywanie wrogów, niegdyś „zaciętych", obecnie wyrozumialszych, wskazuje niewątpliwie na zaszłą zmianę, — lecz jaką? czy tylko pod względem formy, „ostréj" przed laty i „namiętnéj", czy téż może i pod względem treści, duchowo bardziéj „zrównoważonéj"? — Dobry materyał do odpowiedzi na to podał Władysław Kozłowski (ze Lwowa) w artykule p. t. „Stanowisko filozoficzne" Świętochowskiego, omawiającym jego rozprawę z r. 1876, „Ein Versuch die Entstehung der Moral-Gesetze zu erklären", napisaną w celu otrzymania stopnia doktora filozofii w uniwersytecie lipskim i wydaną w roku następnym, po polsku, ze znacznemi rozszerzeniami i uzupełnieniami, p. t. „O powstawaniu praw moralnych". Zasadniczą osnowę opracowania Kozłowski ujął w kilka twierdzeń przewodnich. Zjawiska życia ludzkiego powinny być badane według téj saméj metody, co i zjawiska przyrody. Żadnych wrodzonych instynktów moralnych o początku nadprzyrodzonym niema i być nie może. Jak prawa przyrody nie są jakiemiś bytami abstrakcyjnemi, któreby istniały po nad zjawiskami i niemi rządziły, lecz są poprostu oddziaływaniem na siebie tych zjawisk mocą własności stanowiących ich istotę, tak samo prawa moralne są wynikiem faktycznego oddziaływania na siebie ludzi, żyjących społecznie, — oddziaływania mającego swe źródło w ich uczuciach, popędach i mniemaniach. Byt nasz towarzyski nie jest wytworem sztucznym, obmyślanym jako zło mniejsze, zapobiegające większemu; człowiek, rodząc się i żyjąc w społeczeństwie, rozwija się pod jego wpływem i do jego warunków się przystosowuje. Jak pod wpływem świata fizycznego powstają w człowieku pewne upodobania i niechęci, pewne potrzeby, tak pod wpływem warunków społecznych wytwarzają się w nim uczucia moralne. Przez prawo moralne rozumiéć więc należy wszelką w pewnéj społecznie uorganizowanéj grupie ludzi powstałą i obowiązującą regułę, według któréj osobnik wolę swoją, wobec warunków jéj objawienia, kierować i według któréj chciéć powinien. Czyli innemi bardziéj uogólnionemi a własnemi Świętochowskiego słowami: „prawa moralne powstają z utrwalonych norm społecznie zjednoczonéj i uporządkowanéj ludzkiéj woli; ich rodowód, w głównych stopniach zawarty, przedstawia się w szeregu następnych przemian: z popędów woli rodzą się czyny, z czynów

ich normy (obyczaje), z norm ich formuły — moralne prawa". W całym powyższym wywodzie, podpartym w rozprawie erudycyą rozległą, niema choćby cokolwiek wyraźniejszéj wskazówki, iżby w r. 1876 Świętochowski ideową genezą powinności, wyobrażenia o tém, co byćby mogło i być powinno, upoważniał do jakiegokolwiek przeciwstawienia się normom, wynikłym z tego, co jest, co było, co się utrwaliło *de facto*. Tymczasem, przepołówmy dwudziestoletni od téj daty okres pisarskiéj działalności autora „Nieśmiertelnych dusz", których część pierwsza, „Ojciec Makary", ukazała się w tymże samym r. 1876, część druga, „Aureli Wiszar", w r. 1888, a część trzecia, „Regina", w r. 1889. Z wyjątkiem może niedoszłego do skutku odczytu, p. t. „Poeta, jako człowiek pierwotny" (1896) — z wielu względów niezrozumiałego, trudnego do wytłómaczenia, — nader wątpliwą jest rzeczą, azali nawet oczy Estreichera lub Dembego zdołałyby w drugiéj połowie téj działalności wyśledzić jedną choćby scenę, jeden ustęp, jedno zasadnicze określenie, któreby nie było formalném i kategoryczném zaprzeczeniem lipskiéj tezy doktoryzacyjnéj,—zaprzeczeniem zawsze wymowném, często wzniosłém, niekiedy nad wyraz energiczném i niemal gorączkowo-zapalném, wybuchowém. Wydaje się nieraz, że twórca „Pauzaniasza" ze szczególną zawziętością podkopuje i burzy te właśnie podwaliny swych dociekań naukowych, które niegdyś tak nieubłaganie zmierzały w kierunku przeciwnym bezwzględnemu nakazowi Kanta: w czynnościach twych bierz wzór nie z powszechnego postępowania innych, lecz przeciwnie, sam się zachowaj tak, aby czynność twoja była wzorem ogólnego zachowania się dla innych, gdyż — jak dodaje Carlyle — postęp prawdziwy w rozwoju stosunków ludzkich, szczęście i przyszłość świata zależą nie od mechanicznéj rachuby i fortunnego zestawienia się okoliczności zewnętrznych, lecz tkwią w nas samych, w wartości naszéj wewnętrznéj.

Nie w literze więc tylko, lecz w duchu, w przekonaniach autora „Duchów" dokonał się przewrót, który, nie stępiwszy w Świętochowskim temperamentu literackiego, skierował ostrze onego w inną, przeciwną stronę. Kiedy mianowicie to nastąpiło i z jakich powodów? Powody ukryte są zazwyczaj w tajnikach prywatnego żywota pisarza, w mistycznych głębinach jego jaźni; jeden drobny uśmiech zacnego człowieka, jego jedno życzliwe uściśnienie dłoni, opadającéj nam bezwładnie, zdolne są często wywalić nam z duszy najmocniejsze, najgruntowniéj zdawało się osadzone zręby logiki i doświadczenia. Postronnym nie wolno dotykać tkliwych tych sprężyn duszy. A co do czasu, kiedy się owo przeobrażenie—mniéj

więcéj głębokie—odbyło, Alfred Nossig, jeden z bliższych znajomych jubilata, zapewnia we wspomnieniu swém, p. t. „Spotkanie z Świętochowskim”, że nastąpiło ono w r. 1889. „Poznałem Świętochowskiego w okresie przełomowym dla poetyckiéj jego działalności, — w jesieni 1889, kiedy twórca „Aspazyi”, znużony kilkoletnią nieprzerwaną pracą, wybrał się w podróż do Salzburga i Szwajcaryi... Autor realistycznych nowel i pozytywistycznych dramatów uczuł nagle i czuł coraz wyraźniéj, że właściwe jego natchnienie w inne porywa go sfery. Realizm, naturalizm, pozytywizm w sztuce, cały prąd ten estetyczny, przemożny w chwili kiełkowania jego talentu, wydawał się mu wówczas ciasnym, zaczął go był krępować i dusić. Obudził się w Świętochowskim poeta-filozof, pierwsze zarysy wielkiego filozoficznego dramatu powstawały w jego duchu: rzeźbiarz własnéj indywidualności znalazł wreszcie modłę odpowiednią“... Z rozmów, ze Świętochowskim, jakie Nossig przytacza, możnaby charakterystykę przełomu rozszerzyć nieco; nie wiele jednak zyskałaby ona na tém pod względem doniosłości głębszéj. Drobiazgi zbyt są nikłe lub zbyt indywidualne. W społeczeństwie naszém, skurczoném, zbiedzoném, łatającém swą niemoc w sprawach żywotnych pozorami cywilizacyjnemi, ukrywającém swe troski zasadnicze połyskami chwał i wielkości jednodniowych, bieżących, przemijających jak rysunek fal na powierzchni wód płytkich, z łatwością zaimponować komuś mogą takie rewelacye poufne jak: że Świętochowski ma rękę „białą, drobną, delikatną, pełną wdzięku i wyrazu“, że w pogadankach umie łączyć demokratyzm zasad z postawą, gestem i uśmiechem „nieugiętego najczystszéj krwi arystokraty ducha”, że żyje samotnie, nie udziela się łatwo, unika towarzystwa w obawie, aby go ze skarbów umysłowych nie okradziono, że lekceważy sławę za życia, uwielbia muzykę klasyczną, przepada za Mozartem, wreszcie, że ilekroć w olimpijskim kulcie swéj osobistości schodzi na nasze padoły, czyni to niemal z uczuciem wstrętu, który w sobie refleksyjnie przezwyciężać musi; — ale pożytek z tych odsłonięć i obnażeń zakurtynowych mały, a kadzidło mdłe, zatęchłe. Spytany np., jakim sposobem „wysoki swój polot” łączyć umie z powszednią działalnością publicystyczną, Świętochowski miał odrzec: — „Gdyby mi ktoś kazał ludzi nosić, myć ich, ocierać im nosy, powiedziałbym, że nie chcę, nie zrobię tego; ale niech ci ludzie będą mojemi dziećmi, ja je poniosę i omyję i nosy im otrę, bo je kocham, bo to moje... Oto dla czego mogę być publicystą, — kocham społeczeństwo me, ono jest mojém, więc je obsłużę jak niańka, i najdrobniejsza rzecz w niém mnie

obchodzi"... Choćby autentyczność słów rzuconych w pogawędce ulotnéj nie ulegała zakwestyonowaniu, to i w takim jeszcze razie nie godziłoby się domowych tych szat myśli obnosić demonstracyjnie po ulicach — zwłaszcza, że Świętochowski w setnych i tysiącznych okolicznościach dowiódł, iż sam jest poczciwém skromném, potulném dzieckiem swojego społeczeństwa, nie zaś jego matką lub niańką. Dla przeświadczenia się o tém, dość odczytać jego nowelki, zebrane w pierwszych tomach nowéj zbiorowéj edycyi, dość przejrzeć niezliczone rewendykacye i protestacye „posła Prawdy", z których dobre dwie trzecie są rzetelnemi arcydziełami nietylko wytwornego ateńskiego smaku, lecz rodziméj obywatelskiéj zacności i czystego miękkiego, słowiańskiego serca.

Z tą patetycznie nastroszoną sylwetką Świętochowskiego— *nota bene* „z cygarem w ustach", nie układa się zresztą bynajmniéj do zgodnego wtóru całość darów jubileuszowych. Są to, na ogół, rzeczy niepoślednie, starannie dobrane i ułożone, nie co do jednego zapewne płody natchnienia, talentu i wyszukanego artyzmu, ale wszystko razem opromienione i ogrzane najwyraźniéj tą genialnością swojską, rodową, któréj cechami głównemi: nieposzlakowana dobra wola, szczerość, życzliwość, prostoduszność bezwzględna, wobec któréj bardzo marnie wygląda wszelkie drapowanie się greckie, chińskie, czy rzymskie. Z tego względu najsurowsza krytyka miałaby tu przed sobą miłe i wdzięczne zadanie; my poprzestaniemy na wierném, o ile podobna, odzwierciedleniu kilku myśli rzekomo rozbitego i rozproszonego obozu, — w tych jego punktach wyznania wiary, które z jubilatem i jego przekonaniami filozoficznemi mogłyby zostawać w niejakim związku.

Dwaj weterani piśmiennictwa polskiego, z pocztu najbardziéj znanych i cenionych, wystąpili jednomyślnie z obroną oświaty, nauki, cywilizacyi, skazanéj kiedyś, gdzieś, przez kogoś, na bankructwo: Teodor Tomasz Jeż w artykule p. t. „O przelewaniu się fal"; Stanisław Krzemiński w opracowaniu p. t. „Postęp i człowiek". Obaj są bardzo wymowni, wzruszeni i oburzeni. Zkąd, jakim sposobem, w czém się to bankructwo wyraża? — woła Jeż. A niby w tém, że nauka obietnic nie dotrzymała... Lecz jakich? Jakie to są obietnice poczynione przez naukę i przez nią nie dotrzymane?—„Za rozwiązanie tego pytania—powiada twórca „Szandor Kowacza"—możnaby wyznaczyć grubą nagrodę w téj pewności, że nikt jéj nie dostanie". I autor kréśli w zarysach ogólnych walkę dwu metod filozoficznych, dwóch logicznych trybów dochodzenia — dedukcyi i indukcyi, rozumowania z postulatów i wnioskowania z faktów. Przed laty pano-

wała wszechwładnie dedukcya; rozprawiano ciągle o Panu Bogu, nieśmiertelności duszy, wolnéj woli; świat zmysłów pozostawał jeżeli nie w poniewierce, to w zapuszczeniu i na drugim planie. Zjawiła się następnie indukcya, systematyzująca zjawiska sposobem postrzegawczo-doświadczalnym, ostrożnie posługująca się hypotezami i otwarcie przyznająca się do niewiadomości wobec problematów, które doświadczonemi być nie mogą. Gdzież tu cień obietnicy jakiéjkolwiek?—Wszakże nie ustrzeżono się i tu również nadużyć. Fala pozytywna wezbrała zanadto. Zwolennicy postrzegawczości i doświadczenia, krytykując subjektywizm dedukcyjny, czy téż dedukcyonizm subjektywny, usprawiedliwiając siebie, zaczęli gnębić przeciwników. „Rzecz to czysto ludzka—zapewnia Jeż; w sporach trudno się utrzymać w granicach, nie dopuszczających przycinków, żartów, uszczypliwości, grubiaństw nawet... Byliśmy tego świadkami w latach ubiegłych"... Więc z kolei dedukcya ponownie głos zabrała, wykazując, że bez metafizyki, zajmującéj się dochodzeniem przyczyny wszechprzyczyn, samo indukcyjne przesypywanie postrzeżeń do worka doświadczeń i naodwrót nie prowadzi do niczego. Zarzut był bez wartości, gdyż nikt nikomu nie zabrania odbywać po za plecyma nauki przedstawień misteryów średniowiecznych o początku i końcu świata. Ponieważ jednak dedukcyoniści przypomnieli sobie obecnie urazy doznane od indukcyonistów, skorzystali przeto z mojżeszowego prawa odwetu,—ząb za ząb. Ale i to przejdzie — pociesza Jeż. Zwykła to, odwieczna kolej rzeczy. „Cywilizacya w pochodzie swoim natrafia na przeszkody, skutkiem których idzie naprzód i cofa się, cofa się i znów naprzód kroczy, niekiedy w błędnym puszcza się kierunku, nawraca i z trudem niemałym do właściwéj dobija się drogi. Wszelka działalność z przeciwdziałalnością się spotyka". Obecnie chwilowa fala powodzenia niesie na swym grzbiecie dedukcyonistów wraz z tém, co poprzednicy ich na dobro wiedzy zarobili. Z wynalazków, z ogólnego posunięcia się na drodze postępowéj nie przepadło dla nauki nic zgoła; w dobie jutrzejszéj wtoczy się na brzeg odwrotna fala „i pokryje sobą dzisiejszych tryumfatorów i zabierze od nich ów dorobek, jakim—jak przypuszczać należy—nauce się przysłużą". Krzemiński niemniéj dzielnie potyka się z najazdem smorgońszczyzny na naukę. Jakkolwiek pełen zastrzeżeń i niepewności, jak sobie radzić z pesymizmem tych, co wzorem Buckle'a wcale postępu m o r a l n e g o nie widzą w dotychczasowych usiłowaniach przeszłości, staje się Krzemiński przekonanym i gorącym optymistą w kwestyach postępu u m y s ł o w e g o. W zakresie pierwszym (moralnym) autor nasz stwierdza po-

stęp, a raczéj jego możliwość jedynie w granicach ogólnego i zbiorowego poczucia: „przybywa stosunkowo coraz więcéj dusz odczuwających złe, które jest—a dostępnych dla marzeń o dobru, którego niema"; natomiast, w zakresie drugim (umysłowym) stanowczo i twardo obstaje przy tezie faktycznego, oczywistego, nietylko ilościowego, ale i jakowościowego wzmagania się wiedzy i umiejętności. Już sam postęp materyalny—powiada Krzemiński—bezwiednie toruje drogę duchowemu, ułatwia człowiekowi dobieranie się przez materyę do ducha; zwalając ciężką pracę fizyczną na przyrządy mechaniczne, nietylko ją usamodzielnia, lecz do innych, delikatniejszych zajęć nas powołuje. Wzrost nauki, wiedzy i sztuki, uwarunkowany przez genialność i pracowitość, toczy się niepowstrzymanie samą pożądliwością myśli, a ów cywilizacyjno-kulturalny ruch życia—„życia tylko potrzebuje, aby być i tworzyć". Niepodobna wprawdzie ręczyć, czy zdobycze umiejętności zapewnią człowiekowi szczęście, czy ukoją jego wzniosłe trwogi, czy skalę życia praktycznego podniosą; ale to jedno niezawodne, że rozszerzając zakres czysto-myślowéj naszéj działalności, oczyszczać nas będą stopniowo z małostkowego egoizmu, uszlachetniać i uduchowiać naszą istotę... „O umysłowych bankructwach prawić wolno tylko tym, którzy sami nigdy niczego dorobić się nie zdołali, uszanować nawet prawdy się nie nauczyli i żyją na łaskawym chlebie przesądu lub konwenansu. Wobec zdrowego rozsądku owo bankructwo może być tylko głupstwem, które, ilekroć jeszcze się podniesie, zawsze samo siebie strawi"...

Zjawisko zmienności naszych poglądów na istotę naszych władz poznawczych i badawczych Feliks Bogacki rozszerza i uogólnia. Prądy przypływu i odpływu, naprzód i wstecz, powtarzają się nietylko w umiejętnościach i w życiu ludzkiém, lecz i w przyrodzie we wszechświecie. Studyum jego p. t. „Prawo rytmu" usiłuje zapełnić lukę, jaką Jeż wytknął w wywodach indukcyonistów, zarzucając im niepotrzebne stronienie od zagadnień metafizycznych. Mechanizm wszechświata nie jest bynajmniéj tak dalece złożonym, aby nie sposób było go zrozumiéć. Jest to olbrzymi zegar, — bezmierny, ruch wahadła od bieguna nicości do bieguna bytu,—i napowrót. Bieg gwiazd i planet dokoła swoich ognisk słonecznych to rytm złożony z ruchu ku pewnemu środkowi ciążenia i ruchu odśrodkowego, będącego skutkiem pierwotnego rzutu. „Są to ruchy zupełnie identyczne z ruchami wahadła": raz bierze górę siła przyciągania i w ciągu miliarda lat skupia ku sobie słońca i ziemie; wówczas ciała

niebieskie ochładzają się i tężeją, odległości ich od swoich środków ciążenia stają się coraz mniejsze, masy ich, w następstwie spadania na nie skupień w przestrzeni znanych pod nazwą aerolitów i deszczów kamiennych, powiększają się stopniowo a nieustannie—i tym sposobem siła rzutu pierwotnego ciągle się zmniejsza i ustępuje przed swą antagonistką (siłą przyciągania), aż dopóki planety nie spadną na swoje słońca, a aglômeraty słoneczne nie zleją się w jedno powszechne ciało niebieskie. Tu następuje reakcya. Ruch skupienia ustaje i przeobraża się w taką potworną masę ciepła, że gruzy poprzednich systemów słonecznych rozlatują się pod postacią mgławic na najdalsze kręgi przestworzy nieskończonych. Obecnie, znowuż zapewne w ciągu lat miliarda, panuje niemal wszechwładnie siła rzutu odśrodkowego czyli rozproszenia, którą jednakże powoli nie żałując sobie czasu, bierze w swe objęcia siła przyciągania dośrodkowego, kształtująca nowe systematy słoneczne... „I tak wciąż, od spoczynku do ruchu, od ruchu do spoczynku—i prawdopodobnie bez końca"... Prawdopodobnie? — Pytanie to mieści w sobie zasadzkę, w którą autor, dość nieoględnie jak się zdaje, uwikłać się pozwolił, nadając spoczynkowi jakąś przewagę nietylko genezyjną, ale i celową. Zaraz na wstępie zaznacza: „Przykład wahadła służy za ilustracyę szeregu ruchów rytmicznych, których ostatecznym celem jest spokój, nieruchomość; każdy bowiem ruch jego na prawo i na lewo, od punktu zero jest ruchem udzielonym mu wypadkowo (?), każdy zaś ruch jego w odwrotnym kierunku, ku punktowi zero, jest dążeniem do stanu poprzedniego, to jest do stanu nieruchomości". Ciekawa rzecz, zaprawdę, dlaczegoby „wypadkowe udzielenie ruchu" wybiéraćby miało raczéj „od" niż „ku"?... A już zdumienie nasze nie ma granic, gdy autor, przeprowadziwszy prawo rytmu przez wszystkie pomniejsze, drugostopniowe działania sił kosmicznych w ich fazie obecnéj dośrodkowéj, skupiającéj,—mianowicie przez przyrodę fizyczną, biologiczną i duchową (nieorganiczną, organiczną i myślącą — nieożywioną, ożywioną i uświadomioną) wraca pod koniec rozprawy do źródeł i tak się wyraża: „Ruchy, które spostrzegamy we wszechświecie, są skutkiem utracenia równowagi, w jakiéj się kiedyś materya znajdować musiała przedtém, zanim ruchowi uległa; dąży téż ona ustawicznie do stanu pierwotnego bezwładnéj równowagi, a wróciwszy do niéj musi przestać być tém, czém jest obecnie; stała się bowiem tém, czém jest, tylko przestawszy być tém, czém była w stanie bezwładności. Udzielona jéj energia jest *nabytkiem zewnętrznym*". A! to zupełnie co innego... Wkraczamy tu w światy całkowicie inne, a nie

przyrodzone. Z zewnątrz wszechświata zjawia się coś, co wszechświatem nie było, nie jest: Deus ex machina. Grał Jowisz istnienia z sobą samym: skupiał się i rozpraszał; rozpraszał się i skupiał... I „prawdopodobnie" — zapewniał na razie autor — tak „było" i tak „będzie" bez końca. Nagle, znalazł się nietylko koniec, lecz i początek. Na początku była bezwładność; przyszło coś zzewnątrz i stworzyło ruch,—w którą stronę? od siebie czy ku sobie?—mniejsza o to. Ciekawsze to, że ów impuls zewnętrzny, wyrzekłszy swoje, stań się, ucieka, znika, ginie bez śladu. Niema go, nie będzie przy akcie „odstania się"; wszystko odstanie się samo, wyczerpie się wywaha, odciepli i odciąży. Dla wylania z siebie rzeki — było coś; dla wypicia — niema nikogo... Przepraszamy najmocniéj, ale stokroć wolimy już owego indyjskiego „Brahmę", o którym w wierszyku pod tym napisem powiada nam w książce jubileuszowéj Adam Asnyk: „Tchnął Brahma — a z jego tchnieniem martwa porusza się fala, ożywczém bytu płomieniem słońca po słońcach zapala. Wirują kosmiczne pyły, w świetlanym pędzą błękicie, pod tchnieniem Brahmy ożyły i w przestrzeń roznoszą życie... Wciąż życia powierzchnią świeżą drga obszar w ruch wprowadzony, a światy trwanie swe mierzą na długie wieków eony.., Wtém — wciągnął oddech w swe łono: dzień światów dobiegł do końca; wszystkie kolejno w nim toną zamarłe ziemie i słońca; w proch padły wszystkie potęgi; noc głucha ciszą grobową pokrywa istnienia kręgi... — Dopóki nie tchnie na nowo".

Bądź co bądź, jeżeli pominiemy niewytłómaczoną, kontradykcyjną ową interwencyę zewnętrznéj jakiéjś pobudki ruchu w zegarze wszechistnienia, którego wahadło, ujęte w ramiona wieczności i nieskończoności, nie przypuszcza ani ujemnego ani dodatniego wykładnika ruchu bądź *od* zera, bądź *ku* zeru, — wypadnie co do reszty wyznać, że ta rytmiczność Bogackiego uchodzić może za pewnego rodzaju syntezę filozoficzną wszech-umiejętności przyrodniczych, — a w części i humanistycznych. Uniwersalnością swą przypomina ona „Pierwsze zasady" Herberta Spencera (głównie rozdziały X, XII, XXII powiększonego i uzupełnionego ich wydania), a jest od nich zwięźlejszą w treści, barwniejszą w wykładzie. Na rozwiniętém jéj tle rozmaite specyalne zagadnienia naukowe, większéj i mniejszéj wagi, układają się do pewnéj, tymczasowéj przynajmniéj wspólnoty, objaśniają się wzajemnie, uwydatniają—że się tak wyrazimy—swe stanowiska na mapce długości i szerokości astronomicznych. Zagadnień takich jest kilka w jubileuszowéj książce Świętochowskiego.

Wspomniany poprzednio prof. dr. Józef Nusbaum mówi np.

o „idei transformizmu i obecnym rozwoju biologii"; domyślamy się odrazu, do jakiego mianowicie działu rytmicznéj klasyfikacyi Bogackiego odnieść należy „człowieka-zwierzę", który anatomicznie fizyologicznie był praojcem Darwina. Wprawdzie sam Darwin wymyka się na razie z klatki, w któréj się wychowało pokolenie protoplastów twórcy transformizmu od mistycznego aryjskiego boga Varuny aż do znanéj historycznie postaci Teodora Schwanna; ale w wahadle wszechistnienia ruchów jest bezmiar: nie pochwyci Darwina rytm biologiczny, to go ujmie i do ordynku zaprowadzi rytm psychologiczny; w ostateczności, gdyby pościg okazał się bezskutecznym na wszelkich możliwych gościńcach „ruchu", pozostanie rekurs do siły „pozaruchowéj" i „pozaświatowéj", — téj, co to według Bogackiego zapoczątkowała niegdyś, w otchłaniach bezwładności, ruch wszelki, życie wszelkie, zaś według Asnyka, była owém tchnieniem Brahmy, które po nocy głuchéj, pokrywającéj ciszą grobową istnienia kręgi, powołało do bytu „jestestw mrowiska", — „narody, plemiona, rasy, we krwi, pożodze i dymie wchodzące z sobą w zapasy".

To samo, co do Karola Darwina, stosuje się oczywiście i do Mikołaja Kopernika; jego „pojęcia mechaniczne" zrozumiale i dobitnie wyłożył nam Samuel Dickstein—odpowiadają one najściśléj rytmowi współczesnych z Kopernikiem poglądów na naturę i środków — na ogół dość ubogich—badania jéj zjawisk. Co do głowy, która na podstawie tych poglądów i środków ziemię puściło w obrót dokoła słońca, wyrasta ona o tyle po nad wahadłowy moment swojego otoczenia, że rytmu dla niéj szukać trzeba... u Mickiewicza chyba: „gwiazda d u c h a zagasnąć nie zdoła, i raz rzucona, krąży po niezmiernéj głębi, póki czas wieczne toczyć będzie koła"... A Benedykt Spinoza? Z nim najłatwiéj dość do ładu, to pradziadek nowoczesnych zjednoczeń i równań kosmogoniczno-teozoficznych. Jerzy Żulawski w poważnym i sutym na jego cześć wierszu zamknął całą metafizykę i etykę wielkiego rabina panteizmu. „Mędrzec pióro odłożył. Już zakończył księgę, kędy uczył znać Boga w wszechświecie jednego, znać przyrodę — i bliźnich — i siebie samego; duchem, złych namiętności poskramiać potęgę i być wolnym, cnotliwym być i bogobojnym, jak stal twardym, a mądrym, w nieszczęściu spokojnym...

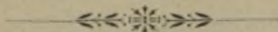
Skończył księgę, — pojrzał: Oto zagadka bytu tutaj drzemie! Wszechświat w myśli się jego jak róża rozwinął, nad wszechświatem Bóg błysnął i w n i m s i ę r o z p ł y n ą ł... Mędrzec patrzeć ma odtąd na świat i jego koleje z punktu wieczności; wszystko przez

Boga się dzieje: co być może — być musi! Czasu błędne koło tego tylko zaślepia, czyja dusza bierna na wiatr losów się puszcza, jako łódź bezsterna"...

Bóg rozpłynięty w przyrodzie — oto ostatnie słowa rozwiązania filozoficznéj szarady naszego wieku. W świetle spinozyzmu jaśniéj téż przedstawia się i owe „coś" Bogackiego, przychodzące na początku istnienia pchnąć materyę do szeregu ruchów rytmicznych. Odtąd „natura" staje się zdolną do wszystkiego, a przynajmniéj do wielu rzeczy, o które trudnoby ją było posądzić. Dr. Henryk Nusbaum, który w szkicu swym „Natura i kultura" formalnie najpierw odróżnia i niemal przeciwstawia jedno wyobrażenie drugiemu, łączy je następnie w całość jednorodną, przeświadczony, że „dzieje ludzkości idą w myśl dziejów świata", że „cywilizacya ludzka jest funkcyą wszechpotężnych, wszechmądrych, a niezłomnych praw natury", a więc cała przyszłość kultury naszéj, zgodnie z przyrodoznawczemi swemi przesłankami, wyłoni z siebie „ideał doskonałości"...

Wątpi o tém dr. Ludwik Gumplowicz. Wszakci już Kant, wychodząc z zasad rozumu praktycznego, wspominał o téj doskonałości i harmonii „zamiarów" przyrody, o tych ideałach, „rozpłyniętych w naturze". Dr. Gumplowicz, na wypadek, „gdyby się z Kantem spotkał", zawczasu przygotował pod adresem mistrza królewieckiego wiązkę pytań, lekką ironią przesnutych: „skąd ci wiadomo, mistrzu, że natura w działaniach swych musi mieć jakiś ukryty zamiar?" — „i dlaczego, jeśli zamiar taki istnieje, ma on koniecznie być rozsądnym"? — „i z jakiego powodu rozsądniejszą miałaby być w przyrodzie dążność do cichéj, melodyjnéj drzemki, niźli groźna, znojna i burzliwa walka o byt?..."—Natura, natura wszechmądra! A w czyjéj-że to, jeżeli nie w jéj piersi, tętnią i huczą owe wulkany gwałtów, pożogi i mordów, z których Antoni Lange ułożył swą „Pieśń Hunnów": „Z wichrów poświstem, z gromów łoskotem, we krwi strumieniach i ogniu łun, wilczym rozpędem, krogulczym lotem wrosły do konia w świat pędzi Hun... Niema ojczyzny Hun światowładny, bo mu ojczyzną jest cały świat, — zuchwały, celny, szybki, a zdradny, na całą ziemię ulewą spadł. Na dzikie stepy—na ciemne puszcze—na wsi i miasta—na grzbiety gór — potopem Hunnów spadają tłuszcze—i góra stęka, w gruz idzie mur..."

Kazimierz Włostowski.



Rozbiory i Sprawozdania.

Dwa ostatnie dramaty Stanisława Kozłowskiego.

Nazwisko p. Stanisława Kozłowskiego używa znacznego rozgłosu. Napisał on kilka dramatów, które narazie zajęły serca i głowy naszéj publiczności. Z tego, co powiemy o dwóch najnowszych dziełach tego autora „Turniej" i „Taboryci“ pod względem miary i wartości mniéj więcéj równych i innym jego utworom, będzie można wnioskować, czy to doraźne zajęcie ma warunki trwałości.

Pierwszy z tych dramatów rozgrywa się we Florencyi, w czasie odrodzenia włoskiego. Wielka ta epoka do dzisiejszego dnia pociąga oczy i serca nasze w tę stronę, nad którą najpierwéj wśród ciemności orle skrzydła geniuszu i zbudziły do życia olbrzymów. Tam, w staréj Italii, nad ruinami zwalonych swiątyń pogańskich powstało nowe słońce, zakwitło nowe życie, podobne do klasycznego, lecz daleko piękniejsze, bardziéj złożone w formach i w treści swojéj i więcéj pokrewne naszym czasom. W téj to epoce, kiedy szumiało życie, jak zbudzony na wiosnę z letargu potok górski, żyją bohaterowie i bohaterki p. Kozłowskiego. Oto w krótkim szkicu treść tego utworu: Wenecki malarz Dominik przybywa do Florencyi w czasie, gdy ma być ogłoszony konkurs na malowanie fresek. Do konkursu z zezwolenia senatu staje mistrz Andrzej, pierwszy ma-

larz florencki i Dominik. Ten ostatni za pomocą nowego sposobu w technice malowania wywołuje efekty, olśniewające Florentczyków, i staje się niebezpiecznym rywalem Andrzeja. Rzecz wikła się, gdyż Dominik, wierny swéj zasadzie, iż człowiek żyje po to, by kochał i był kochanym, rozmiłowywa się w Paoli, żonie Andrzeja. Matka Andrzeja skłania Paolę, by pozowała Dominikowi do portretu, a Marko, brat mistrza florenckiego, ma jéj towarzyszyć, i wykraść Dominikowi tajemnicę przyrządzania farb. Sam Andrzej, który z początku waha się, wkrótce skłania do tego Paolę. Z tego wynikło, że Dominik pokochał Paolę, a Paola Dominika. Ten pod koniec III aktu zostaje zwycięzcą turnieju. Andrzej — powalony. Jego klęska potęguje się ucieczką żony z Dominikiem i śmiercią Marka, który ginie z rany, zadanéj mu przez Dominika. Czytelnik, czy widz, oczekuje w tém miejscu rozwiązania. Aliści zobaczy jeszcze pierwéj wiele innych rzeczy, zanim rozwiązanie nastąpi. Tutaj Andrzej woła głosem wielkim, że „cicho wyć będzie" w nim zemsty zmora, aż spadnie kara na Dominika. Sprężyną całego dramatu jest ambicya Andrzeja, która, w dalszéj konsekwencyi, każe mu nie widzieć nic i nikogo po za sztuką; a ten jest punktem honoru. I zdawałoby się, że gdy runął gmach ambicyi Andrzeja, wartoby było skończyć i dramat, rozwiązując go konsekwentnie. Tymczasem autor każe jeszcze swemu bohaterowi nurzać się w błocie zbrodni. I ten dumny Andrzej, ta chluba Florencyi, idzie do Dominika na ucztę, wyglasza tyrady na cześć sztuki, a późniéj staje się uczniem weneckiego mistrza, maluje z nim razem freski w kościele i podstępem zdobywa jego przyjaźń. I poco to wszystko? — Po to, żeby zgubić Dominika. Lecz dlaczego tyle zachodu; by pomścić Paolę? W takim razie mógł zabić Dominika odrazu, gdy się dowiedział o jéj ucieczce. A jeśli szukał zemsty na własną klęskę na turnieju, to na cóż przydała mu się tajemnica malowania, zdobyta z takiém upokorzeniem? Czyż mógł z niej korzystać? Czyż mógł człowiek tak ambitny powetować straty, poniesione na turnieju, stając się naśladowcą swego wroga? Przecież to przeciwne zasadniczym cechom jego charakteru.

Wróg Andrzeja, Dominik, przedstawia typ artysty, więcéj ceniącego życie i miłość niż sztukę. Lubi kobiéty i hulankę, jest piękny, szczęśliwy i lekkomyślny. Wogóle w charakterze wytrzymany, przedstawia jednak pewne dyssonanse. Tak naprzykład: naturalną jest ta niedbałość i lekkomyślność, posunięta do tego stopnia, że w chwili, gdy się rozgrywają losy jego i Andrzeja, on spędza czas na przyjemném samnasam z Paolą. Lecz gdy pomyślimy, że robi to ktoś, co swoje powodzenie w znacznéj mierze

zawdzięcza sekretowi, co z taką ostrożnością ukrywa swoją tajemnicę, to już w Dominiku widzieć musimy człowieka praktycznego, który we wspomnianéj scenie mógłby być tylko pozorem.

Sympatyczny typ przedstawia Paola. Jest ona kobiétą szlachetną, dumną, znającą drogę obowiązku, lecz niestety tylko kobiétą, więc gdy przyleciał złoty motyl z nową wiosną, róża mu serce oddała. Takie charaktery, jak Lorenza i Pietro, którego autor, mówiąc nawiasem, niepotrzebnie do życia powołał, są zupełnie wytrzymane od początku do końca, ale, nie zawsze umieją się poruszać i mówić. Akcya dramatu na ogół dosyć żywa, lecz są miejsca przewlekłe, nudne — dużo gadaniny, dużo osób, które tylko z imion rozróżnić można, tak są wzajemnie podobne do siebie, a wszystkie razem przedstawiają niewyraźny typ szarego człowieka, zrodzonego w głowie autora. Cały dramat jest zresztą podobniejszy do obrazu niż do dramatu; tylko brak w tym obrazie kolorów i światła, jakkolwiek wiele się tam mówi o barwach i słońcu.

Na scenie lepiéj się to wszystko przedstawia dzięki wystawie, dzięki kostiumom i grze artystów, ale przy czytaniu nasuwa ci się wciąż jedna myśl: gdzież jest ta wiosna kultury europejskiéj, gdzie ta epoka Medyceuszów, przedmiot wiekuistéj tęsknoty artystów, gdzież są ci ludzie o kształtach pogańskiéj Hellady, gdzie ta piękność i siła, ta dworska grzeczność i rycerskość, gdzie ta kwiecista i subtelna wymowa? Wszak poezya umarłych z grobów do życia powołuje. Tak, obudził ich p. Kozłowski, ale cięży nad nimi ołów natchnień autora, więc poruszają się ciężko i sztywno.

A teraz przejdźmy do „Taborytów". Jestto również dramat w pięciu aktach, osnuty na tle wojen religijnych XV wieku w Czechach. W pierwszym akcie rzecz dzieje się w obozie taborytów, oblegających Lubohrad. Zaraz na początku autor rzuca na scenę cały zastęp osobistości, w dyalogach, malujących zresztą raczéj charakter zwiędłych gawęd niż żywych rozmów żołnierskiéj, sfanastyzowanéj drużyny. Tutaj lekko zarysowały się charaktery Milicza i jego syna Lumira. Milicz, niezmordowany wojownik wróg papistów wogóle i panów Lubokradu w szczególności ma w sobie jedną cechę miękką i liryczną — to jego ogromna, tkliwa miłość dla syna, którego sympatyczna postać pociąga nas odrazu ku sobie. Lumir, to waleczny żołnierz i myślący człowiek zarazem, pełen uczuć humanitarnych, rozumiejący dokładnie położenie rzeczy. Zbrzydła mu walka, a krew bratnia ciąży mu na duszy. Przypomina on nam Maksa z „Wallensteina" — naturalnie nie dorównywa swemu

pierwowzorowi. Lumir spotyka na wałach panią Lubohradu, hrabinę Bertę i powstaje w nim uczucie, z którego wytwarza się węzeł dramatyczny. Między nimi leży przepaść, w którą góry rzucićby trzeba, żeby ją zawalić. W tém przekonaniu utrwala go Antoszka, dziewczyna taborycka, która go kocha. Beznadziejność i tęsknota dyktują Lumirowi rozpaczliwy krok:, sam się oddaje w ręce rycerzy zamkowych. W akcie drugim akcya przenosi się do komnat zamku Lubohradzkiego. Pierwszą część stanowi obraz wesołego życia dworskiego, odmalowany z szeroką swobodą i lekkością. Wiadomość o uwięzieniu dworskiego lutnisty Kleofasa zasępia nieco oblicza. Niknie wesołość. Na scenie zjawia się Milicz, żebrzący o wolność syna. Jest kilka silnych miejsc w rozmowie Milicza z Bertą. Tutaj występuje księżna Renata—typ, jaki można było widziéć w średnich wiekach i u nas, a jakiego dzisiaj już nie spotkamy. Ta silna kobiéta, wielka potęgą swych uczuć, umie kochać wiecznie i wiecznie nienawidziéć. Kochała syna miłością ogromną, a gdy go zabito, zaczęła żyć nienawiścią ku sprawcom jéj nieszczęścia. Poznajemy również tutaj bohaterkę dramatu Bertę, z charakteru przypominającą nieco Paolę, a przy niéj Rudolfa, dowódcę załogi zamkowéj, surowego żołnierza, przedstawionego dobrze i w charakterze jednolitego. Ta rozmaitość typów, ta żywość interesów Milicza z jednéj strony, a władczyni zamku z drugiéj dają temu aktowi wiele naprężonéj siły, wiele ruchu i czynią go najlepszym obrazem w dramacie. W trzecim akcie umiéra Renata po silném starciu z Bertą, która się skłania do zawarcia pokoju z taborytami. W końcu aktu Milicz zostaje stracony, Radowan obejmuje dowództwo, taboryci, żądają głowy Berty, Rudolf szykuje się do obrony. W następnych dwóch aktach rozwijają się wzajemne uczucia Berty i Lumira, dojrzewają i oboje giną wraz z bohaterami w objęciach śmierci. W tych ostatnich dwóch aktach pod względem charakterystyki nic nam już więcéj główne osoby dramatu nie dają, oprócz tego, co wiemy o nich z pierwszych trzech. Tylko Kleofas, trubadur dworski rozwija się nieco, przypominając nam, to Zagłobę, to Falstafa. Szkoda tylko, że go Heliodor zabija, bo, zaprawdę, nie było za co, ale trudno—smutne są losy tych, co mieli nieszczęście urodzić się i żyć w dramacie, któremu autor obmyślił krwawe zakończenie. Ale jakaż była rzeczywista przyczyna śmierci śpiewaka? Oto pozwolił Bercie i Lumirowi uciec z zamku; a ci ostatni zostali schwytani przez żołnierzy Radowana, postawieni przed sądem i skazani na śmierć przez spalenie. Podczas wydania wyroku nadbiega wieść,

że Rudolf idzie z wojskiem. Popłoch. Okazuje się, iż Radowan jest niezdolnym do dowództwa. Do rządów powraca Milicz, aresztuje Radowana i odchodzi objąć władzę nad taborytami. Tymczasem Radowan wprowadza na scenę wielki efekt—nagich ademitów, którzy palą na stosie Bertę i Lumira. Czytelnikowi żal Lumira, tego sentymentów pełnego, ale szlachetnego bohatera, żal zapewne i Berty, z którą już miał sposobność poznać się bliżéj, bo już w „Turnieju" występuje podobny typ w osobie Paoli. I tak zginęła ta para spokojnie, jak beznamiętne kwiaty polne — bez cienia żalu do świata. On jéj przed śmiercią deklamował coś o miłości, która spopieleje na stosie, a ona mu „słodkie słowo" obiecała „wyszeptać", konając Może to i ładne, ale czyżby śmierć była sielanką? Lecz któż to jest ten okrutny Radowan, co się tak barbarzyńsko obszedł z naszymi bohaterami? Z jego działania widzimy tylko, że w chwili stanowczéj, kiedy trzeba za oręż chwycić, on woli sądzić i na śmierć skazywać. Kiedy mu grożą, on mówi: „I cóż mnie może spotkać, oprócz śmierci". Są to ważne i charakterystyczne fakty, lecz, że jakoś to ciemięgostwo nie bardzo licuje z tym bohaterskim spokojem, więc nic byśmy o Radowanie z nich nie wiedzieli, gdyby nam autor nie objaśnił rzeczy drogą pośrednią, dla dramaturga mniéj właściwą. Mianowicie, w chwili, kiedy trzeba albo biedz przeciwko wrogom, albo uciekać, rycerze Zbyńko i Olbrzych, których tylko z imion znamy, mówią, że jest to „człek przewrotny", „zapaleniec", „człek zagorzały", „pyszałek", „nabożny z wierzchu, w duszy adamita, chodziłby nago, rabował i palił". Śmiercią Lumira i Berty kończy się dramat słusznie, sztuka bowiem jest trochę przydługa i nużąca.

W ostatniéj scenie zjawia się Milicz i ogląda dzieło zniszczenia. Zachowuje się przytém spokojniéj, niżby można było przypuszczać z tego, cośmy widzieli w II akcie, ale za to bardziéj odpowiednio do stanowiska człowieka, który jest głową ludu i przywykł do ciężkiéj ręki losu. Sztuka ta nie ma właściwie tych wewnętrznych cech, jakie powinien miéć dramat — niema w niéj tego skoncentrowania sił i téj walki żywiołowéj, płynącéj z głębi dusz ludzkich, niéma tych wielkich namiętności, które byłyby dźwigniami akcyi, niema wyraźnie przedstawionychc harakterów, któreby mocą swoich sił indywidualnych, ścierając się wytworzały ruch na scenie. Wyjątkiem są tylko postacie Renaty i Rudolfa — o charakterach jędrnych i zaokrąglonych w sobie.

Największa rola oddana tu jest wypadkom zewnętrznym, które rządzą czynami bohaterów. Ta okoliczność nadaje sztuce więcéj

tonu powieści—dramatycznéj tylko pod względem czysto formalnym, niż dramatu w ścisłém znaczeniu tego słowa. Co się tyczy typów, to można o nich powiedzieć, że wszystkie mają wspólną wadę — w wykonaniu. Na scenie wiele typ zyskuje przez dobrą grę i jeśli się da aktorowi szkielet, on go w ciało przyoblecze i da widzom obraz żywego człowieka. Dzięki środkom scenicznym, bohaterowie i bohaterki p. Kozłowskiego w teatrze wyglądają jako tako, ale książka nie daje tego, co teatr. Tu na każdym kroku widać braki. Tu przedmiot traktowany pojęciowo i czytelnik pojęciowo go przyjmuje. Wszystkie prawie kreacye p. Kozłowskiego są płodami rozumowania, kute są nazimno z okruchów zaobserwowanéj natury.

Z zimném téż sercem czytamy książkę. Żeby dobrze odmalować człowieka, trzeba go dobrze znać i odczuwać; ażeby go poznać, trzeba się głęboko zanurzyć w nurty życia, trzeba przejść wiele, a czego przejść nie można—intuicyą zdobywać, o ile się ją posiada, a potém dopiéro pisać i pisać, jak to mówią, krwią własną. Twór ma zawsze duszę stworzyciela. Jeśli autor, pisząc, żył tém, co pisał, jeśli tworzył, ulegając koniecznemu popędowi do twórczości, dzieło mieć będzie wyraz. Jeśli je tworzył nazimno, pracą mózgu, dzieło może mieć nawet prawidłowe formy, ale duszy w nim nie będzie. Tego to naturalnego popędu do twórczości nie znajdujemy w naszym autorze. Ztąd téż pochodzi jego pracowitość, która nie może zastąpić ognia istotnych natchnień. Mimo to jednak są w jego utworach miejsca, napisane z zapałem, które każą się spodziewać, że gdyby autor mniéj pisał, pewnieby pisał lepiéj. Historyczna strona dramatów p. Kozłowskiego również pozostawia wiele do życzenia. Ani w „Turnieju”, ani w „Taborytach” niema właściwego tła epoki i miejsca. Kulturalni mieszkańcy Florencyi mówią tak, jak i nawpół dzika drużyna Milicza, a język jednych i drugich w niczém nie różni się od języka naszego współczesnego dziennikarstwa. Brak mu przytém obrazowości, plastyki, oryginalności. Wiersz wogóle poprawny, lecz czasami można spotkać niezgrabną robotę zamiast rytmicznego układu słów. Gdyby autor pisał wierszem białym, albo prozą, mógłby uniknąć wielu błędów. *IKS.*

Nowości naukowe i literackie.

= **Natalja Bardzka: Książę Jerzy.** (Powieść historyczna z końca XVII-go wieku, Warszawa. Nakładem księgarni Dubowskiego. 1899, str. 318). Kiedy echa sławy po siedmkroć odbijały imię Sienkiewicza, jako autora „Ogniem i mieczem”, — niejedna chyba myśl pobudzona szukała tematu w historyi, zwłaszcza w tych krwawych czasach XVII-go stulecia; niejedno serce uderzyło pragnieniem, by choć odrobinę zaszczytu osiągnąć przez napisanie powieści historycznéj. I nic w takiém przypuszczeniu nie byłoby dziwnego. Lecz skała, o którą rozbić musiałyby się marzenia skromnych talencików, widniała w postaci trudności pracy, zwłaszcza że autor Trylogii zdążył wyczerpać materyał najciekawszy, a promienie jego pióra zaćmiłyby innych... To téż podnieść wypada odwagę autorki (imię jéj po raz pierwszy spotykamy w literaturze) — Natalii Bardzkiéj, która z małemi zdolnościami pisarskiemi, wątłém doświadczeniem, na słabych opartém studyach, chwyciła się tematu historycznego. Jéj „Książę Jerzy” — nie czyni zgoła wrażenia powieści historycznéj, powieści z końca XVII-go wieku!... Cóż powiedziéć o tém opowiadaniu? że pozbawione tła historycznego; że postaci są jak gdyby aktorami biednéj trupy, którzy, nie mając możności zaopatrzenia się w kostjumy odpowiednie, według własnego domysłu starają się załatać rażące braki, a przypasawszy szable do kontuszów, z dobrą miną mówią: „mościpanie!” „Waćpanny” w kubraczkach dotrzymują towarzystwa tym figurantom. Ale całość,—to licha szopka. Tylko, jeżeli spojrzymy kiedykolwiek pobłażliwie na nędzę aktorów wędrownych,—trudniéj przychodzi nam zdobyć się na wyrozumiałość dla autorki, przystępującéj do tematu historycznego bez żadnych prawie przygotowań. Nie chcąc bynajmniéj podcinać skrzydeł fantazyi, lub podkopywać wiary w siły autorki, skoro czuje pociąg do powieści historycznych, bezstronny sprawozdawca zalecić musi w tym wypadku studya gorliwe nad epoką, którą się pragnie w części czy całości przedstawić. A zadanie to ciężkie i mozolne.

L. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W zeszycie kwietniowym wypadło mi pisać o emigracyi ludu. Polemika w téj sprawie nie ustała do dnia dzisiejszego. „Czuwajmy nad ludem, by nie szedł zagranicę; niech pilnuje zagona rodzinnego!"—wołają jedni. „Nie brońmyż mu, na miłość Boską, tego drobnego zarobku, jaki znajduje na obczyźnie, bo będzie na nas patrzył, jak na śmiertelnego wroga" — odpowiadają drudzy. Wielki ten proces społeczny nie skończy się tak prędko; nie prędko téż zamilkną spory które wywołał. I my téż nieraz jeszcze będziemy musieli powracać do tego przedmiotu. Tymczasem życie, które nie usypia, nie próżnuje i nie odpoczywa, wprowadziło kwestyę inną: emigracyę inteligencyi.

Mówić o niéj trudno, jak wogóle trudno u nas dysputować publicznie, z zachowaniem zimnéj krwi, a bez wywoływania nieporozumień. Często zwracamy uwagę nie na to, co się mówi, lecz na to, w jakiéj się to wypowiada formie. Można nam mówić rzeczy, których nie lubimy, ale trzeba je umiejętnie przyprawić i okrasić. Myśl bezwzględna, gorzka, drażniąca, nie wywoła oburzenia, jeżeli przezorny autor przyoblecze ją w szatę dobranych frazesów. Środka tego używali nieraz myśliciele nasi, podając narodowi prawdy zdrowe, którychby inaczéj nie przełknął:

.. Tak schorzałemu dziecięciu kładziemy
Na brzeg u kubka różne łagodności,
To gorzki napój pije oszukane,
Żywot i zdrowie biorąc pożądane.

Bywa atoli i tak, że złudzenie ponętnością formy, gotowiśmy zachwycać się dzisiaj zdaniem, które obala wprost to wszystko, czém radowaliśmy się wczoraj. Łatwo zapalić nam wyobraźnię i doprowadzić nas do okrzyków, a gdy nam wówczas ktoś przypomina, że onegdaj wykrzykiwaliśmy całkiem co innego, damy się porąbać w kawałki, a nie przyznamy się do zmiany zdania.

Podobnie rzecz się ma z naszemi poglądami na emigracyę. Wczoraj wołaliśmy: Cześć tym, co sławę sztuki polskiéj roznoszą po dalekich krajach!—a jutro gotowi będziemy kamienować każdego, kto rzuca progi rodzinne, by oddawać się ulubionemu zawodowi wśród korzystniejszych warunków. I będziemy się oburzali na niewdzięczników, gardzących ubogą strzechą, będziemy piorunowali na przelotne ptactwo, szukające jaśniejszego nieba, będziemy zżymali się i unosili dopóty, dopóki kuryery nie doniosą o podróżniku polskim, który został członkiem honorowym jakiegoś Towarzystwa geograficznego, lub o malarzu, który z prezydentem rzeczypospolitéj francuskiéj poluje na bażanty. Wtenczas poglądy się zmienią. Zachwyt nie będzie znał granic. Potrzebaby słów kilku, a sypnęłyby się składki na balon dla podróżnika, lub na paletę dla malarza. I tak naprzemiany. Dziś: hajże na Soplicę!—jutro na zaręczyny do Soplicowa.

Jakże więc naprawdę sądzić mamy o emigracyi inteligencyi?

Przedewszystkiém starajmy się określić, co przez ten wyraz należy rozumiéć.

Rzecz oczywista, że nie należą tu ci wszyscy, którzy się zdala od stron rodzinnych kształcą, którzy szukają tam zdrowia, lub wreszcie uganiają za chwilowemi rozrywkami. Emigracya inteligencyi, emigracya zdolności oznacza w dyskusyach, toczących się obecnie, ów prąd nieustanny, który unosi wybitne jednostki z ich najbliższego otoczenia i osadza je tam, gdzie znajdują odpowiedniejsze pole dla swych talentów, lub większe wynagrodzenie za pracę. Trybunał opinii publicznéj sądzi tych, którzy mając wolny wybór, przekładają świetny los na dalekiéj arenie nad skromne życie we własnym zakątku. Postanowiono sprawę zbadać do dna i zapytano, czy praca, przedsiebiorczość, nauka są nawet i wtenczas dobrodziejstwem dla społeczeństwa, gdy wyrywają najlepszych jego członków z szeregów bratnich i zmuszają ich do pracy za granicą państwa.

Rozstrzygnięcie téj wątpliwości w jéj punktach zasadniczych, wynalezienie formułki ogólnéj, mogącéj obowiązywać wszystkich, jest rzeczą niezmiernie trudną. Zamiast więc silić się o to, obierzemy drogę inną. Starajmy się rozpatrzeć różne objawy tego wielkiego zjawiska. Gdy sobie wyrobimy sąd o szczegółach, może łatwiéj nam będzie wypowiedzieć zdanie ogólne.

Jeżeli wyłączymy polskiego studenta, polskiego utracyusza i polskiego pacyenta, jeżeli mamy na względzie emigracyę talentów w najściślejszém, najwłaściwszém znaczeniu, musimy przyznać, że w wielkich ogniskach życia na Zachodzie spotykamy jéj dzisiaj niewiele. Wobec milionów ludu polskiego, osiadłych w Ameryce, procent inteligencyi polskiéj, szukającéj tam chleba, jest mały. Jeżeli zaś zwrócimy wzrok ku stolicom europejskim, będziemy musieli z pod jurysdykcyi naszego trybunału wyjąć tych wszystkich, którzy pracując na obczyźnie, pracują mimo to dla kraju i zajmują stanowiska, z których ustępować nie wolno. Jeżeli Brückner z katedry uniwersyteckiéj w Berlinie mówi o literaturze polskiéj do młodzieży, zjeżdżającéj się ze wszystkich krajów świata cywilizowanego, jeżeli Kazimierz Waliszewski zaznajamia Francuzów z historyą polską, jeżeli Adam Darowski wydobywa ze zbiorów rzymskich materyały historyczne, rzucające światło na naszą przeszłość, to nie wolno nam wypominać im téj ich dobrowolnéj emigracyi, a nie wolno nam tego nie w imię jakichś praw wyjątkowych, których ani jasno określić ani dostatecznie uzasadnić nie można, ale w imię powszechnego i odwiecznego prawa, które nakazuje każdemu narodowi obsadzać pewne ważne placówki po za swemi granicami przyrodzonemi. Skoro się raz na to zgodzimy, kwestya straci w naszych oczach wiele ze swéj pierwotnéj ostrości. Zamiast suszyć sobie głowę nad rozwiązaniem pytania: czy Brandt lub Siemiradzki dopuścili się występku, osiadając w Monachium i w Rzymie, a nie w Radomiu lub Suwałkach,—powiemy raczéj, że podnieta artystyczna, jakiéj starsze pokolenie artystów polskich szukało w przybytkach sztuki europejskiéj, jest ważnym współczynnikiem w rozwoju malarstwa polskiego i że bez tego współczynnika mielibyśmy malarstwo może lepsze, może gorsze, ale w każdym razie nie to dzisiejsze nasze, któreśmy ukochali, którém się szczycimy, które nam nieraz pochwały sąsiadów zdobyło. Bo pamiętajmy, że ci, którzy przedewszystkiém nasuwają się nam na myśl, gdy mowa o emigracyi talentów, żyją nieustannie wśród nas, z nami i dla nas.

Ale jest emigracya inna. Nie wytwarza jéj nadmiar talentów; wywołała ją prosta, zwykła, zrozumiała chęć polepszenia bytu. Tam widzieliśmy jednostki, tu emigrują rzesze ludzi wykształconych w swym zawodzie, chcących pracować i podążających za wyższém wynagrodzeniem.

Były czasy, w których na tę emigracye dla chleba zapatrywano się ze stanowiska idealnego. Naród, który czuł, że pokolenia poprzednie uczyły się mało, a pracować nie lubiły, wytworzył sobie teoryę, według któréj kraj musi odnosić korzyści z wszelkiéj nauki i z wszelkiéj pracy, a zatém nawet z nauki, dającéj chléb o tysiące mil od gniazda rodzinnego, i z pracy, użyźniającéj łany innéj części świata.

Dziś wiemy, że tak nie jest, dziś wiemy, że kapitały zdobyte ciężką pracą, przeważnie nie płyną do miejsc urodzenia, wiemy, że drugie pokolenie często nie tęskni już wcale, a wobec tego trzeba zapytać się, czy społeczeństwo ma obowiązek podsycania tego prądu, budzenia w młodzieży żyłki, która ją w świat ciągnie?

Bo zapamiętajmy, że społeczeństwo wychowuje tę młodzież wśród bólu i poświęceń. Pamiętajmy, że nim nadejdzie chwila, w któréj młodzieniec ruszy na krańce Azyi, by odtąd już tylko gościem bywać w stronach rodzinnych, upływają długie lata wśród pracy o głodzie i chłodzie. Upływają noce, spędzane nad książką w ciasnéj, nieogrzewanéj, zatęchłéj izdebce. Rodzina patrzy z bezsilném współczuciem na wycieńczanie się młodych sił, na powolne rozwijanie się klatki piersiowéj, na wątłą muskulaturę. Serce się ściska, gdy porównamy fizyczny wygląd młodzieży niemieckiéj, dobrze odżywianéj, wygimnastykowanéj, barczystéj, z naszemi młodemi szeregami. Tam przyjęto oddawna zasadę, że naukom wyższym oddaje się ten tylko, kogo stać na to. Przy naszém ubóstwie zasada taka byłaby wprost niewykonalna. Wiele lat jeszcze upłynie, zanim nadejdą czasy takie, iż kładąc się wieczorem, będziemy mogli powiedzieć sobie z czystém sumieniem, że żaden uczeń gimnazyalny, żaden student uniwersytetu nie przymiera równocześnie głodem. Nie zmienimy tego z dnia na dzień, jak również nie zapobiegniemy i temu, iż wczorajszy student, odetchnąwszy po ostatnim egzaminie pełną piersią, ulega pokusie i zaciąga się w poczet Australczyków, jak ich pani Orzeszkowa nazywa. Możemy, co najwięcéj, zastanowić się nad tém, czy społeczeństwo powinno i w dalszym ciągu zachęcać swych synów piórem i słowem do obierania zawodów, które w kraju nie dają im chleba. Nie możemy potępiać młodego lekarza za to, że zamiast próżnować w przepełnionéj lekarza-

mi Warszawie, woli pracować i dorabiać się w Afganistanie. Powinniśmy wszakże rozważyć, czy mogąc pokierować losem młodzieńca, mogąc oddziaływać na niego radą, słowem, lub pomocą materyalną, więcéj przysporzymy krajowi pożytku i chluby, jeżeli go zrobimy nadwornym medykiem Emira, czy téż, jeżeli go wychowamy na kierownika porządnego warsztatu w kraju. Dziś coraz wyraźniéj czujemy, że kwestya ta istnieje, że kwestyę tę lekceważono dotychczas i że pomyśléć o niéj trzeba. Zdrowie młodzieży naszéj, przepychającéj się o pustym żołądku przez życie, łzy matczyne, wylewane nad smutném dziecińśtwem synów, i grosz ubogi, krwawo zapracowany, a idący na naukę: to w społeczeństwie zbiedzoném i głodném trzy zbyt cenne skarby, byśmy szafować niemi mogli bez względu na to, kto i pod jakiém niebem zbierać z nich będzie korzyści.

Emigracya istnieje. W małéj zaledwie cząstce jest to rzeczywiście emigracya wyjątkowych zdolności, szukających na obczyźnie sławy i podniety, której nie daje im dom. Takich zbiegów nie zatrzymamy na podwórku rodzinném. Jedni z nich przysyłają nam z za gór i rzek łupy bogate, umysłowe, czy artystyczne, okupując niemi sowicie swą nieobecność. Inni łudzą się, że kiedyś w podobny sposób przysłużą się krajowi. Odmiennie przedstawia się nam liczniejsza nierównie emigracya, emigracya dla chleba. I tu perswazyą nic się nie zrobi. Ojciec rodziny, który może opływać w dostatki zdala od granic rodzinnego powiatu, nie powróci, nawet gdy przeczyta najwymowniejszy artykuł w gazecie. Zagadnienie, które nas w téj chwili obchodzi, należy sformować inaczéj. Należy się zapytać, czy społeczeństwo, działające w najlepszéj wierze, samo bezwiednie nie wychowuje Australczyków? Rzućmy tylko okiem na cudzoziemców w naszym kraju. Do niedawna płynęli oni szerokim strumieniem przez komory celne na naszéj zachodniéj granicy; dziś strumień ten się zwężył, ale obejść się bez nich nie możemy. I równocześnie pozwalamy sobie na najzbytkowniejszy eksport, na wywóz inteligentnéj młodzieży? To zaiste marnotrawstwo niezwykłe. Tkwi w tém jakaś sprzeczność wewnętrzna, któréj zaradzić potrzeba.

Bo nie myślmy, że w tém, co powiedziano wyżéj o opłakanéj doli studenta polskiego, jest trochę przesady. Oto biorę do ręki broszurę p. Z. J. Kowalskiego, studenta wydziału lekarskiego w uniwersytecie warszawskim, o „Stanie zdrowia i warunkach hygienicznych“ studentów. Pracę te polecamy uwadze każdego, kogo obchodzi to, co się w kraju dzieje. Za wielką zasługę poczytujemy młodemu autorowi, że zajrzał śmiało prawdzie w oczy i że zamiast studenta, którego przywykliśmy oglądać w jednoaktówkach na scenie Ro-

zmaitości, daje nam studentów żywych, prawdziwych, daje nam obraz ich życia, z cyfr statystycznych złożony.

A cyfry te mają wymowę przekonywającą. Na stu studentów spotykamy tylko piętnastu, niedotkniętych żadném cierpieniem, nie skarżących się na zdenerwowanie, nie obarczonych dziedzicznie. I ta młodzież wątła i chorowita wydaje przeważnie na życie po 25 rubli miesięcznie. Minimum dochodu spada do 12 rb. miesięcznie, przyczém zważyć trzeba, że w dochód ten wliczone zostały zarobki młodzieży, wynoszące przecięciowo po 16 rb. P. Kowalski zebrał ogółem dane, dotyczące 300 kolegów. Połowa ogólnego ich dochodu pochodziła z zarobków. Ponieważ zaś bogatsi nie potrzebują uciekać się do tego środka,—przeto zarobek stanowi tém większy procent w dochodzie ubogich.

P. Kowalski wysnuwa z tych danych wnioski. Zapełniają one jedną z bardziéj zajmujących kart jego pracy- Ciekawą jest ta karta przedewszystkiém dlatego, iż autor nie szuka pomocy gdzieś daleko, ale chce, by młodzież sama przywróciła sobie zdrowie stracone. Drogę do tego, widzi on między innemi w zaprzestaniu wszelkich wybryków cielesnych, w moralniejszém życiu. Jesteśmy nietylko ubożsi od młodzieży angielskiéj, nietylko słabsi fizycznie, ale nadto żyjemy o wiele niemoralniej, niż ona. Dochodów, jakie ona miewa, przysporzyć sobie nie możemy, nie możemy sobie również pozwalać na kosztowne rozrywki sportowe, któremi ona przeplata życie; starajmyż się przynajmniéj żyć tak porządnie, jak ona! Oto sens moralny, wypowiedziany bardzo wyraźnie w kilku ustępach téj pracy. Autor nie lękał się ani pośmiewiska, ani konceptów, jakie wtórują zwykle u nas zdaniu nowemu. Powiedział, co mu dyktowało przekonanie. To już bardzo wiele.

Tad. Smarzewski.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***W. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 1 Мая 1899 года.